

Clive Staples Lewis

CZTERY MIŁOŚCI

Przełożyła Maria Wańkiewiczowa

Instytut Wydawniczy Pax 1973

Rozdział I

PRZEDMOWA

Święty Jan mówi: "Bóg jest miłością". Kiedy zaczynałem pisać tę książkę, myślałem, że słowa te wytyczą mi bardzo prostą drogę przez całość zagadnienia.

Sądziłem, że będę mógł powiedzieć, iż ziemskie miłości zasługują w ogóle na tę nazwę o tyle, o ile upodabniają się do Miłości, którą jest Bóg. Ustaliłem więc przede wszystkim różnicę między tym, co nazwałem miłością-darem, a tym, co nazwałem miłością-potrzebą. Miłość pobudzająca człowieka do pracy, planowania i oszczędności w celu zabezpieczenia rodzinie dobrobytu, którego ów człowiek ani nie zobaczy, ani dzielić nie będzie, bo wprzód umrze - to topowy przykład miłości-daru; przykład owej drugiej miłości to uczucie, które pcha wystraszone lub samotne dziecko w ramiona matki.

Zdawało mi się, że nie ma wątpliwości, która z nich jest podobniejsza do Samej Miłości. Miłość Boża jest miłością-darem. Ojciec daje wszystko, czym jest i co posiada, Synowi. Syn oddaje się Ojcu i daje siebie światu, ofiarowuje się za świat Ojcu i w ten sposób oddaje (w sobie) także świat Ojcu.

A z drugiej strony, cóż może być bardziej niepodobne do tego, co uważamy za życie Boga, niż miłość-potrzeba? Bogu nie brak niczego, a nasza miłość-potrzeba, to - zdaniem Platona - dziecko ubóstwa. Jest ona dokładnym odbiciem w świadomości naszej rzeczywistej natury. Rodzimy się bezbronni. Gdy dochodzimy do całkowitej świadomości siebie, odkrywamy naszą samotność. - potrzebujemy innych ludzi: fizycznie, uczuciowo, intelektualnie, - potrzebujemy ich. jeśli mamy cokolwiek poznać, choćby nawet samych siebie.

Miałem zamiar napisać jakiś łatwiutki panegiryk o pierwszym rodzaju miłości i zdyskredytować drugi rodzaj. Wiele z tego, co chciałem powiedzieć, wydaje mi się prawdziwe i teraz. Nadal myślę, że jeśli miłość oznacza w naszym mniemaniu tylko gorące pragnienie, by nas kochano, stan nasz jest bardzo opłakany. Ale teraz nie powiedziałbym (wraz z moim mistrzem MacDonaldem), że jeśli mamy na myśli tylko to pragnienie, uważamy za miłość coś, co w ogóle nie jest miłością. Nie mogę już odmówić miłości-potrzebie nazwy miłości. Jednak ilekroć próbowałem rozumować wedle tych przesłanek, kończyło się to zawsze łamigłówką i sprzecznościami.

Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana, niż sądziłem.

Przede wszystkim zniekształcamy większość języków, z naszym włącznie, jeśli nie nazwiemy miłości-potrzeby miłością. Oczywiście język nie jest nieomylnym przewodnikiem, ale pomimo wszystkich braków zawiera sporą dozę intuicji i doświadczenia. Jeśli zaczynamy kpić sobie z niego, z czasem mści się na nas w ten czy inny sposób. Zatem nie idźmy lepiej za przykładem byle ignoranta i nie nadawajmy słowom dowolnego znaczenia zależnie od naszej fantazji.

George MacDonald (1824-1905) - szkocki powieściopisarz i poeta.

Po wtóre musimy się wystrzegać nazywania miłości-potrzeby "wyłącznie" egoizmem.

Wyłącznie jest zawsze niebezpiecznym słowem. Niewątpliwie można ulegać miłości-potrzebie, tak jak każdemu impulsowi, w sposób egoistyczny. Zachłanne i despotyczne żądanie miłości może być rzeczą wstrętną. Ale w zwykłym życiu nikt nie nazwie egoistą dziecka, dlatego że szuka ono u matki pociechy, ani człowieka dorosłego, dlatego że szuka towarzystwa kolegów. Ci, co czynią to najrzadziej, tak dorośli jak i dzieci, nie są zwykle osobami najbardziej bezinteresownymi.

Tam, gdzie istnieje miłość-potrzeba, mogą się pojawić powody, dla których należy ją zahamować lub wyrzec się jej; jednak nieodczuwanie jej w ogóle jest zwykle oznaką chłodnego egoizmu. Ponieważ istotnie - potrzebujemy jedni drugich („niedobrze jest być człowiekowi samemu”), więc jeśli ta - potrzeba nie występuje w naszej świadomości jako miłość-potrzeba - innymi słowy, jeśli hołdujemy złudzeniu, że samotność jest dla nas czymś dobrym - to zły symptom duchowy, tak jak brak apetytu jest złym symptomem dla lekarza, bo ludzie naprawdę - potrzebują pożywienia.

Po trzecie dochodzimy tu do czegoś znacznie ważniejszego. Każdy chrześcijanin zgodzi się na to, że jego zdrowie duchowe jest wprost proporcjonalne do miłości, jaką odczuwa do Boga. Ale miłość człowieka do Boga z samej swej natury musi być w znacznej mierze, a najczęściej całkowicie, miłością-potrzebą. Jest to zupełnie jasne, kiedy błagamy o wybaczenie naszych grzechów lub o pomoc w naszych udrękach. Staje się to coraz bardziej oczywiste wraz ze wzrostem świadomości - a powinna ona wzrastać - że cała nasza istota z samej swej natury jest jedną wielką - potrzebą: niepełna, prymitywna, pusta a zarazem nieuporządkowana, wzywająca Tego, który może rozplatać najbardziej pogmatwane węzły i powiązać to, co chodzi dotąd luzem. Nie twierdzę, że człowiek nie potrafi ofiarować Bogu nic prócz miłości-potrzeby. Wzniosłe dusze mogą nas pouczyć o wyższych osiągnięciach.

Ale chyba właśnie przede wszystkim one powiedzą nam, że te wyżyny przestaną być prawdziwymi łaskami, a staną się neoplatońskimi, a w końcu szatańskimi złudzeniami, z chwilą gdyby człowiek śmiał pomyśleć, że może na nich wyłącznie polegać i odrzucić

czynnik - potrzeby."Bo - jak mówi Naśladowanie - najwyższe na najniższym wznosi się i opiera." Stworzenie, które by stanęło przed obliczem Stworzyciela chwalać się:"Nie jestem żebrakiem, kocham Cię bezinteresownie" - byłoby zuchwałe i głupie. Ci, co się najbardziej zbliżają do miłości-daru względem Boga, w następnej, a nawet w tej samej chwili będą się bili w piersi jak celnik, odsłaniając przed jedynym Dawcą swój niedostatek. I to jest zgodne z wolą Bożą."Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i uginacie się pod ciężarem" - zwraca się On do naszej miłości-potrzeby lub w Starym Testamencie mówi:"Rozszerz usta twój, a napełnię je".

Wobec tego jedna z miłości-potrzeb, ta największa, albo pokrywa się z najwznioślejszą, najzdrowszą, najbardziej realną duchową postawą człowieka, albo przynajmniej staje się jej głównym składnikiem. Pociąga to za sobą bardzo dziwne następstwa. Człowiek zbliża się najbardziej do Boga wtedy, kiedy jest w pewnym sensie - najmniej do Niego podobny. Bo cóż może być bardziej różne: pełnia i - potrzeba, majestat i pokora, sprawiedliwość i pokuta, bezgraniczna potęga i krzyk o pomoc? Gdy się po raz pierwszy natknąłem na ten paradoks, oszołomił mnie i zniweczył wszystkie moje poprzednie próby pisania o miłości. Skoro się nad nim zastanowimy, dochodzimy mniej więcej do następujących wniosków.

Musimy rozróżnić dwa zjawiska, które - obydwie - można by nazwać "zbliżeniem do Boga". Jedno z nich to podobieństwo do Boga. Wydaje się, że Bóg nacechował wszystko, co stworzył, pewnym podobieństwem do siebie. Przestrzeń i czas są na swój sposób odbiciem Jego wielkości, wszystko, co żyje - Jego płodności, życie cielesne - Jego energii. W wypadku człowieka podobieństwo to wzmacnia się, gdyż jest on istotą rozumną. Wierzmy, że aniołowie obdarzeni są podobieństwem, którego brak człowiekowi: posiadają nieśmiertelność i bezpośrednią znajomość Boga. Wobec tego wszyscy ludzie, źli i dobrzy, wszyscy aniołowie nie wyłączając upadłych, są podobni do Boga niż zwierzęta. Ich natura jest w tym znaczeniu "bliższa" Boskiej naturze. Ale istnieje również coś, co moglibyśmy nazwać bliskością przez zbliżenie. Znaczyłoby to, że stany, w których człowiek "najbliższy" jest Bogu, są tymi, w których najpewniej i najszybciej zbliża się do ostatecznego zjednoczenia z Bogiem, do wizji Boga, do rozkoszowania się Bogiem. Z chwilą gdy odróżniamy bliskość przez podobieństwo od bliskości przez zbliżenie, przekonujemy się, że nie są one konieczne zbieżne. Mogą się pokrywać, ale mogą i nie.

Spróbujmy uciec się do analogii. Wyobraźmy sobie, że idziemy drogą wiodącą przez góry do wioski, w której stoi nasz dom. W południe dochodzimy do szczytu stromej skalnej ściany i znajdujemy się w prostej linii bardzo blisko domu, gdyż leży on u naszych stóp.

Moglibyśmy rzucić weń kamieniem. Ale ponieważ nie jesteśmy alpinistami, nie możemy zejść. Musimy obchodzić dokoła może z jakieś pięć mil.

Podczas tego detour wielokrotnie będziemy statycznie bardziej oddaleni od naszej wsi niż wówczas, gdyśmy siedzieli nad skalną ścianą. Ale tylko statycznie. W kategorii czynionych postępów zbliżamy się znacznie do naszej kąpieli i herbaty.

Ponieważ Bóg jest szczęśliwy, wszechmocny, wszechwładny i twórczy, gdy w życiu ludzkim pojawiają się szczęście, siła, wolność i płodność (umysłowa lub fizyczna), są one w pewnym znaczeniu podobieństwem i zbliżeniem do Boga. Ale nikt nie przypuszcza, że posiadanie tych - darów ma jakikolwiek związek z naszym uświęceniem. Żaden rodzaj bogactw nie jest przepustką do królestwa niebieskiego.

Na szczycie skalnej ściany jesteśmy blisko naszej wsi, ale choćbyśmy tam nie wiem jak długo siedzieli, nie zbliżymy się do czekającej na nas kąpieli i herbaty. Tak samo podobieństwo, i w tym znaczeniu zbliżenie do Boga, którymi On ob-darzył pewne istoty i pewne stany tych istot, jest czymś skończonym, wmontowanym w nie. To, co jest bliskie Niemu przez podobieństwo, z tego jedynie tytułu nie zbliży się już nigdy bardziej. Samo określenie jednak - bliskie przez zbliżenie - zawiera w sobie pojęcie, że bliskość ta się zwiększa. Ale podczas gdy podobieństwo jest nam dane niezależnie od tego, czy dziękujemy zań, czy nie dziękujemy, czy rębimy z niego dobry, czy też zły użytek, to zbliżenie choć zapoczątkowane i wspierane przez skę, jest czymś, czego sami musimy dokonać. Istoty stworzone są w rozmaity sposób obrazem gBoga bez własnego współdziałania, a nawet 2gody. Nie w ten jednak sposób stają się one tynami Bożymi. Podobieństwo, którym zostały ob-darzone dzięki synostwu, nie jest podobieństwem odzwierciedlenia ani portretu. W pewnym znaczeniu jest ono czymś więcej niż podobieństwem, jest zespoleniem czy zjednoczeniem naszej woli z wolą Boga, ale jest ono w ligodzie ze wszystkimi różnicami, o których wspominaliśmy. A zatem, jak powiedział lepszy pisarz ode mnie, nasze naśladowanie Boga w tym życiu, naśladowanie świadome w odróżnieniu od podobieństw, którymi nacechował On naszą naturę czy stany duchowe, musi być naśladowaniem wcielonego Boga: naszym wzorem Jezus nie tylko tam na Kalwarii, ale Ten z warsztatu, Ten wędrujący drogami, Ten, którego Otaczały tłumy, Ten napastowany przez wrzaskliwe prośby i grubiańską opozycję, Ten, któremu ciągle przerywano, który nie miał chwili spokoju, którego samotność wciąż zakłócano. Bo choć właśnie to jest tak całkiem odmienne od wszystkiego, co przypisujemy życiu Boga jako takiemu, jest ono widać nie tylko do niego podobne, lecz jest właśnie owym Bożym życiem rozgrywającym się w warunkach ludzkich.

Muszę teraz wytłumaczyć, dlaczego uważałem pażyteczne rozróźnienie tych pojęć w naszych rozważaniach o rodzajach miłości. Słowa świętego Jana "Bóg jest miłością" stanowiły długo w moim umyśle jakąś przeciwwagę powiedzenia współczesnego autora (Denis de Rougemont H że "miłość przestaje być demonem, z chwilą gdy przestaje być bogiem", co oczywiście można formułować w następujący sposób: "Że staje się demonem, z chwilą gdy staje się bogiem". Ta przeciwwaga wydaje mi się niezbędnym zabezpieczeniem. Jeżeli ją zignorujemy, prawda, że Bóg jest miłością, może podstępnie przyjąć dla naznaczenie odwrotne: że miłość jest Bogiem.

Sądzę, że każdy, kto myślał na ten temat, zroze rozumie, co Denis de Rougemont miał na myśli. Każda ziemská miłość w swym kulminacyjnym rozkwicie chce rościć sobie prawo do Boskiego autorytetu. Jej głos usiłuje brzmieć jak wola samego Boga.

Mówi nam, że nie należy się liczyć z ofiarami, domaga się od nas całkowitegą oddania, stara się prześcignąć wszelkie inne pragnienia, insynuuje, że każdy czyn szczerze popełniony „z miłości” jest tym samym legalny, a nawet chwalebny. Wiemy wszyscy, że miłość erotyczna i miłość ojczyzny mogą w ten właśnie sposób usiłować „stać się bogami”. Ale przywiązania rodzinne mogą czynić to samo, i przyjaźń, choć w odmienny sposób, również. Nie będę się zatrzymywał na tym zagadnieniu, gdyż w następnych rozdziałach spotkamy się z nim często.

Należy podkreślić, że przyrodzone miłości stawiają te bluźniercze żądania nie wówczas, gdy znajdują się w stanie rozkładu, lecz przeciwnie, wówczas gdy są w rozkwicie, gdy są - tak jak nazywali to nasi dziadkowie - "czyste" i "szlachetne". Występuje to najwyraźniej w dziedzinie Denis de Rougemont (ur. 1906) - pisarz szwajcarski, kierownik "Centre Européen de la Culture" w Genewie.

Wierna i pełna szczerego poświęcenia namiętność przemawia do nas głosem brzęącym jak głos Boga. Czysto fizyczna i lekkomyślna żądza tego nie osiągnie. Będzie działała rozładowo na nałogowców w rozmaity sposób, ale Właśnie nie w ten; czyny ludzkie mogą być spowodowane tego rodzaju uczuciem, ale człowiek nie może go szanować, tak samo jak drapiąc się po może szanować świerzb. I Kiedy głupia kobieta chwilowo pobłąza rozmieszczonemu dziecku traktując je jak żywą lalkę (w fazie tej właśnie pobłąza sama sobie), istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że pobłązliwość ta..stanie się bogiem", niż może stać się nim ślepe, całkowite poświęcenie matki, która naprawdę "żyje dla swego syna". Wydaje mi się również, że miłość ojczyzny pobudzana przez piwo i dęte orkiestry ani jej ojczyźnie bardzo zaszkodzi, ani bardzo pomoże. Prawdopodobnie wygaduje się całkowicie w postawieniu jeszcze jednej kolejki przyłączeniu się do chóralnego śpiewu. rzeczywiście tego

właśnie powinniśmy się spodziewać. Nasze miłości nie roszczą sobie prawo do boskości dopóty, dopóki to roszczenie nie da się pozornie słuszne. A nie wyda się ono nie słuszne, dopóki nie ma w nich prawdziwego podobieństwa do Boga, do Samej Miłości, popełniamy tu omyłek. Nasze miłości-dary posiadają naprawdę cechy boskości, a te z nich, które znają granic i są niewyczerpane hojne w daniu, posiadają najwięcej tych Boskich cech. Wszystko, co poeci o nich mówią, jest prawda, radość, energia, cierpliwość, gotowość przezania, pragnienie dobra ukochanej istoty, to co jest rzeczywistym i wspaniałym obrazem Bożego życia.

Rozumiejąc to, słusznie dziękujemy Bogu, który dał taką moc ludziom. Możemy słusznie powiedzieć, i każdy to łatwo zrozumie, że ci, co bardzo kochają, "bliscy" są Boga. Oczywiście jest to "bliskość przez podobieństwo". I sama przez się nie wytwarza "bliskości zbliżenia". Podobieństwo zostało nam dane. Nie posiada ono koniecznego związku z tym dowolnym i bolesnym zbliżeniem się do Boga, które musi być naszym własnym (choć w żadnym wypadku nie pozbawionym pomocy) zadaniem. A jednak podobieństwo jest czymś wspaniałym! I dlatego możemy omyłkowo wziąć podobieństwo za tożsamość. Możemy obdarzyć nasze ludzi jak miłości tym bezgranicznym oddaniem, jakie winniśmy tylko Bogu. Wówczas stają się bogami; wówczas stają się demonami.

Wówczas znisi całą nas, a również same siebie. Bo przyrodzone miłości, którym pozwolono stać się bogami, przestają być miłościami. Tak się je w dalszym ciągu nazywa, ale mogą się stać skomplikowanymi formami nienawiści.

Nasze miłości-potrzeby mogą być żarłoczne, wymagające, ale nie dążą do tego, by stać się bogami. Nie mogą się na to ważyć, gdyż (przez podobieństwo) nie są dostatecznie bliskie Bogu. Wynika z tego, że nie powinniśmy się przyłączać ani do tych, co bałwochwalczo wielbią ludzką miłość, ani do tych, co ją "odbrązowiają". Bałwochwalcze uwielbienie miłości erotyczne i "rodzinnego przywiązania" było wielkim błędem literatury XIX wieku. Browning, Kingsley i Patmore przemawiają czasami tą Robert Browning (1812-1889) - wybitny poeta ang. epoki wiktoriańskiej.

Charles Kingsley (1819-1875) - powieściopisarz ang., zwolennik socjalizmu chrześcijańskiego Coventry Patmore (1823-1896) - poeta ang.

Bby uważali, że zakochanie a uświęcenie siebie - to to samo; powieściopisarze przeciwstawiają zwykle "światu" nie królestwo niebieskie, to dom rodzinny. My przeżywamy reakcję przeciwko temu. Odbrązowiacze wiele z tych pochwał, które ich ojcowie wygłaszali na cześć miłości, nazywają bzdurą i sentymentalizmem.

Wyciągają oni zawsze na wierzch i wystawiają na pokaz obłoczone korzenie, z których wyrastają nasze przyrodzone miłości. Uważam, że nie powinniśmy słuchać ani

”przemądrzałych, ani przygłupich olbrzymów”. Bo najwyższe na najniższym wznosi się i opiera. Roślina musi mieć w dole korzenie i w górze słoneczne światło, a korzenie muszą być obłoczone. Całe to błoto to przeważnie zwykła ziemia, trzeba ją tylko pozostawić w ogrodzie, a nie ciągle rozsypywać po bibliotecznym stole. Ludzkie miłości mogą być wspaniałym obrazem miłości Bożej.

Nie mniej niż obrazem, ale też i nie więcej. To podobieństwo może w jednym wypadku pomóc, a w drugim przeszkodzić zbliżeniu się do Boga. A czasem w ogóle nie wywiera żadnego wpływu.

Rozdział II

UPODOBANIA I ZAMIŁOWANIA DO ŚWIATA MATERIALNEGO!

Większość ludzi należących do mojego pokolenia była w dzieciństwie karcona za takie powiedzenie jak: ”Kocham” poziomki, a niektórzy ludzie szczycą się tym, że język angielski ma dwa czasowniki: ”lubić” (like) i ”kochać” (love), a francuski tylko jeden ”kochać” (aimer) dla wyrażenia tych obu pojęć. W wielu innych językach spotykamy to samo zjawisko, co w języku francuskim. Występuje ono również bardzo często we współczesnej potocznej mowie angielskiej. Liczni mówcy, choćby nie wiem jak pedantyczni i pobożni, używają codziennie słowa ”kocham” mówiąc o jedzeniu, sporcie, zawodzie. Bo naprawdę istnieje jakieś powiązanie między zwykłym lubieniem rzeczy a naszą miłością do ludzi. Ponieważ ”najwyższe na najniższym wznosi się i opiera”, musimy zaczynać od podstaw, od prostego faktu, że coś lubimy, a skoro ”lubić” coś, oznacza odczuwać z jego powodu przyjemność, musimy zacząć od przyjemności.

Już dawno temu odkryto, że przyjemności można podzielić na dwa rodzaje: na te, które nie byłyby przyjemnościami, gdyby ich nie poprzedzało pragnienie, i te, które są przyjemnościami samymi w sobie i nie - potrzebują tego rodzaju wstępu.

Przykładem pierwszych byłyby łyk wody. To naprawdę przyjemność, kiedy się jest spragnionym, i nawet wielka, kiedy się jest bardzo spragnionym. Ale prawdopodobnie nikt na świecie nie nalałby sobie i nie wypił szklanki wody - chyba z rozkazu lekarza lub dla ugaszenia pragnienia - po prostu dla samej uciechy. Przykładem drugich byłyby przyjemność węchu, przypadkowa i niespodziewana: zapach pola łąbinu lub grządki groszków, który nas owiewa na rannym spacerze. Zanim to nastąpiło, nic nam nie brakowało, byliśmy zupełnie

zadowoleni, ta przyjemność, czasem bardzo duża, jest czymś, o co nie zabiegaliśmy, jakimś dodatkowym - darem.

Cytuję tu bardzo proste przykłady gwoli jasności, istnieje oczywiście w tej dziedzinie mnóstwo różnicowań. Jeśli spodziewaliśmy się szklanki wody (która by nas zupełnie zadowoliła), a dadzą nam kawy lub piwa, wtedy odczuwamy jednocześnie pierwszy rodzaj przyjemności (ugaszenie pragnienia) i drugi (miły smak). Lecz nałóg może zmienić to, co było kiedyś przyjemnością drugiego rodzaju, w przyjemność pierwszego. Dla człowieka wstrzeźliwego okolicznościowe wypicie kieliszka wina jest rozkoszą - tak jak zapach pola lubinu. Ale alkoholikowi, którego podniebienie i system trawienny zostały już od dawna zniszczone, żaden napój nie sprawia innej przyjemności prócz tej, że gasi nieznośne pragnienie. Jeżeli w ogóle może on jeszcze rozróżniać smaki, nie smakuje mu to, co pije, ale wszystko jest lepsze od męki trzeźwości. Pomimo jednak rozmaitych odmian i kombinacji różnica między obu rodzajami przyjemności pozostaje dosyć jasna. Możemy je nazwać przyjemnościami, których źródłem jest zaspokojenie - potrzeb, i przyjemnościami, które płyną z oceny zjawisk. Każdemu rzuci się w oczy podobieństwo zachodzące pomiędzy przyjemnościami-potrzebami a miłościami-potrzebami, o których była mowa w poprzednim rozdziale tej książki. Wyznałem w nim, jak wiadomo, że musiałem się opierać chęci poniżania miłości-potrzeby, a nawet chęci stwierdzenia, że nie jest ona wcale miłością. W danym wypadku wiele osób może ulec przeciwnej tendencji. Bardzo łatwo byłoby rozplątać się w pochwałach przyjemności-potrzeb, a krzywić na przyjemności-upodobania. Te pierwsze są takie naturalne (to słowo posiada magiczne właściwości), takie - potrzebne, tak chronione przed nadużyciami właśnie dzięki swej przyrodzoności; te drugie nie-potrzebne, otwierają drzwi na oścież przed wszystkimi rodzajami zbytków i nałogów. Jeśliby nam brakowało materiałów w tej dziedzinie, wystarczyłoby sięgnąć do dzieł stoików, a trysnęłoby bogate źródło. Ale w tych naszych badaniach musimy zawsze starannie unikać zajmowania przedwcześnie jakiegoś stanowiska tak w dziedzinie moralności, jak i oceny zjawisk. Ludzki rozum woli zazwyczaj chwalić i ganić, niż opisywać i definiować. Z każdej różnicy chce zrobić różnicę wartości i stąd pochodzą te fatalne krytyki, które nie potrafią nigdy wskazać na odmienne walory dwóch poetów nie ustawivszy ich w odpowiednim szyku, zależnie od własnego - upodobania, jak gdyby ci poeci byli kandydatami do jakiejś nagrody. Nie powinniśmy robić nic podobnego, gdy chodzi o przyjemności. Rzeczywistość jest na to zbyt skomplikowana. Przestrzega nas przed tym fakt, że kiedy przyjemności-upodobania wypaczają się i przekształcają w nałogi, stają się przyjemnościami-potrzebami. Dla nas w każdym razie ważność tych dwóch rodzajów przyjemności zależy od tego, w jakim stopniu są

one zapowiedzią charakterystycznych cech naszych "miłości" (we właściwym znaczeniu tego słowa).

Spragniony człowiek, który właśnie wypił kubek wody, może powiedzieć: "Boże! Jak mi się chciało pić!" Tak może również mówić alkoholik, który wychylił "jednego".

Człowiek przechodzący podczas rannego spaceru obok grzędy groszków powie raczej: „Jaki cudny jest ten zapach”. Znamca po pierwszym hańście słynnego czerwonego wina może również powiedzieć: "To jest wspaniałe wino". Gdy wchodzi w grę przyjemności-potrzeby, skłaniamy się raczej do twierdzenia dotyczącego naszej osoby i używamy czasu przeszłego, gdy wchodzi w grę przyjemności-upodobania skłaniamy się raczej do twierdzeń dotyczących danego obiektu i używamy czasu teraźniejszego.

Szekspir określił zaspokojenie tyranizującej nas żądz w tych słowach:

Wstręt wstrząsa twym ciałem, Ledwieś ją zażył, gonisz ją szalenie, A dogoniwszy, gardzisz z równym szalem.

Najprostszą, najniezbędniejszą z przyjemności-potrzeb odznacza się jakąś podobną cechą, w minimalnym oczywiście stopniu. Raz zaspokojone, nie wzbudzają one wprawdzie uczucia pogardy, ale "zamierają w nas" niesłuchanie szybko i całkowicie. Kurek i kubek są czymś bardzo cennym, w chwili gdy po skoszeniu trawnika wracamy do domu ginąc z pragnienia, sześć sekund później przestają być przedmiotem naszego zainteresowania. Zapach smażeniny jest czymś zupełnie odmiennym przed i po śniadaniu. I niech Sonet CXXIX, przekład Jana Kasprowicza. mi czytelnik wybaczy cytowanie najdrastyczniejszego przykładu, czyż urok słowa "Dla panów", umieszczonego na drzwiach w obcym mieście, nie wzbudzi w danej chwili w niejednym z nas radości godnej niemal, by ją uczczono poetycką strofą.

Przyjemności-upodobania są całkiem inne. Wzbudzają w nas nie tylko poczucie, że coś rzeczywiście zadowoliło nasze zmysły, ale także poczucie, że jakaś rzecz słusznie żąda naszego uznania, bo takie uznanie jej się należy. Znamca nie tylko cieszy się czerwonym winem, tak jakby się cieszył grzejąc przy ogniu zmarznięte nogi. Czuje on, że oto znalazł wino, które warte jest bacniejszej uwagi, odpowiada ono bowiem wymogom tradycji i umiejętności, które się złożyły na jego powstanie, i latom treningu, które przygotowały podniebienie pijącego do oceniania go. W tej postawie jest nawet przebłysk altruizmu. Znamca chce, by wino to zabezpieczono i przechowywano w odpowiednich warunkach nie tylko dla jego osobistej satysfakcji. Nawet na łożu śmierci, wiedząc, iż nie będzie już nigdy pił wina, byłby przerażony na myśl, że ten rocznik mógłby zostać wylany, ulec zepsuciu lub że będą go spijały gamonie (takie jak ja) nie umiejące rozróżnić dobrego czerwonego wina od złego. To samo się dzieje z człowiekiem, który przechodzi obok kwitnącego groszku. Nie

tylko podoba mu się jego woń, ale czuje, że ta woń jakoś zasługuje na to, by się podobać. Gdyby przeszedł i nie zauważył jej, nie ucieszył się nią, robiłby sobie z tego wyrzuty. Dowodziłoby to bowiem tępoty, braku wrażliwości. Wielka szkoda, żeby coś równie pięknego zmarnowało się natrafwszy na niego. Będzie pamiętał latami tę rozkoszną chwilę. Będzie mu przykro, kiedy posłyszysz, że ogród, koło którego przechodził, pochłonęły kina, garaże, nowe uliczki.

Z punktu widzenia naukowego oba rodzaje przyjemności są bez wątpienia uzależnione od naszego organizmu. Ale przyjemności-potrzeby głoszą donośnie o swojej zależności nie tylko od ludzkiego ciała, ale i od stanu, w jakim się ono chwilowo znajduje, i poza tą zależnością nie posiadają dla nas znaczenia, nie interesują nas wcale. Te obiekty, które są dla nas źródłem przyjemności-upodobania wzbudzają w nas irracjonalne lub nieirracjonalne poczucie, że należy im się nasza uwaga, pochwała, że powinniśmy się nimi delectować. "Grzechem byłoby częstować Lewisa takim bordeaux" - mówi ekspert win. "Jak pan może przechodzić koło ogrodu i nie zwrócić uwagi na ten zapach?" - pytamy. Nie odczujemy nigdy nic podobnego w stosunku do przyjemności-potrzeb, nigdy nie będziemy zarzucać sobie ani innym, że odczuwając pragnienie przeszliśmy koło studni i nie napiliśmy się wody.

Sposób, w jaki przyjemności-potrzeby są zapowiedzią naszych miłości-potrzeb, wydaje się całkiem jasny. Gdy chodzi o te drugie, patrzymy na osobę kochaną zależnie od naszych - potrzeb, tak jak człowiek spragniony patrzy na kran z wodą lub alkoholik na szklankę dzinu. I miłość-potrzeba, tak jak przyjemność-potrzeba, nie potrwa dłużej niż owa - potrzeba. Na szczęście nie oznacza to, że wszystkie przywiązania, których początkiem jest miłość-potrzeba, są rzeczą przejściową.

Sama - potrzeba może być stała, może się powtarzać. Inny rodzaj miłości może być zaszczerpiony na podłożu miłości-potrzeby. Zasady moralne (wierność małżeńska, synowski pietyzm, wdzięczność i temu podobne) mogą podtrzymywać te przywiązania przez całe życie.

Ale jeśli pozostawimy miłość-potrzebę bez żadnej pomocy, trudno będzie wymagać, żeby "w nas nie zamarła", gdy - potrzeba wygaśnie. Dlatego właśnie świat rozbrzmiewa skargami matek, zaniedbywanych przez dorosłe dzieci, i porzuconych kochanek, bo miłość ich kochanków była wyłącznie miłością-potrzebą, obecnie już przez nie zaspokojoną. Nasza miłość-potrzeba Boga to inne zagadnienie, nie może ona w nas zamrzeć, bo będziemy Go zawsze - potrzebowali na tym i na tamtym świecie. Ale nasza świadomość tej - potrzeby może zamrzeć, i wówczas zamiera również miłość-potrzeba. "Diabeł jest znudzony, diabeł - niedoszły mnich". Nie ma powodu określać słowem hipokryzja krótkotrwałej pobożności

tych; których religijność zanika, z chwilą gdy się wydostaną „z niebezpieczeństw, niedostatków i trosk”. Dlaczego nie mieliby być szczerzy? Byli zrozpaczeni i głośno wrzeszczeli o pomoc. Któż by tego nie zrobił?

Czego zapowiedzią są przyjemności-upodobania, nie da się tak łatwo zdefiniować.

Przede wszystkim są one punktem wyjściowym wszystkich naszych doznań w dziedzinie piękna. Niepodobna wytyczyć granicy, poniżej której tego rodzaju przyjemności można nazwać „zmysłowymi”, a powyżej „estetycznymi”. Doznania eksperta oceniającego czerwone wino zawierają już pierwiastki skupienia, zdolności sądenia, zdyscyplinowanej spostrzegawczości, których nie można nazwać zmysłowymi; doznania muzyka zawierają jeszcze pierwiastki, które można by określić jako zmysłowe. Nie ma tu granicy, przeciwnie, istnieje nieprzerwana ciągłość między zmysłową przyjemnością, spowodowaną zapachami w ogrodzie, a rozkoszowaniem się okolicą (czyli jej pięknem) jako całością, a nawet rozkoszowaniem się malarstwem lub poezją związanymi z nią.

Jak już stwierdziliśmy tkwi w tych przyjemnościach od samego początku jakiś odcień lub zapowiedź bezinteresowności czy zachęta do niej. W dziedzinie przyjemności-potrzeb możemy, oczywiście do pewnego stopnia, wykazać znacznie większą bezinteresowność, altruizm, i to w sposób heroiczny; przecież to kubek wody ofiarował Sidney. sam ranny, umierającemu żołnierzowi. Ale nie tego rodzaju bezinteresowność mam teraz na myśli. Sidney kochał swego bliźniego. Ale nawet w najniższym stadium przyjemności-upodobań i potem w miarę jak dorastają do pełnej oceny każdego piękna, tkwi coś, czego nie możemy inaczej nazwać jak miłością danego obiektu i nie umiemy inaczej określić jak bezinteresownością. To właśnie uczucie powstrzymałoby człowieka od zniszczenia cennego obrazu, nawet gdyby był ostatnim człowiekiem na ziemi i wiedział, że zaraz umrze; ono każe się nam cieszyć z nie tkniętych siekierą lasów, których nigdy nie zobaczymy, i troszczyć się o to, czy ogród lub pole łubinu będą nadal istniały. Nie tylko lubimy te rzeczy, ale jeszcze stwierdzamy, przywłaszczając sobie na chwilę Boskie prerogatywy, że są „bardzo dobre”.

I tu nasza zasada zaczynania od rzeczy najniższych, na których najwyższe wznosi się i opiera, zaczyna się opłacać. Wykazała mi ona jednak pewną lukę w naszej klasyfikacji miłości-potrzeby i miłości-daru. W miłości istnieje jeszcze trzeci składnik nie mniej ważny od tamtych, którego zapowiedzią są nasze przyjemności-upodobania. Stwierdzenie, że dany obiekt jest „bardzo dobry”, uwaga (niemal hołd), którą go ob-darzamy, jakby spłacając jakiś dług, pragnienie, żeby się ostał i był nadal, czym jest, nawet jeśliśmy nigdy nie mieli z niego korzystać - to wszystko może dotyczyć nie tylko rzeczy, ale i ludzi. W odniesieniu do

kobiety nazywamy to admiracją, do mężczyzny - kultem bohatera, do Boga - po prostu uwielbieniem.

Miłość-potrzeba to głos naszego ubóstwa wołający do Boga; miłość-dar pragnie służyć Bogu, a nawet cierpieć dla Niego, miłość-upodobanie powiada: "Dzięki Ci czynimy dla wielkiej chwały Twojej". Miłość-potrzeba mówi o kobiecie: "Nie mogę bez niej żyć"; miłość-dar pragnie dać jej szczęście, otoczyć wygodami i opieką, i - jeśli to możliwe - dobrobytem; miłość-upodobanie przygląda się w ciszy i w milczeniu, cieszy się, że takie cudo istnieje, nawet jeśli nie jest ono osiągalne, nie odczuwa całkowitego przygnębienia, gdy je traci, bo lepiej tracić, niż nigdy nie spotkać.

Zabijamy po to, by przeprowadzać dokładną sekcję. W realnym życiu, chwała Bogu, te trzy składniki miłości łączą się z sobą i co chwila występują kolejno. Może żaden z nich, prócz miłości-potrzeby, nie istnieje sam, w stanie "chemicznie" czystym dłużej niż przez kilka sekund. Może dzieje się tak dlatego, że nic w nas nie jest w tym życiu trwale prócz naszego niedostatku.

Na dwa kształty miłości, których przedmiotem nie jest osoba, musimy zwrócić specjalną uwagę.

Dla niektórych, może zwłaszcza spośród Anglików i Rosjan, to co nazywamy "miłością przyrody", jest uczuciem stałym i poważnym. Mam tu na myśli tę miłość przyrody, która nie może być po prostu adekwatnie sklasyfikowana jako przykład naszego umiłowania piękna. Oczywiście w przyrodzie jest dużo rzeczy pięknych: drzewa, kwiaty, zwierzęta. Ale miłośnicy przyrody, których mam na myśli, niewiele się troszczą o indywidualne piękno tego rodzaju obiektów. Człowiek, który to czyni, przeszkadza im. W ich włóczęgach pełen entuzjazmu botanik okazuje się okropnym towarzyszem. Ciągłe się zatrzymuje i chce zwrócić ich uwagę na różne szczegóły. Nie szukają oni również "widoków" ani "pejzażu". Wordsworth, ich rzecznik, energicznie to potępia. Prowadzi to bowiem do "porównywania jednych malowniczych krajobrazów do drugich", do..cackania się" z nikłymi różnicami "barw i proporcji". Gdy się człowiek oddaje tej krytycznej i dyskryminacyjnej działalności, zapomina, wymyka mu się to, co naprawdę jest ważne, "nastroje godzin pór roku", "dusza" danej miejscowości. Oczywiście Wordsworth ma słuszość. I dlatego jeśli się kocha przyrodę w ten sposób co on, malarz pejzażysta jest na świeżym powietrzu jeszcze gorszym towarzyszem od botanika.

Ważny jest "nastrój", ważna jest "dusza". Miłośnicy przyrody chcą jak najpełniej wchłaniać to, co przyroda ma im - że się tak wyrażę - do powiedzenia w danej godzinie i miejscu. Rzucające się w oczy bogactwo, wdzięk i har William Wordsworth (1770-1850) -

poeta ang., przedstawiciel romantycznej szkoły lakistów, piewca przyrody. monia pewnych krajobrazów nie są dla tych ludzi cenniejsze niż ponurość, surowość, monotonia, gorzka i wizjonerska posępność innych. Nawet brak charakterystycznych cech wzbudza w nich oddźwięk. Jest to bowiem jeszcze jedna wypowiedź przyrody. Otwierają swe serca na przyjęcie wszystkich specyficznych cech każdego krajobrazu, o każdej godzinie dnia. Chcą je wchłonąć, chcą cali nasiąknąć ich barwą. Te przeżycia były, jak wiele innych, chwalone pod niebiosami w wieku XIX, a teraz są przez współczesnych potępiane. Trzeba przyznać odbiorcom, że Wordsworth mówi wiele głupstw na ten temat, gdy przemawia nie jako poeta, a jako filozof czy pseudofilozof. Głupio jest wierzyć nie mając na to dowodów, że kwiaty cieszą się swoją wonią, a jeszcze głupiej nie dodać, że jeśli to było prawdą, kwiaty odczuwałyby nie tylko radość, ale i ból. Niewielu ludzi nauczyło się filozofii moralnej dzięki "natchnieniu płynącemu z wiosennego lasu".

A gdyby się nauczyło, nie byłaby to tego rodzaju filozofia, która by się podobała Wordsworthowi. Mogłaby być filozofią bezlitosnej rywalizacji. Sądzę, że dla niektórych ludzi współczesnych jest nią w istocie. Kochają przyrodę, o ile przemawia do "ciemnych bóstw we krwi"; nie mimo, ale z powodu tego, że płęć, głód i brutalna siła działają w przyrodzie bez litości i wstydu.

Jeżeli weźmiemy sobie przyrodę za mistrza, nauczy nas dokładnie tego, czego już uprzednio postanowiliśmy się nauczyć. Czyli innymi słowy - niczego nas nie nauczy. Tendencja obierania sobie przyrody za mistrza jest oczywiście łatwa do zaszczepienia na gruncie owych przeżyć, które nazywamy miłością przyrody. Ale jest to tylko szczepionka. Choć ulegamy "nastrojom" i "duchowi" przyrody, nie zawierają one dla nas wskazówek moralnych. Napotykamy na porywającą wesołość, przytłaczającą wielkość, ponurą rozpacz. Róbmy z nimi, co możemy, jeżeli w ogóle musimy coś z tym robić."Patrz!

Słuchaj! Uważaj!" - oto jedyny rozkaz, jaki daje nam przyroda. Fakt, że ów rozkaz jest tak często błędnie interpretowany i pobudza ludzi do stwarzania teologii, panteologii i antyteologii (wszystkim im można zadać kłam), nie dotyczy w szczególności samego sedna przeżycia. Miłośnicy przyrody - tak wyznawcy Wordswortha jak i ludzie z "ciemnymi bóstwami we krwi" - opierają na niej swoją ikonografię, mowę obrazów. Nie mam na myśli wyłącznie obrazów wizualnych, obrazami tymi są właśnie "nastroje" i "duch" przyrody, potężne przykłady lęku, posępności, wesołości, żądzy, niewinności, czystości. Każdy człowiek może w niej przybrać swoją własną wiarę. Teologii i filozofii musimy się nauczyć gdzie indziej (często uczymy się jej od teologów i filozofów, co nie powinno nikogo zbytnio zadziwiać). Kiedy mówię o "przybraniu" naszej wiary w takie obrazy, nie myślę bynajmniej o

czepaniu z przyrody metafor czy podobieństw, jak to robią poeci. Mogłem równie dobrze użyć słów "wypełnić" lub "wcielić", zamiast "przybrać". Gdyby nie wpływ przyrody, wielu ludzi i ja między nimi, nie potrafiliby napęłnić treścią słów, których musimy używać, wyznając naszą wiarę. Przyroda nie nauczyła mnie nigdy istnienia Boga pełnego chwały i nieskończonego majestatu. Do tego musiałem dojść innymi drogami. Ale przyroda nadała znaczenie słowu "majestat" i do prawdy dotąd nie wiem, w jakiej innej dziedzinie mógłbym tego znaczenia szukać.

„Bojaźń” Boża oznaczałaby prawdopodobnie dla mnie zawsze tylko najprymitywniejszy wysiłek zachowania ostrożności, gdybym nie był widział złowrogich rozpadlin i turni nie do zdobycia. Gdyby przyroda nie wzbudziła we mnie pewnych określonych tęsknot, cała wielka dziedzina tego, co dziś "nazywam "miłością" Bożą, nie istniałaby nigdy dla mnie.

Fakt, że chrześcijanin może się w ten sposób posiłkować przyrodą, nie jest oczywiście ani cieniem dowodu, że chrześcijaństwo to prawda. Ci, co się znajdują we władaniu "ciemnych bóstw", mogą się nią przypuszczalnie również posługiwać we własnym credo. W tym sęk. Przyroda nie uczy. Prawdziwa filozofia może czasem uzasadnić zjawisko przyrody, zjawisko przyrody nie może uzasadnić filozofii.

Przyroda nie potwierdza żadnych teologicznych czy metafizycznych tez (albo nie w sposób, który bierzemy tu pod uwagę); pomaga jednak zrozumieć, co one znaczą.

I, jeśli chodzi o chrześcijańskie przesłanki, bynajmniej nieprzypadkowo. Można oczekiwać, że stworzony majestat przywiedzie nam na myśl nie stworzony, gdyż jeden pochodzi od drugiego i jest w pewien sposób jego odbiciem. W pewien sposób. Ale może nie tak bezpośredni i prosty, jak się nam początkowo wydaje.

Fakty, którymi operują miłośnicy przyrody należący do odmiennej szkoły myślenia, są oczywiście również faktami; istnieją robaki w brzuchu, tak jak istnieją pierwiosnki w lesie. Jeśli spóbujemy pogodzić ze sobą te zjawiska albo wykazać, że nie - potrzebują pogodzenia, odwracamy się od bezpośrednich przeżyć związanych z przyrodą w stronę metafizyki, teodycei czy czegoś podobnego. Może to byłoby i rozsądne, ale uważam, że nie należy tego mieszać z miłością przyrody. Póki znajdujemy się na tej płaszczyźnie, póki usiłujemy mówić o tym, co przyroda nam bezpośrednio "powiedziała", musimy się tej płaszczyzny trzymać. Oglądaliśmy obraz majestatu.

Nie powinniśmy się starać o wynalezienie bezpośredniej drogi wiodącej tędy i dalej do rosnącej znajomości Boga. Droga taka urywa się prawie natychmiast.

Zagłuszają ją lęki i tajemnice, cała głębia Bożych zamysłów, cała gmatwanina historii wszechświata. Nie możemy się przez to przebić; nie tędy droga. Musimy zrobić detour. Opuścić wzgórza i lasy i powrócić do naszych pracowni, do kościoła, do Pisma świętego, musimy uklęknąć. W przeciwnym bowiem razie umiłowanie przyrody zacznie się zamieniać w religię przyrody. A to nas doprowadzi jeśli nie do "ciemnych bóstw", to do wielu niedorzeczności.

Ale nie - potrzebujemy oddawać na pastwę odbłązowiaczom naszej miłości przyrody, miłości zdyscyplinowanej i ograniczonej, jak już wyżej wspomniałem. Przyroda nie może zaspokoić pragnień, które wznieca, ani odpowiedzieć na teologiczne pytania, ani nas uświęcić. Nasza prawdziwa wędrówka do Boga stale wymaga odwracania się do niej plecami: z pól oświeconych blaskiem jutrzeńki przechodzimy do dusznego małego kościoła albo (może) idziemy do pracy w jakiejś parafii położonej na East End. Ale miłość przyrody bywa cennym, a dla niektórych ludzi niezbędnym wstępem.

Nie-potrzebnie powiedziałem: bywa. Ci, co ograniczają do tego miłość przyrody, to chyba: ci, w sercach których długo się utrzymuje.

I tak właśnie być powinno. Jeśli ta miłość pretenduje do roli religii, zaczyna stawać się bogiem - czyli demonem. A demony nigdy nie dotrzymują swoich obietnic. Przyroda "zamiera" w sercach tych, którzy usiłują żyć dla jej miłości.

Coleridge stał się w końcu obojętny na jej wdzięki, Wordsworth lamentował, że majestat jej znikł. Spróbujmy odmawiać pacierz wczesnym rankiem w ogrodzie, świadomie nie zwracając uwagi na rosę, ptaki, kwiaty, a wyjdziemy stamtąd oczarowani świeżością i radością, idźmy tam z zamiarem przeżycia chwil zachwytu, a dziewięć razy na dziesięć po przekroczeniu pewnego wieku, nie doznamy niczego.

Ale wróćmy teraz do miłości ojczyzny. Tu maksyma Denisa de Rougemont nie - potrzebuje komentarzy, wszyscy wiemy, że ta miłość staje się demonem, z chwilą gdy staje się bogiem. Niektórzy doszli do wniosku, że zawsze jest tylko demonem.

Wówczas jednak muszą się oni wyrzec połowy wzniosłej poezji i połowy heroiczych czynów, na które zdobyła się nasza rasa; nie mogą nawet zachować słów Chrystusa ubolewającego nad Jerozolimą. On też wykazał miłość dla swego kraju.

Ustalmy sobie pewne granice naszych rozważań, nie-potrzebny nam tu esej o międzynarodowej etyce. Kiedy miłość ojczyzny nabiera demonicznego charakteru, rodzi oczywiście złe czyny. Niech inni bardziej kompetentni określą, jakie czyny są złe w stosunkach międzynarodowych. My zastanowimy się nad samym uczuciem, ufając, że potrafimy rozróżnić to, co w nim jest niewinne, od tego, co złe, opętane. Ani jedno, ani drugie

nie jest naprawdę motorem działania narodów. Bo, prawdę mówiąc, to rządy a nie narody działają na terenie międzynarodowym. Obłądny patriotyzm podwładnych (a ja piszę tylko dla podwładnych) ułatwia rządzącym złą działalność, zdrowy patriotyzm może ją utrudnić; jeśli rządzący są źli, mogą za pomocą propagandy doprowadzić nasze uczucia do stanu opętania po to, by uzyskać naszą zgodę na własną zbrodniczą działalność. Jeśli są dobrzy, mogą działać odwrotnie. I to jest właśnie jedna z przyczyn, dla której my, osoby prywatne, musimy zwrócić pilną uwagę na to, czy nasza miłość do ojczyzny jest czymś zdrowym czy chorobliwym. Dlatego o tym piszę.

Sprawdzianem tego, z jak bardzo różnorodnych uczuć może się składać patriotyzm, jest fakt, że nikt nie wyrażał go w sposób bardziej dobitny niż Kipling i Chesterton. Gdyby patriotyzm składał się z jednego pierwiastka, tak odmienni ludzie jak obaj pisarze nie mogliby go równocześnie wychwalać. Naprawdę to zawiera on różne składniki, z których można zrobić rozmaite mieszanki.

Przede wszystkim istnieje miłość własnego rodzinnego domu, miejsca, w którym wzrastaliśmy, lub wielu miejsc, które były kolejno naszymi rodzinnymi domami, i wszystkich miejsc położonych w pobliżu i choć trochę podobnych do naszego domu, miłość do starych znajomych, do znanych widoków, dźwięków, zapachów. Proszę zauważyć, że dla nas jest to, w najszerszym tego słowa znaczeniu, miłość do Anglii, Walii, Szkocji czy Ulsteru. Tylko cudzoziemcy lub politycy mówią o "Brytanii". Kiplingowskie słowa: "Nie lubię wrogów mojego Imperium" brzmią śmiesznie i fałszywie. Moje Imperium! Miłość do danej miejscowości łączy się z miłością do pewnego typu życia, do piwa, herbaty, kominków, pociągów z przedziałami, nie uzbrojonej policji i tak dalej, do lokalnego dialektu i (w nieco mniejszym stopniu) do naszego ojczystego języka.. Przyczyny, dla których człowiek nie chce, by jego krajem rządzili cudzoziemcy - powiada Chesterton - są bardzo podobne do przyczyn, dla których nie chce, by mu spalono dom: "nie w potrafiłbym nawet zacząć" wyliczać wszystkich rzeczy, których by mu zabrakło.

Trudno byłoby znaleźć słuszny punkt widzenia, z którego można by podobne uczucie potępić. Jak rodzina daje nam sposobność postawienia pierwszego kroku poza krąg własnego egoizmu, tak to uczucie daje nam sposobność postawienia pierwszego kroku poza krąg rodzinnego egoizmu. Oczywiście to nie czysta "caritas"; składa się nań miłość "bliźniego" w lokalnym znaczeniu tego słowa, nie "bliźniego" w znaczeniu religijnym. Ale ci, co nie kochają współmieszkańców swojej wsi czy miasta, ludzi, których widzą, nie zaszli prawdopodobnie daleko na drodze miłości Człowieka, którego nie widzą. Wszystkie naturalne przywiązania - i to również - mogą stać się rywalami miłości duchowej, ale mogą

też być przygotowaniem, wstępem do niej, treningiem (że się tak wyrażę) duchowych mięśni, którymi później Łaska posłuży się do wyższych celów; tak jak kobieta niańczy w dzieciństwie lalki, a później dzieci. Może się nadarzyć sposobność wyrzeczenia się tej miłości - wylupania prawego oka. Ale na to - potrzeba przede wszystkim mieć oko, istota, która by go nie miała, a posiadała zaledwie "światłoczułe miejsce", traciłaby na próżno czas rozmyślając nad tym surowym tekstem. Patriotyzm tego rodzaju nie jest oczywiście ani trochę agresywny. Chce tylko, by go zostawiono w spokoju. Staje się wojujący jedynie wówczas, gdy broni tego, co kocha. W psychice każdego, kto ma choć za grosz wyobraźni, stwarza on dobrą postawę względem cudzoziemców. Jakże mogę kochać własny dom nie pojmując, że inni, równie słusznie, kochają swoje domy? Kiedy się raz zrozumie, że Francuzi lubią cafe complet, tak jak my Anglicy jajka na boczku - no to szczęście Boże, i niech im smakuje! Nie chcemy wcale, żeby wszędzie było tak samo jak u nas. Jeśliby nie było różnic, pojęcie "u nas" przestałoby istnieć.

Drugim składnikiem jest specyficzna postawa względem przeszłości naszej ojczyzny. Mam tu na myśli taką przeszłość, jaka żyje w ludowej wyobraźni: wielkie czyny naszych przodków. Na przykład Maraton. Na przykład Waterloo: "My, którzy mówimy językiem Szekspira, musimy być wolni lub umrzeć." Przeszłość nakłada zobowiązania, ale i jednocześnie daje pewność: nie wolno nam spaść poniżej poziomu, który dla nas ustalili nasi ojcowie, a ponieważ jesteśmy ich synami, istnieje nadzieja, że do tego nie dopuścimy.

Uczucie to może się wylegitymować tak bezspornymi dokumentami jak zwykła miłość do rodzinnego domu. Prawdziwa historia każdego kraju pełna jest nędznych, nawet haniebnych czynów. Bohaterskie opowieści, jeśli będziemy je traktowali jako coś typowego, dadzą nam fałszywe pojęcie o historii i same podlegają surowej historycznej krytyce. Więc, co za tym idzie, patriotyzm oparty na naszej pełnej chwały przeszłości jest gratką dla odbrązowiaczy. Wraz ze wzrastającym poziomem wiedzy nie może lub też może przetrwać dzięki świadomemu przymykaniu oczu. Ale któż może potępić to, co sprawia, że wielu ludzi w wielu ważnych chwilach zachowa się znacznie lepiej, niżby się zachowali bez tej pomocy.

Sądzę, że można czerpać siły z obrazu przeszłości, nie będąc przezeń oszukany, nie dając mu się zwieść ani nie nadymając się pychą. Ów obraz staje się niebezpieczny w tym właśnie dokładnie stopniu, w jakim mylnie zastępuje poważne i systematyczne studia historyczne lub usiłuje być ich namiastką. Opowieści odgrywają najlepiej swoją rolę, gdy się je podaje i przyjmuje właśnie jako opowieści. Nie chcę przez to powiedzieć, że trzeba się do nich ustosunkować jak do zwykłej fikcji (przecież niektóre z nich są prawdziwe). Ale nacisk należy położyć na samą opowieść, na obraz, który rozpala wyobraźnię, na przykład, który

umacnia wolę. Uczeń, który się tej opowieści przysłuchuje, powinien jakoś czuć - choć oczywiście nie potrafi tego sformułować w słowach - że słucha sagi. Niech się przejmuje poza murami szkoły - "czynami, które zdobyły Imperium", ale im rzadziej będzie to pomieszane z "lekcjami historii" lub niesłusznie uważane za poważną analizę, albo, jeszcze gorzej, za usprawiedliwienie polityki imperialistycznej - tym lepiej. Miałem w dzieciństwie książkę pełną kolorowych obrazków, która się nazywała: "Opowiadania o naszej wyspie". Tytuł ten wydawał mi się zawsze niezmiernie odpowiedni. Książka nie wyglądała bynajmniej na podręcznik szkolny. Zastosowano tu wpajanie młodym pewnych doktryn opartych na świadomie fałszywej lub stroniczej historii, bohater skie legendy podawane jako fakty z podręcznika historii - to właśnie wydaje się czymś trującym, bo na tym podłożu wyrasta pewien typ patriotyzmu szkodliwego, o ile trwa, choć trudno mu przetrwać w umyśle dorosłego wykształconego człowieka.

W ślad za tym wkrada się milczące założenie, że inne narody nie mają swoich bohaterów, a może nawet wiara - na pohybel biologii - że możemy dosłownie "dziedziczyć" tradycję. A to prowadzi nas nieuchronnie do czegoś, co nosi czasem nazwę patriotyzmu.

To coś nie jest już uczuciem, lecz przekonaniem, niezachwianym, nawet prostackim przekonaniem, że nasz naród, krótko mówiąc, już od dawna i nadal, znacznie przewyższa wszystkie inne narody. Kiedyś ośmieliłem się powiedzieć pewnemu duchownemu, głoszącemu tego typu patriotyzm: "Czyż nie mówiono nam, że każdy naród uważa swoich mężczyzn za najdzielniejszych, a swoje kobiety za najpiękniejsze na świecie?" „Tak, ale w Anglii to jest prawdą” - odparł z powagą, tak pełną namaszczenia, jakby odmawiał credo przy ołtarzu. To przekonanie nie zrobiło oczywiście z mego przyjaciela łajdaka (wieczny odpoczynek racz mu dać Panie), tylko bardzo zacnego osła. Może ona jednak zrobić z ludzi osłów, które kopią i gryzą. W swoich krańcowych, obłąkanych objawach może się zamienić w rasizm potępiony zarówno przez chrześcijaństwo, jak przez wiedzę.

Dochodzimy wreszcie do czwartego składnika. Jeśli nasz naród jest o tyle lepszy od innych, możemy uważać, że ma obowiązki lub prawa jakiejś istoty wyższego rzędu w stosunku do nich. W wieku XIX Anglicy doszli całkiem poważnie do tego przekonania: obowiązkiem białego czło wieka jest cywilizowanie ludów pierwotnych. "Tubylcy" - tak ich nazywaliśmy - byli naszymi pupilami, a my ich opiekunami z własnej nominacji. Nie była to tylko hipokryzja. Wyświadczyliśmy im pewną ilość dobrego. Ale nasz nawyk opowiadania, że motywy Anglii w zdobywaniu imperium (lub motywy młodzików szukających posad w administracji cywilnej Indii) były natury altruistycznej, wywołał niesmak reszty świata. A jednak to było wskaźnikiem najszlachetniejszej formy poczucia wyższości. Inne narody

również ob-darzone tym poczuciem położyły nacisk na prawa, nie na obowiązki. Dla nich niektórzy cudzoziemcy byli czymś tak wstrętnym, że miało się prawo ich wytepić. A inni nadawali się tylko do rąbania drzewa i wyciągania wody ze studzien dla wybrańców; niechże się więc mają na baczości, niech sprawnie rąbią i wyciągają! Znaj pana, psie! Nie mam bynajmniej zamiaru twierdzić, że poziom tych dwóch postaw jest identyczny. Ale obie są fatalne. Obie wymagają tego, by teren ich działalności coraz bardziej się poszerzał. I obie cechuje normalne piętno rzeczy złych: muszą być groźne, żeby uniknąć śmieszności. Gdyby nie było zerwanych traktatów z czerwonoskórými, wytepienia Tasmańczyków, komór gazowych i Belsen, korpusu ekspedycyjnego przeciwko irlandzkim sinnfeinistom i "apartheidu", pompatyczność tych obu postaw byłaby oczywiście farsą.

W końcu dochodzimy do tego punktu, w którym patriotyzm w swej demonicznej formie nieświadomie przeczy samemu sobie. Chesterton wynalazł dwie linijki wiersza Kiplinga, które są tego idealnym przykładem. Nie było to lojalne w stosunku do Kiplinga, który wiedział - i to jest godne podziwu u człowieka tak bezdomnego - co znaczy miłość rodzinnego kraju. Można jednak powiedzieć, że słowa te potraktowane jako odrębna całość są celnym i pełnym wyrazem tego nastawienia.

Gdyby Anglia była tym, czym wydaje się być, O, jak szybko porzucilibyśmy ją. Ale nie jest!

Miłość nigdy nie przemawia w ten sposób. To tak jakby się kochało własne dzieci tylko wówczas, kiedy są grzeczne, żonę, póki ładnie wygląda, męża, póki jest sławny i póki mu się powodzi."Nikt nie kocha swego miasta - powiedział pewien Grek - dlatego, że jest duże, ale dlatego, że jest jego." Człowiek, który naprawdę kocha swój kraj, będzie go kochał wtedy, gdy jest on zrujnowany i podupadły."Kocham cię, Anglio, wciąż, pomimo twoich wad." Będzie ona dla niego "czymś ubogim, ale własnym". Kocha ją więc i może myśleć, że jest ona dobra i piękna, choć tak nie jest, ale złudzenie to możemy do pewnego stopnia wytłumaczyć. Żołnierz Kiplinga stawia kwestię odwrotnie: kocha ją, bo sądzi, że jest dobra i potężna, kocha ją dla jej zalet. Traktuje ją jak dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, i poczucie, że jest jej członkiem, wbija go w dumę. A gdyby ojczyzna przestała być dobrze prosperującym przedsiębiorstwem?

Mamy na to gotową odpowiedź: „O, jak szybko porzucilibyśmy ją!” Gdy statek zacznie tonąć, ów żołnierz opuści go. Bo ten rodzaj patriotyzmu, który wyrusza dumnie przy dźwięku surm bojowych i z furkotem chorągwi, w rzeczywistości wyrusza w drogę prowadzącą do Vichy. Z tym zjawiskiem spotykamy się nieraz.

Kiedy przyrodzone miłości stają się swawolne, nie tylko przynoszą szkodę innym miłościom, lecz same przestają być tym, czym były - przestają być miłością.

Patriotyzm ma więc rozmaite oblicza. Ci, co chcą go całkowicie odrzucić, nie zastanawiali się prawdopodobnie nad tym, co się wkradnie - co już się wkradło na jego miejsce. Jeszcze przez długi czas, a może zawsze, narody będą żyły w stanie niebezpieczeństwa. Ci, co rządzą, muszą w jakiś sposób mobilizować swoich podwładnych do obrony danego narodu lub co najmniej do wszczęcia przygotowań w tym celu. Tam, gdzie uczucie patriotyzmu zostało wytepięne, można tego dokonać przedstawiając każdy międzynarodowy konflikt wyłącznie w świetle problemów etycznych. Jeśli ludzie nie chcą przelewać krwi i potu za „swoją kraj”, trzeba w nich wmówić, że przelewają je w imię cywilizacji, sprawiedliwości czy ludzkości.

To jest krok w tył, a nie naprzód. Patriotyzm nie powinien oczywiście lekceważyć zagadnień etyki. Trzeba przekonywać porządnych ludzi, że sprawa ich ojczyzny jest słuszna, ale musi ona pozostać sprawą ich ojczyzny, a nie sprawą słuszności jako takiej. Ta różnica wydaje mi się ważna. Mogę siłą bronić mego domu przed włamywaczem i uważać to bez hipokryzji i faryzejsztwa za rzecz słuszną, ale jeśli będę uważał, że podbiłem mu oko z czysto moralnych względów, zupełnie niezależnie od tego, że dom jest moją własnością, stanę się nieznośną kreaturą.

Poza, że jak neutralni Don Kiszoci stoimy po stronie Anglii, dlatego że sprawa Anglii jest słuszna i tylko z tego powodu, jest również nonsensem. A skutki nedorzecznosci są fatalne. Jeśli sprawa naszej ojczyzny jest sprawą Boga, wojny muszą być wojnami niosącymi całkowitą zagładę. Nadaje się fałszywie transcendentálny charakter rzeczom, które całkowicie należą do tego świata.

Chwałą dawnego uczucia patriotyzmu było to, że choć potrafił on ludzi hartować i czynić ich zdolnymi do najwyższego wysiłku, wiedział o sobie, że jest uczuciem.

Wojny mogą być bohaterskie, nie roszcząc sobie prawa do tytułu świętych wojen.

Odróżniano śmierć bohatera od śmierci męczennika. To samo uczucie, które było czymś tak poważnym w walkach na froncie, potrafiło - i jakież to było miłe - w okresach pokoju żartować z siebie, jak to się często zdarza szczęśliwym miłościom. Potrafiło śmiać się z siebie. Nie można śpiewać naszych starych patriotycznych pieśni bez błysku rozbawienia w oczach; późniejsze pieśni przypominają hymny. Słuchałbym raczej co dzień „Brytyjskich grenadierów” (z akompaniamentem: ratatatam) niż pieśni: „O kraju nadziei i chwały”.

Trzeba podkreślić, że przedmiotem tego rodzaju miłości z wszystkimi jej składnikami może być co innego niż ojczyzna: szkoła, pułk, liczna rodzina, środowisko. Wszystkie te

krytyczne uwagi mogą mieć i tu zastosowanie. Podobnym uczuciem można - darzyć ciała zbiorowe, domagające się czegoś więcej niż naturalnego przywiązania. Kościół lub (niestety) jakieś ugrupowania w łonie Kościoła, zakon. Ten straszliwy temat wymagałby napisania osobnej książki. Tu wystarczy, jak powiemy, że nadprzyrodzona społeczność jest też społecznością ludzką. Uczucie (całkiem naturalne) patriotyzmu, które żywimy wobec tej ostatniej, może sobie łatwo przyswoić transcendentalne roszczenia opisywanej przeze mnie miłości i posłużyć się nimi po to, by usprawiedliwić najwstrętniejsze czyny. Jeśli kiedyś zostanie napisana książka, której ja nie mam zamiaru napisać, będzie ona szczerą spowiedzią chrześcijaństwa z tego, w jakiej mierze to chrześcijaństwo przyczyniło się do ogólnej sumy okrucieństw i zrad. Wielkie obszary "świata" nie chcą nas słuchać, dopóki nie wyrzekniemy się publicznie wielu rzeczy należących do naszej przeszłości. Dlaczego by miały nas słuchać?

Wykrzykiwaliśmy głośno imię Chrystusa, a sprawowaliśmy rządy Molocha.

Można by sądzić, że nie skończę tego rozdziału, nie wspomniawszy ani słowem o naszej miłości do zwierząt. Ale to będzie lepiej pasowało do następnego.

Czy zwierzęta mają własną osobowość, czy nie mają? Zawsze się je kocha, jakby ją miały. Zachodzi tu fakt, czy złudzenia osobowości i miłości zwierząt są w istocie przykładem tego przywiązania, o którym będziemy mówili w następnym rozdziale.

Rozdział III

PRZYWIĄZANIE

Zaczynam od na j pokorniej szej, najbardziej rozpowszechnionej miłości, w zakresie której nasze doznania najmniej się różnią od doznań zwierząt. Muszę prędko dodać, że bynajmniej jej mniej za to nie cenię. Nic w człowieku nie jest ani lepsze, ani gorsze tylko dlatego, że dana cecha jest wspólna ludziom i zwierzętom. Jeśli potępiamy człowieka mówiąc "to po prostu bydlę", nie mamy na myśli, że wykazuje on zwierzęce cechy (wszyscy to robimy), ale, że wykazuje wyłącznie te cechy w okolicznościach, które wymagają wykazania cech specyficznie ludzkich. Kiedy mówimy o nim "zwierzę", zwykle mamy na myśli popełnione przez niego okrucieństwa, do których zwierzęta nie są zdolne: brak im - potrzebnego do tego rozumu.

Grecy nazywali ten rodzaj miłości storge. Ja nazwę to po prostu przywiązaniem.

Mój grecki słownik określa słowo storge jako "przywiązanie, zwłaszcza rodziców do potomstwa", ale również potomstwa do rodziców. Nie mam wątpliwości, że to jest pierwotny kształt tego uczucia oraz główne znaczenie tego słowa. Przede wszystkim musimy sobie wyobrazić matkę niańczącą niemowlę, sukę, kotkę i kosz pełen szczeniąt lub kociąt: ruchliwy kłębek sierści, mruczenie, lizanie, gaworzenie, mleko, ciepło, zapach młodego życia.

Obraz ten jest ważny, bo na samym wstępie stawia nas w obliczu pewnego paradoksu. - potrzeba i miłość-potrzeba młodych są bezsporne, równie bezsporna jest miłość-dar matki. Ona rodzi, ona karmi, ona otacza opieką. A z drugiej strony musi urodzić lub umrzeć. Musi karmić lub cierpieć. W ten sposób jej przywiązanie jest również miłością-potrzebą. Na tym polega paradoks. Przywiązanie jest miłością-potrzebą, a tą - potrzebą jest dawanie siebie. Jest miłością-darem, ale musi czuć się - potrzebne. Do tego zagadnienia powrócimy jeszcze.

Ale nawet w życiu zwierząt, a jeszcze bardziej w naszym, przywiązanie sięga daleko dalej poza stosunek matki do potomstwa. Miłe odprężenie, radość z wzajemnego obcowania, te uczucia odnoszą się do wielu obiektów. Ta miłość jest najmniej dyskryminacyjna. Możemy przewidzieć, że dana kobieta będzie miała mało wielbicieli, a dany mężczyzna mało przyjaciół. Nie mają oni nic do dania. Ale prawie każdy, głupi, brzydki, nawet nieznośny, może się stać przedmiotem przywiązania. Ci, których to uczucie łączy, nie - potrzebują być do siebie dopasowani. Byłem na przykład świadkiem przywiązania do debila nie tylko jego rodziców, ale i braci. Przywiązanie nie zna przeszkody wieku, płci, sfery, wykształcenia.

Może łączyć uczonego młodzieńca ze środowiska uniwersyteckiego ze starą nianią, choć ich umysłowości należą do odmiennych światów. Nie zna nawet przeszkody gatunku. Widzimy, że istnieje między psem a człowiekiem, a co dziwniejsze, między psem a kotem. Gilbert White twierdzi, że odkrył objawy przywiązania między koniem a kurą.

Niektórzy powieściopisarze doskonale to uchwycili. W "Tristramie Shandym" ojciec i wuj Toby tak mało mają wspólnych zainteresowań i poglądów, że nie mogą rozmawiać ze sobą nawet dziesięciu minut bez jakiegoś nieporozumienia, ale wyczuwamy w nich wzajemne głębokie przywiązanie. To samo dzieje się z Don Kiszotem i Sanszo Pansą, Pickwickiem i Samem Wellerem, Dickiem Swivellerem i markizą. To samo spotykamy - choć prawdopodobnie bez świadomej intencji autora - w książce zatytułowanej "O czym szumią wierzby": Kret, Szczur, Borsuk i Ropucha, owa czwórka wskazuje na to, jak bardzo różnić się mogą ci, których łączy wzajemne przywiązanie.

Ale przywiązanie ma własne kryteria: obiekt musi być dobrze znany. Możemy czasem wskazać dokładnie dzień i godzinę, w którejśmy się zakochali lub zawiązali nową przyjaźń. Wątpię, żebyśmy mogli kiedykolwiek określić początek przywiązania. Gdy zdajemy sobie z niego sprawę, zdajemy sobie jednocześnie sprawę, że trwa ono już od pewnego czasu. Używane potocznie po angielsku słowo old - stary - a po francusku vieux jako termin wyrażający przywiązanie jest bardzo charakterystyczne. Pies szczeka na ludzi obcych, choć nie wyrządzili mu żadnej krzywdy, a macha ogonem na widok starych znajomych, nawet jeśli niczym nie zasłużyli sobie na jego Powieść Laurencea Sterne'a (1713-1768), pisarza ang., przedstawiciela sentymentalizmu w literaturze.

Dick Swiveller i markiza - postacie z powieści Dickensa "Magazyn osobliwości". Względny. Dziecko kocha starego, mrukliwego ogrodnika, który nigdy nie zwracał na nie specjalnej uwagi, a boczy się na gościa starającego się usilnie zdobyć jego łaski. Ogródnik jednak musi być "stary", taki, który tu był "zawsze" (to "zawsze" dzieciństwa takie krótkie, a trwające pozornie od niepamiętnych czasów).

Przywiązanie, jak już powiedziałem, jest najpokorniejszą z miłości. Nie zadziera nosa. Ludzie bywają dumni z "zakochania", z przyjaźni. Przywiązanie jest skromne, a nawet wstydlive, przemycą się ukradkiem. Gdy kiedyś coś wspomniałem o dość często spotykanym przywiązaniu psa do kota, mój przyjaciel odparł: "Tak jest. Ale założyłbym się, że żaden pies nie przyznałby się do tego innym psom".

To dobra karykatura wielu ludzkich przywiązań. "Niech swojskie twarze zostaną w domu" - powiedział Comus. Otóż przywiązanie ma bardzo swojską twarz. Tak jak wielu ludzi, dla których żyjemy to uczucie. Że ich kochamy, nie dowodzi ani naszej subtelności,

ani spostrzegawczości; nie dowodzi tego również ich miłość do nas. To, co nazwałem miłością-upodobaniem, nie jest podstawowym składnikiem przywiązania. Osoby, do których jesteśmy przywiązani, zaczynamy zwykle chwalić dopiero wówczas, gdy są nieobecne albo gdyśmy je utracili. Na ogół uważamy ich istnienie za rzecz naturalną, zrozumiałą samo przez się, i ta postawa, która byłaby zniewagą w miłości erotycznej, tu wydaje się do pewnego stopnia słuszna i odpowiednia. Jest dostosowana do spokojnego, wolnego od wstrząsów charakteru tego uczucia. Przywiązanie nie byłoby przywiązaniem, Bohater poematu Johna Milтона (1608-1674) o tym samym tytule. ciasna albo zbyt na wyrost skrojona. Są chwile w miłości erotycznej i w przyjaźni pełne osobliwego wdzięku, kiedy miłość-upodobanie jakby usnęła zwinięta w kłębek, otacza nas tylko zwykłość i beztroska naszego wzajemnego stosunku (wolnego jak samotność, choć nikt nie czuje się osamotniony). Nie - potrzeba rozmawiać. Nie - potrzeba się zalecać. Nie odczuwamy żadnych - potrzeb, prócz może chęci podtrzymania ognia na kominku.

O tym łączeniu się w jedną całość kilku miłości, wzajemnym przenikaniu się, świadczy najlepiej fakt, że w bardzo wielu epokach i krajach ich wspólnym wyrazem był pocałunek. We współczesnej Anglii przyjaźń już się nim nie posługuje, ale przywiązanie i Eros pozostają mu wierne. Należy on w całej pełni

do obu i nie wiemy, które z nich zapożyczyło go od drugiego i czy w ogóle zapożyczyło. Można oczywiście powiedzieć, że pocałunek przyjaźni różni się od miłosego pocałunku. Tak jest z pewnością, ale nie wszystkie pocałunki kochanków są pocałunkami miłosnymi. Obie te miłości mają zwyczaj - co wprowadza w zakłopotanie wielu nowoczesnych ludzi - spieszczania słów, używania "dziecinnych" pogwarek. I to również nie jest wyłącznie przywilejem rodzaju ludzkiego. Profesor Lorenz w "Pierścieniu króla Salomona" powiada, że "kiedy kawki są zakochane, wabią się" wydając głos, w którym słyszemy dźwięki podobne do dźwięków wydawanych przez pisklęta; dorosłe kawki posługują się owym głosem tylko przy tej okazji. My i ptaki mamy to samo na nasze wytłumaczenie. Różne bywają rodzaje czułości i każda Konrad Lorenz (wr. 1903) - Austriak, profesor psychologii w Wiedniu.

nowa czułość posługuje się mową tej pierwszej, najwcześniej przez nas zaznanej.

Nie było tu jeszcze wcale mowy o jednym z najważniejszych ubocznych produktów przywiązania. Zaznaczyłem, że nie jest ono zasadniczo miłością-upodobaniem. Nie przeprowadza dyskryminacji."Daje sobie radę" z najbardziej ograniczonymi, najmniej obiecującymi osobami. Bardzo to dziwne, ale właśnie ten fakt oznacza, iż koniec końców przywiązanie umożliwia ocenę, która by może nie mogła bez niego istnieć. Możemy

powiedzieć z pewną dozą słuszności, że wybraliśmy sobie przyjaciół i kobietę, którą kochamy, dla ich rozmaitych przymiotów, piękności, szczerości, dobroci serca, dowcipu, inteligencji i temu podobnych. Jednak musiał to być specjalny rodzaj piękności, specjalny rodzaj dobroci, który nam odpowiada, i mamy w tych sprawach nasze osobiste gusta. Dlatego właśnie przyjaciele i kochankowie czują, że "są dla siebie stworzeni". Ale osobliwą zasługą przywiązania jest to, że może ono jednoczyć tych, którzy nie są dla siebie stworzeni, ludzi, którzy gdyby ich los nie umieścił w ramach tej samej społeczności czy rodziny, nigdy nie mieliby z sobą nic wspólnego. Jeśli się z tego rodzi przywiązanie - oczywiście często bywa odwrotnie - oczy zaczynają się otwierać. Z początku polubiłem "takiego i takiego", dlatego że po prostu się tu znalazł, a z biegiem czasu zauważyłem, że koniec końców "coś w nim jest". Gdy się powie, naprawdę z przekonaniem, że choć ten ktoś "nie jest w moim typie", ale to "po swojemu" człowiek bardzo zacny, następuje chwila wyzwolenia. Choć my nie odczuwamy tego w taki sposób, może uważamy się tylko za tolerancyjnych i wy 4 - Cztery miłości 49

rozumiących. Ale naprawdę przekroczyliśmy już granicę; określenie "po swojemu" znaczy, że przewyciężyliśmy nasze idiosynkrazje, że uczymy się oceniać dobroć czy inteligencję jako takie, nie tylko dobroć i inteligencję przyprawione i podane w sposób, który dogadza naszemu podniebieniu."Psy i koty powinny być zawsze hodowane razem - powiedział ktoś - to bardzo rozszerza ich horyzonty". A przywiązanie rozszerza nasze; z wszystkich przyrodzonych miłości jest najbardziej tolerancyjne, najmniej wybredne, najbardziej uniwersalne. Z tego punktu widzenia ludzie, z którymi musimy się stykać w rodzinie, w szkole, w stołówce, na statku, w domu modlitwy, tworzą szerszy krąg niż przyjaźnie, choćby najliczniejsze, które zawiązaliśmy na zewnątrz. Wielka ilość przyjaciół nie dowodzi, że należycie doceniamy ogromny wachlarz ludzkich zalet. Z równą słusznością można by powiedzieć, iż dowodem szerokiego kręgu moich literackich zamiłowań jest fakt, że cieszę mnie wszystkie książki w mojej bibliotece. Odpowiedź w obu wypadkach jest ta sama:"Ty wybrałaś te książki. Ty wybrałaś tych przyjaciół. Nic dziwnego, że ci odpowiadają". Dowodem naprawdę szerokiego zasięgu literackich zamiłowań jest możliwość znalezienia czegoś odpowiadającego naszym - potrzebom w księgarni, gdzie sprzedają na ulicy, po sześć pensów, używane książki. Ów szeroki zasięg zainteresowań ludzkością znajdzie coś odpowiedniego dla siebie w tym przekroju ludzkości, z którym się codziennie stykamy. Sądząc z mojego doświadczenia właśnie przywiązanie wzbudza w nas te zamiłowania, ucząc z początku dostrzegać, potem znosić, potem uśmiechać się, potem cieszyć się, a w końcu doceniać ludzi, którzy się "tu przypadkiem znaleźli". Stworzeni dla nas? Bogu

dzięki nie, są sobą, bardziej dziwaczni, niż można było uwierzyć, i więcej warci, niż można było przypuszczać.

A teraz zbliżamy się do niebezpiecznego punktu. Przywiązanie nie zadziera nosa, miłość - według słów świętego Pawła - nie nadyma się. Izywiązanie można odczuwać do osób mało pociągających. Bóg i jego święci kochają ludzi nieatrakcyjnych.

Przywiązanie nie "szuka swego", przymyka oczy na błędy, odżywa z łatwością po sprzeczkach, a miłość również jest cierpliwa, łaskawa, i wybacząca.

Przywiązanie otwiera nam oczy na cnotę, której byśmy bez niego nie dostrzegli lub nie docenili. To samo czyni pokorna świętość. Jeślibyśmy się mieli wyłącznie opierać na tych analogiach, moglibyśmy dojść do przekonania, że przywiązanie jest nie tylko po prostu jedną z naszych przyrodzonych miłości, ale Samą Miłością, która działa w naszych sercach i jest posłuszna prawom Zakonu. Czyżby powieściopisarze z epoki wiktoriańskiej mieli koniec końców słuszność? Czy miłość (tego rodzaju) naprawdę wystarcza? Czy "rodzinne przywiązania" w najszczytniejszym, najpełniejszym znaczeniu tego słowa są synonimem chrześcijańskiego życia? Odpowiedzią na zadane tu przeze mnie pytania będzie z całą pewnością słowo nie.

Nie chodzi mi po prostu o to, że ci autorzy tak czasem pisali, jak gdyby nigdy nie słyszeli słów Pisma, że można "mieć w nienawiści" żonę, matkę, i własne życie. Bo to jest oczywiście prawdą. Rywalizacja pomiędzy wszystkimi przyrodzonymi miłościami a miłością do Boga jest czymś, o czym chrześcijanin nie powinien zapo minać. Bóg jest tym wielkim rywalem, ostatecznym obiektem zazdrosnych uczuć ludzkich; to piękno straszliwe, jak piękno Gorgony, może mi każdej chwili skraść - lub mnie się będzie wydawało, że to kradzież - serce żony, męża, córki. I w tym tkwi istotne źródło goryczy towarzyszącej niekiedy brakowi wiary, ukryte nawet przed oczami tych, którzy ją mają, pod maską antyklerykalizmu i wstrętu do zabobonów. Na razie jednak nie chodzi mi o tę rywalizację, powrócimy do niej w jednym z następnych rozdziałów. Nasze obecne zainteresowania skupiają się na rzeczach bardziej przyziemnych.

Jak dużo jest naprawdę tych "szczęśliwych rodzinnych domów"? I co gorsza, czy wszystkie, w których nie ma szczęścia, są nieszczęśliwe z powodu braku przywiązania? Sądzę, że nie. Prawie wszystkie charakterystyczne cechy tej miłości są sprzeczne ze sobą. Mogą działać na rzecz dobra i na rzecz zła.

Zostawione własnemu losowi mogą zaciemniać życie i obniżyć jego poziom..

Odbrażowiacze i wrogowie sentymentalizmu nie powiedzieli o tej miłości całej prawdy, ale wszystko, co powiedzieli, jest prawdą.

Charakterystycznym tu może objawem jest obrzydliwość prawie wszystkich przesłodkich piosenek i zaprawionych sacharyną poematów, w których sztuka dla mas wyraża uczucie przywiązania. Są one obrzydliwe z powodu zawartego w nich fałszu. Przedstawia się w nich jako gotową receptę na szczęście (a nawet na cnotę) to, co jest tylko sposobnością. Nie zawierają nawet wzmianki o tym, że to my musimy działać, ich zdaniem wystarczy, żeby przywiązanie spływało na nas jak ciepły prysznic, a wtedy - oczywiście - wszystko będzie dobrze.

Stwierdził się już, że uczucie przywiązania zawiera w sobie i miłość-potrzebę, i miłość-dar. Zaczę od - potrzeby, od naszej chęci wzbudzenia w innych przywiązania do naszej osoby.

Istnieje jasno określona przyczyna, dla której to pragnienie łatwo staje się najmniej rozsądne z wszystkich pragnień miłości. Jak już powiedziałem, każdy może być obiektem przywiązania. Tak jest i prawie każdy się tego przywiązania spodziewa. Czytamy w "Drodze człowieka", że pan Pontifex - kapitalny typ - poczuł się znieważony, gdy odkrył, iż syn go nie kocha; to "przeciwne naturze", żeby syn nie kochał własnego ojca! Nie przychodzi mu nawet na myśl zadać sobie pytanie, czy od najdawniejszych czasów, jakie chłopiec może pamiętać, powiedział lub zrobił coś, co mogło wzbudzić miłość syna. Na początku "Króla Leara"

pokazano nam również bohatera tej opowieści jako bardzo niemiłego starca, trawionego straszliwym pragnieniem Jczyjegoś przywiązania. Zmuszony jestem uciekać się do przykładów zaczerpniętych z literatury, bo ty, czytelniku, i ja nie sąsiadujemy z sobą; gdyby tak było, bez żadnej, niestety, trudności zastąpilibyśmy je przykładami z bieżącego życia. A z-darzają się one codziennie.

I rozumiemy, dlaczego tak jest. Wszyscy wiemy, że musimy coś zrobić, jeśli nie po to, by zasłużyć na erotyczną miłość czy przyjaźń, to po to, by je wzbudzić.

Jednali do przywiązania odnosimy się często tak, jak gdyby ono było gotowym wyrobem natury, czymś "wmontowanym w nas", "wrodzonym", "związanym z domem".

Mamy Powieść pisarza ang. Samuela Butlera (1835-1902) - "The Way of All Fleish".
prawo się go spodziewać. Jeśli inni nie czują do nas przywiązania, postępują "wbrew naturze".

To twierdzenie jest niewątpliwie zniekształceniem jakiejś prawdy. Dużo w nas jest rzeczy "wmontowanych" - racja. Ponieważ należymy v do gatunku ssaków, instynkt zaopatrzył nas w pewną ilość, niekiedy bardzo dużą, miłości macierzyńskiej. A ponieważ należymy do gatunku istot żyjących gromadnie, każda grupa rodzinna wytwarza własne

milieu, w którym przy sprzyjających okolicznościach zakwitnie przywiązanie i będzie wzrastało, nie wymagając od danych obiektów zbyt wybitnych zalet. Jeśli ktoś nas obdarza przywiązaniem, nie jest to przecież uzależnione od naszych zasług; często możemy je zdobyć bez żadnego niemal trudu. Pan Pontifex wyciąga zabawny wniosek z mglistej percepcji prawdy (wielu ludzi wzbudza znacznie głębsze uczucie przywiązania, niżby na to zasługiwali): „Wobec tego mam do niego prawo, choć nań nie zasłużyłem”. To tak, jakbyśmy twierdzili - przenosząc zagadnienie na znacznie wyższą płaszczyznę - że

ponieważ nikt nie ma prawa do łaski Bożej z tytułu własnych zasług, wobec tego ja, który nie mam zasług, posiadam odpowiednie kwalifikacje do otrzymania jej. W obu wypadkach nie może być mowy o żadnych prawach. Nie mamy „prawa się spodziewać”, ale możemy „słusznie oczekiwać” miłości ze strony osób bliskich, jeżeli one i my jesteśmy zwykłymi ludźmi. Ale może nimi nie jesteśmy. Może jesteśmy niezdolni. O ile tak jest, „natura” działa przeciwko nam. Bo te same warunki zażyłości umożliwiające przywiązanie, mogą także umożliwić, w równie naturalny sposób, dziwnie nieprzejednaną odrazę, tak zakorzenioną, stałą, nie rzucającą się w oczy, a czasem prawie nieświadomą jak jej odpowiednik - ów kształt miłości. Zygfyrd (bohater opery) nie może sobie przypomnieć chwili, w której każdy krok, każde mruknięcie, każdy niespokojny ruch jego piastunakarła, nie wzbudzałby w nim wstrętu. Nigdy nie możemy uchwycić chwili, kiedy tego rodzaju nienawiść się zaczyna, tak jak nie możemy uchwycić chwili, w której zaczyna się przywiązanie. Istniało zawsze. Zwróćmy na to uwagę: słowo stary jest określeniem, którym się posilkuje nie tylko czułość, ale i znużona niechęć, „jego stare dowcipy”, „to jego stary sposób”, „te same stare kawały”.

Absurdem byłoby twierdzić, że Lear nie zna uczucia przywiązania. W granicach, w jakich przywiązanie jest miłością-potrzebą, jest to człowiek na wpół oszalały z jego nadmiaru. Gdyby, po swojemu, nie kochał własnych córek, nie pragnąłby tak rozpaczliwie ich miłości. Najmniej wzbudzający miłość rodzice (czy dzieci)

bywają właśnie przepelnieni takim zaborczym uczuciem. Przynosi ono nieszczęście im samym i otoczeniu. Sytuacja staje się nie do zniesienia. Jeśli ludzie sami przez się nie wzbudzają miłości, domagają się jej stale jako rzeczy sobie należnej; ich widome poczucie krzywdy, wymówki czy to głośne i natarczywe, czy milczące, zawarte w spojrzeniu i odruchach pełnych urazy, rodzą w nas poczucie winy (i taki jest ich cel) za grzech, któregośmy nie mogli uniknąć i którego nie możemy przestać popełniać. Tacy ludzie sami zasypują źródło, z którego spragnieni chcieliby się napić. Jeśli w jakiejś sprzyjającej chwili zaczyna w nas kiełkować zarodek przywiązania do nich, ich wzrastające wciąż wymagania

zamieniają nas znów w kamień. I oczywiście tego rodzaju osoby domagają się od nas zawsze tych samych dowodów miłości; musimy brać ich stronę, wysłuchiwać ich pretensji względem kogoś i współczuć im.”Gdyby mój syn naprawdę mnie kochał, zdawałby sobie sprawę z egoizmu ojca...” „Gdyby mój brat mnie kochał, solidaryzowałby się ze mną w tej sprawie przeciwko siostrze...” „Gdybyś ty mnie kochał, nie pozwoliłbyś, by mnie tak traktowano...”

Nie zdają oni sobie wcale sprawy, jaka droga doprowadziłaby ich do celu.”Jeśli chcesz, by cię miłowano, bądź miły” - mówi Owidiusz. Ten wesoły stary rozpustnik miał wyłącznie na myśli:”Jeśli chcesz zwabiać dziewczęta, bądź powabny”, ale jego maksyma ma szersze zastosowanie. Ten piewca erotyzmu był w ramach swej epoki mądrzejszy niż Pontifex i król Lear.

Naprawdę dziwne jest nie to, że owe tyraniczne żądania ludzi nie wzbudzających miłości są czasem bezowocne, lecz to, że znajdują tak często oddźwięk. Czasem spotyka się kobietę, która spędza lata dziewczęce, młodość, długi okres wieku dojrzałego, aż do granicy starości, pielęgnując, dogadzając, obsługując, a czasem utrzymując matkęwampira, nigdy niesytą względów i uległości. Takie poświęcenie może być czymś szlachetnym - zdania bywają co do tego podzielone - ale staruszka, która wymusza je na otoczeniu, nie jest osobą szlachetną.

Przywiązanie jako coś ”przyrodzonego” i niezasłużonego, interpretowane bywa często w sposób błędny i wstrętny. To samo można powiedzieć o innych jego cechach: swobodzie, bezceremonialności. Słyszymy często o tym, jak nieuprzejma jest młoda generacja. Sam jestem starszym panem i można by się spodziewać, że stanę po stronie starszych, ale prawdę mówiąc, zawsze mnie bardziej uderza nieuprzejmy sposób, w jaki rodzice traktują dzieci niż sytuacja, kiedy rola się zmienia. Któż z nas nie był zażenowanym gościem, zaproszonym na rodzinny posiłek, przy którym ojciec lub matka traktowali swoje dorosłe potomstwo tak niegrzecznie, że gdyby się w ten sposób odnieśli do obcej młodzieży, ich wzajemna znajomość na tym by się skończyła.

Dogmatyczne aksjomaty wygłaszane w kwestiach, na których dzieci się znają, a które są obce starszemu pokoleniu, bezlitosne przerywanie wypowiedzi młodych, kategoryczne sprzeciwy, ośmieszanie tego, co młodzi traktują poważnie - czasem ich wiary - obraźliwe wzmianki o ich przyjaciółach, wszystko to dostarcza łatwej odpowiedzi na pytanie:”Dlaczego oni wiecznie gdzieś lecą?” „Dlaczego wolą każdy inny dom od rodzinnego?” Któż z nas nie woli uprzejmości od barbarzyństwa?

Jeśli zapytamy którejś z owych nieznośnych osób - oczywiście nie są to wyłącznie rodzice - dlaczego zachowuje się w domu w ten sposób, z pewnością odpowie: „Niech to

szlag trafi! Przecież wracam do domu po to, żeby odpocząć. Nie sposób być zawsze wzorem dobrego wychowania. Jeśli we własnym domu nie można być sobą, to gdzie można? Nie - potrzebujemy się stosować we własnym gronie do towarzyskiego savoir vivre. Jesteśmy szczęśliwą rodziną. Możemy sobie wszystko nawzajem mówić.

Nikt się tym nie przejmuje. Wszyscy się przecież rozumiemy”.

I to również jest niemal prawdą, a jednocześnie fatalnym błędem. Znoszona odzież, wy goda, chwile odprężenia, swoboda, która byłaby złym wychowaniem w stosunku do obcych - to wszystko mieści się w ramach przywiązania. Ale znoszona odzież to jedna sprawa, a noszenie tej samej koszuli dopóty, dopóki nie zaczniesz cuchnąć, to druga. Są ubrania odpowiednie na garden party, ale odzież noszona w domu też musi być na swój sposób odpowiednia. Podobnie należy odróżniać uprzejmość wobec obcych od uprzejmości wobec swoich. Mają one wspólną podstawę:”Nikt nie powinien przekładać siebie nad drugich”. Im charakter wydarzeń jest bardziej publiczny, tym bardziej formalistyczne, czy znormalizowane staje się nasze posłuszeństwo tej zasadzie. Istnieją przecież ”przepisy” dobrego wychowania. Im bardziej intymny jest charakter zdarzeń, tym mniej formalistyki, ale bynajmniej nie mniej - potrzeby kurtuazji. Wręcz przeciwnie. Przywiązanie, osiągnąwszy swój najwyższy poziom, uprawia grzeczność znacznie subtelniejszą, wnikliwszą, głębszą niż ta, która obowiązuje w miejscach publicznych. W miejscach publicznych wystarcza rytuał. Nasz dom musi zamieszkiwać rzeczywistość, której ten rytuał jest symbolem. W przeciwnym bowiem razie odniesie w nim głośny tryumf największy zamieszkały w nim egoista. Nie powinieneś naprawdę przekładać siebie nad innych;

na przyjęciu wystarczy ukryć to, że wolisz siebie. Stąd stare przysłowie: „Zamieszkać ze mną, a dowiesz się, kim jestem”. Dlatego też dopiero czyjś codzienny obyczaj odkrywa nam wartość jego ”towarzyskich czy światowych” manier (cóż za wstrętne wyrażenie!). Ci, którzy zostawili swoje dobre maniery na dansingu czy na przyjęciu i wrócili do domu bez nich, tam również nie byli naprawdę uprzejmi. Małpowali tylko tych, co nimi byli.

„Możemy sobie wszystko powiedzieć”. W tych słowach ukryta jest następująca prawda: przywiązanie, które osiągnęło swój najwyższy poziom, może powiedzieć to, co przywiązanie, które osiągnęło swój najwyższy poziom, życzy sobie powiedzieć, bez względu na przepisy towarzyskie, bo przywiązanie na swym najwyższym poziomie nie chce nikogo zranić ani upokorzyć, ani nad nikim przewodzić. Możesz powiedzieć do najukochańszej żony:”Ale prosiak z ciebie”, wówczas gdy przez nieuwagę wypięła nie tylko swój cocktail, ale i twój. Możesz przerwać wybuchami głośnego śmiechu opowiadanie, które twój ojciec trochę zbyt często powtarza.

Możesz dokuczać, przekomarzać się. Możesz powiedzieć: "Cicho bądź, chcę czytać".

Możesz robić, co ci się żywnie podoba, byle w odpowiedniej chwili i w odpowiedni sposób, w sposób i w chwili, które nie mają zamiaru nikogo urazić i nie urażą.

Im szlachetniejsze jest nasze przywiązanie, tym niezawodniej wie ono, jakie to są chwile i sposoby (każda miłość ma swoją sztukę kochania). Ale domowy tyran stwierdzający, że jemu wolno wszystko mówić, ma całkiem co innego na myśli.

Czuąc bardzo niedoskonały rodzaj przywiązania do kogoś lub nie czując w danej chwili żadnego, pozwala sobie na tę wspaniałą swobodę, do której ma prawo i z którą potrafi sobie poradzić przywiązanie najszlachetniejszego gatunku. Nadużywa jej złośliwie pod wpływem urazu lub okrutnie pod wpływem egoizmu, albo po prostu głupio, gdyż nie potrafi inaczej. A przez cały czas może mieć czyste sumienie.

Wie, że przywiązanie korzysta z przywiłku swobody. Więc i on sobie na nią pozwala. Czyli (dochodzi do wniosku) że daje dowody przywiązania. Jeśli ty będziesz się czuł czymś urażony, on będzie twierdził, że to tobie brak miłości. Obrazi się. Źle go rozumiano.

Czasami taki człowiek mści się i dosiada wielkiego konia: staje się wyszukanie "uprzejmy". Ma to oczywiście znaczyć: "Ach tak! Więc nasza zażyłość jest czymś nieistotnym? Mamy postępować tak, jakbyśmy byli zwykłymi znajomymi? Miałem nadzieję, że... ale mniejsza z tym. Niech i tak będzie, skoro sobie tego życzysz". Przykład ten ilustruje różnicę zachodzącą między grzecnością w życiu codziennym a grzecnością oficjalną. To, co jest odpowiednie w pierwszym wypadku, może się okazać zgubne w drugim. Bezpośredniość i swoboda zachowania, w chwili gdy cię przedstawiają wybitnemu cudzoziemcowi, to po prostu złe wychowanie, również złym wychowaniem - zawsze w danym wypadku świadomie podkreślanym - jest przestrzeganie u siebie w domu form i ceremoniału oficjalnej uprzejmości („uroczyste twarze w nieuroczystych miejscach"). W "Tristramie Shandym" mamy podany doskonały przykład naprawdę dobrego wychowania w życiu rodzinnym. Wuj Toby rozprawia jak zwykle na swój ulubiony temat budowania fortyfikacji. Ojciec bohatera, tym razem zniecierpliwiony do ostateczności, przerywa mu gwałtownie. I nagle widzi twarz brata: dobrotliwą twarz Tobyego głęboko urażonego, nie z powodu, że go zlekceważono - to by mu nigdy nie przyszło do głowy - ale że zlekceważono szlachetną sztukę fortyfikacji. Ojca ogarnia od razu skrucha. Następują przeprosiny, całkowite pogodzenie. Wuj Tom, chcąc podkreślić, że przebaczył i nie chowa w sercu urazy, powraca do swego wykładu o fortyfikacjach.

Ale nie poruszaliśmy jeszcze tematu zazdrości. Chyba nikt obecnie już nie uważa, że zazdrość jest związana wyłącznie z miłością erotyczną. A jeśli uważa, to zachowanie się dzieci, podwładnych, zwierząt domowych, powinno go pozbawić tych złudzeń. Każdy rodzaj miłości, każdy niemal typ ludzkich związków jest skłonny do zazdrości. Gdy chodzi o zazdrość w granicach przywiązania, jest ona ściśle uzależniona od faktu, że przywiązanie opiera się na tym, co dobrze znamy i do czego przywykliśmy. I od tego, że dla przywiązania to, co nazwałem miłością uznaniem, jest czymś zupełnie lub względnie nieważnym. Nie życzymy sobie wcale, by stare znajome twarze stały się weselsze czy piękniejsze, stare obyczaje zostały zmienione, stare dowcipy i zainteresowania zastąpione podniecającymi nowościami. Zmiana jest groźbą dla przywiązania. Dla siostry i brata rosnących razem lub dla dwóch braci - płeć nie odgrywa tu roli - wszystko do pewnego wieku jest wspólne. Czytali te same "comicsy", włożyli na te same drzewa, byli razem piratami czy międzyplanetarnymi podróżnikami, zaczęli jednocześnie zbierać znaczki pocztowe i jednocześnie porzucali te zajęcia. Nagle dzieje się rzecz straszna. Jedno z nich robi wielki skok naprzód, odkrywa poezję lub naukę, czy też poważną muzykę, a może miewa przeżycia religijne, nawraca się. Jego życie wypełniają po brzeg nowe zainteresowania. To drugie nie może z nim tego dzielić, pozostaje w tyle. Wątpię, czy nawet niewierność żony lub męża wywołuje rozpaczliwsze uczucia opuszczenia, na miętniejszą zazdrość, niż to, co się czasem w tym wypadku zdarza. Zazdrość ta nie obejmuje jeszcze nowych przyjaźni, które dezenter wkrótce nawiąże. To przyjdzie później, na razie skierowana jest przeciw samemu obiektowi, przeciw wiedzy, muzyce, Bogu (Boga nazywa się zawsze w tym kontekście "religią" lub "tą twoją religią"). Zazdrość wyrażać się będzie prawdopodobnie ośmieszaniem. Nowe zainteresowania to "jedno wielkie głupstwo", hańbiąco dziecinne (lub hańbiąco dorosłe) głupstwo; albo: dezenter nie jest właściwie wcale zainteresowany tym wszystkim, udaje, zgrywa się, pozuje i na tym koniec. Wkrótce książki zostaną schowane, przyrodnicze zbiory zniszczone, radio ostentacyjnie przestawione na inne fale, z chwilą gdy zaczyna nadawać klasyczny program. Bo przywiązanie jest najbardziej instynktowną i w tym znaczeniu najbardziej zwierzęcą z miłości, i zazdrość z nim związana jest odpowiednio okrutna. Warczy i szczyrzy zęby jak pies, któremu nagle zabrano jedzenie sprzed nosa. I dlaczego nie miałoby tego robić? Coś lub ktoś odbierał dziecku pożywienie, do którego przywykło przez całe życie, odbierał mu jego drugie "ja". Świat rozpadł mu się w gruzy.

Nie tylko dzieci reagują w podobny sposób. W życiu cywilizowanego kraju, w okresie pokoju, mało jest równie szatańskich zjawisk jak wrogość żywiona przez niewierzącą rodzinę do jednego z jej członków, który stał się chrześcijaninem, lub przez niekulturalną rodzinę - do

tego, który zdradza objawy zainteresowań intelektualnych. To nie jest po prostu, jak kiedyś sądziłem, wrodzona, jakby bezinteresowna nienawiść ciemności do światła. Pobożna rodzina, której jeden z członków stał się ateistą, nie zawsze postępuje lepiej. Jest to reakcja na dezercję, na rabunek. Ktoś czy coś skradło "naszego" chłopca czy dziewczynę. Ten, który był jednym z nas, stał się jednym z nich. Kto miał prawo to zrobić? On był nasz. Kiedy coś zaczyna się zmieniać, ktoś może wiedzieć, czym się to skończy? („Tacy byliśmy przedtem szczęśliwi, tak nam było dobrze i nikomuśmy nie szkodzili!”)

Człowiek odczuwa czasem podwójną zazdrość lub raczej dwie niezgodne z sobą zazdrości, jedna z nich ściga drugą w umyśle ofiary. Bo oczywiście "to wszystko wymysły, przekłete intelektualne wymysły, bujda i blaga". Ale z drugiej strony: „Przypuśćmy - choć to nieprawda, choć tak być nie może - ale przypuśćmy na chwilę, że w tym coś jest?” Przypuśćmy, że coś jest w literaturze, w chrześcijaństwie? A może dezerterski wszedł naprawdę w jakiś nowy świat, którego istnienia nikt z nas nawet nie podejrzewał? Jeżeli tak, jakie to niesprawiedliwe! Dlaczego właśnie on? Dlaczego te drzwi nie otworzyły się przed nami?” Ta smarkula, ten pętaś, dojrzyli rzeczy ukryte przed starszymi od nich?”

A ponieważ nie można oczywiście ani w to uwierzyć, ani tego znieść, więc zazdrość powraca do hipotezy: "Wszystko to brednie!"

Rodzice mają w tym wypadku znacznie wygodniejszą sytuację niż bracia i siostry.

Dzieci nie znają ich przeszłości. Jakikolwiek by był nowy świat, w którym obraca się dezerterski, rodzice mogą zawsze powołać się na to, że sami przeżyli podobne rzeczy i wyszli z nich cało. "To faza - mówią. - Minie bez śladu." Takie twierdzenie jest wysoce zadowolające. Nie można go obalić, gdyż rzutuje w przyszłość. Żądło jego kłuje, ale wypowiedziane w sposób tak pobłażliwy, nie wzbudza właściwie w nikim urazy. A starsi mogą w to naprawdę wierzyć. I co najlepsze, może się okazać, że to rzeczywiście była prawda.

Jeśli się nie okaże w końcu prawdą, to nie z ich winy.

„Chłopcze, chłopcze, twoje szaleńcze wybryki złamią serce matki.” To typowo wiktoriańskie zdanie mogło być często słuszne. Przywiązanie gorzko cierpiało, gdy któryś z członków rodziny wyrwał się z kręgu domowego ethos i schodził na złe drogi: zaczynał grać, pić, zadawać się z baletnicami. Niestety, można niemal z równą łatwością złamać serce matki wynosząc się ponad poziom domowego ethos.

Konserwatywna wytrwałość przywiązania jest bronią obosieczną. Może być domowym odpowiednikiem tego samobójczego w skali narodowej typu wychowania, które wstrzymuje rozwój zdolnego dziecka, bo nieroby i tumany mogłyby się czuć "dotknięte", gdyby zostało przeniesione do wyższej klasy niż ta, do której one uczęszczają.

Wszystkie te zwyrodnienia uczucia przywiązania dotyczą przede wszystkim przywiązania jako miłości-potrzeby. Ale przywiązanie jako miłość-dar też może ulec zwyrodnieniu.

Mam w tej chwili na myśli panią Fidget, która umarła kilka miesięcy temu. Aż dziwne, jak jej rodzina poweselała. Wyraz napięcia znikł z twarzy męża, zaczyna się nawet śmiać. Młodszy syn, którego zawsze uważałem za stworzenie zgorzkniałe i opryskliwe, wykazuje całkiem ludzkie cechy. Starszy, który tylko nocował u rodziców, teraz prawie stale jest w domu i zajął się ogrodem. Córka, o której się zawsze mówiło, że jest "wątlą" (choć nigdy nie mogłem się dokładnie dowiedzieć, czego jej brakuje), bierze teraz lekcje konnej jazdy, o których dawniej nie mogło być nawet mowy, potrafi przetańczyć całą noc i może grać w tenisa dowolną ilość godzin. Nawet pies, którego wyprowadzano na dwór tylko na smyczy, jest teraz popularnym członkiem Klubu Latarni na ich ulicy.

Pani Fidget mówiła bardzo często, że żyje wyłącznie dla swej rodziny. To nie było kłamstwem. Wszyscy w sąsiedztwie wiedzieli o tym. "Żyje dla rodziny - mówili - co za żona i matka!" Robiła sama wielkie pranie, choć prała źle i mogli sobie pozwolić na oddawanie bielizny do pralni; błagali ją często, żeby tego nie robiła. Ale prała nadal. Każdy, kto był o danej porze w domu, dostawał gorący lunch, a wieczorem była zawsze gorąca kolacja (nawet w pełni lata). Błagali, żeby nie przygotowywała takich posiłków. Zapewniali niemal ze łzami, że lubią zimne dania (co było prawdą). Nie odnosiło to żadnego skutku. Żyła dla swojej rodziny. Jeśli ktoś z domowników wracał późno, czuwała zawsze, obojętne czy to była godzina druga, czy trzecia w nocy - witała go wyczekująca, szczupła, blada, zmęczona twarz matki, wyrażająca nieme oskarżenie. Znaczyło to oczywiście, że nieprzyzwoitością byłoby często wychodzić z domu. Pani Fidget stale robiła jakieś ręczne roboty i była we własnym mniemaniu doskonałą krawcową amatorką (ja nic się na tym nie znam) i wielką specjalistką od trykotaży. I naturalnie trzeba było nosić te rzeczy - nie można przecież zachowywać się jak bydlę. (Pastor mówi, że od czasu jej śmierci ofiary składane przez rodzinę Fidgetów na "dobroczyne loterie" przewyższają ofiary wszystkich innych parafian razem wzięte.) A jak dbała o zdrowie rodziny!

Córka była "wątlą", ale ciężar tego faktu dźwigała wyłącznie na swoich barkach matka. Lekarzowi - staremu przyjacielowi domu, nie działającemu tu w ramach służby zdrowia - nie pozwolono nigdy mówić z pacjentką o jej dolegliwościach, po bardzo pobieżnym badaniu matka zabierała doktora do drugiego pokoju. Dziewczyna nie powinna odczuwać żadnych trosk związanych z własnym zdrowiem, ani ponosić odpowiedzialności za nie. Powinna mieć jedynie troskliwą opiekę: pieszczoty, specjalne odżywianie, wstrętne

wzmacniające mikstury i śniadania podane do łóżka. Bo pani Fidget - jak często sama mawiała - gotowa była "urobić sobie ręce do krwi" dla swojej rodziny. Nie mogli jej powstrzymać. A ponieważ byli przyzwoitymi ludźmi, nie mogli również spokojnie siedzieć i patrzeć, jak ona pracuje. Musieli pomagać. Prawdę mówiąc musieli stale pomagać. To znaczy robić różne rzeczy, żeby jej pomóc w robieniu różnych rzeczy dla nich, na które oni nie mieli ochoty. A co do kochanego pieska, odnosiła się do niego "jak do któregoś z własnych dzieci". Rzeczywiście dokładała wszelkich starań, by stał się do nich jak najbardziej podobny. Ale ponieważ piesek nie miał skrupułów, działa mu się raczej lepiej niż im i choć jego życiu wyraźnie zagrażały dieta, weterynarz i rozciągnięta nad nim piecza, potrafił jednak czasem dorwać się do skrzynki ze śmieciami lub do psa w sąsiedztwie.

Pastor powiedział: "Pani Fidget spoczywa teraz w spokoju". Miejmy nadzieję, że tak jest. A że jej rodzina też ma teraz spokój, to już rzecz najzupełniej pewna.

Łatwo stwierdzić, jak bardzo skłonność do podobnego stanu rzeczy jest, że się tak wyrażę, przyrodzona macierzyńskiemu instynktowi. To przywiązanie jest miłością-darem, ale miłością, która odczuwa - potrzebę dawania, czyli musi czuć się - potrzebna. Właściwym jednak celem dawania jest doprowadzenie odbiorcy do stanu, w którym nie - potrzebuje już naszych - darów. Karmimy dzieci po to, by mogły jak najprędzej nakarmić się same, uczymy je po to, by jak najprędzej nie - potrzebowały naszych nauk. W ten sposób miłość-dar czeka ciężkie zadanie. Jej działalność powinna zmierzać do własnej abdykacji. Musimy dążyć do tego, by stać się zbędnymi. Godzina, w której możemy powiedzieć: "Nie - potrzebują mnie już", powinna być naszą nagrodą. Ale instynkt, po prostu z samej natury rzeczy, nie ma siły podporządkować się temu prawu. Instynkt pragnie dobra swego obiektu, ale nie każdego dobra, tylko takiego, jakim sam może go obdarzyć. Zanim instynkt potrafi się zdobyć na rezygnację, musi mu pomóc i okiełzać go wyższa forma miłości, miłości, która pragnie dobra swego obiektu bez względu na to, skąd dobro to płynie. I często się tak dzieje. A jeśli dzieje się inaczej, wówczas przemożne pragnienie uczucia, że się jest - potrzebnym, folguje sobie podtrzymując w swoich obiektach - potrzeby niezaspokojone lub tworząc fikcyjne. A robi to dlatego tak bezlitośnie, gdyż sądzi (i do pewnego stopnia słusznie), że jest miłością-darem i jako takie uważa siebie za "niesamolubne".

Nie tylko matki tak postępują. W ten sam potrzask mogą wpaść wszystkie przywiązania, które albo wywodzą się z instynktu rodzicielskiego, albo spełniając podobne zadanie, muszą się opierać na czyjejs - potrzebie. Przywiązanie opiekuna do swego pupila to jeden z przykładów. W powieści Jane Austen Emma postanawia, że Harriett Smith musi mieć szczęśliwe życie, ale tylko ten rodzaj szczęśliwego życia, które Emma dla niej zaplanowała.

Mój własny zawód - wykładowcy uniwersyteckiego - pełen jest niebezpieczeństw w tej dziedzinie. Jeśli mamy pracować pożytecznie, naszym celem powinna być chwila, w której uczniowie są już odpowiednio przygotowani do tego, by stać się naszymi krytykami i rywalami. Kiedy ta chwila nadchodzi, powinniśmy się czuć uradowani jak nauczyciel fechtunku, gdy jego uczeń potrafi zrobić fintę i wytrącić mu broń z ręki. I wielu naprawdę tak, czuje.

Ale nie wszyscy. Jestem na tyle stary, żeby pamiętać smutny przypadek doktora Quartza. Żaden uniwersytet nie mógł się poszczycić profesorem bardziej wydajnym w swej nauczycielskiej pracy czy bardziej nią pochłoniętym. Był całkowicie oddany swoim uczniom. Prawie na wszystkich wywierał przemożny wpływ. Był obiektem zasłużonego uwielbienia. Gdy przestawał być ich profesorem, odwiedzali go nadal z przyjemnością uważając to za rzecz całkiem naturalną; chodzili do niego wieczorami i prowadzili zasadnicze dyskusje. Ale rzecz ciekawa - nie trwało to nigdy długo. Prędzej czy później, po upływie kilku miesięcy lub nawet kilku tygodni, nadchodził fatalny wieczór: pukali do drzwi i oznajmiano im, że profesor jest zajęty. I później też stale bywał zajęty. Zostali wygnani na zawsze.

Jane Austen (1775-1817), powieściopisarka ang., doskonale kreśli postacie kobiet.

Dlatego, że podczas ostatniego spotkania zbuntowali się. Obstawali przy swojej samodzielności, nie zgadzali się z profesorem i podtrzymywali swoje poglądy może nie bez powodzenia. Doktor Quartz nie mógł znieść konfrontacji z tą właśnie samodzielnością, którą tak pilnie usiłował wyrobić w swoich uczniach i której wyrobienie było jego trudnym obowiązkiem. Wotan mozolił się, żeby stworzyć wolnego Zygryda, ale gdy stanął oko w oko z wolnym Zygrydem, ogarnęła go wściekłość. Doktor Quartz był człowiekiem nieszczęśliwym.

Ta straszliwa - potrzeba uczucia, że się jest - potrzebnym, znajduje często ujście w rozpieszczaniu zwierząt. Gdy się dowiadujemy, że ktoś "lubi zwierzęta", niewiele nam to mówi, póki nie wiemy, w jaki to robi sposób. Bo są dwa sposoby.

Niewątpliwie zwierzęta należące do wyższych gatunków i oswojone tworzą rodzaj „pomostu” między nami a resztą przyrody. Wszyscy odczuwamy czasem, i raczej boleśnie, nasze wyobcowanie ze świata przyrody - atrofię instynktu wynikającą z inteligencji, zbyt ostrą świadomość samego siebie, nieskończone powikłania sytuacji życiowych, niemożność istnienia w terażniejszości. Ach, gdybyśmy mogli się tego wszystkiego pozbyć! Nie powinniśmy - i poza tym - nie możemy stać się zwierzętami. Ale możemy obcować ze zwierzętami. Jest ono na tyle osobowe, by nadać znaczenie słowu obcować, a jednocześnie pozostaje w znacznej mierze nieświadomym sobie kłębuszkiem biologicznych impulsów.

Tkwi trzema nogami w świecie przyrody, a jedną w naszym. Jest łącznikiem, ambasadorem; któż by nie chciał według słów Bosan ąeta "mieć swego przedstawiciela na dworze bożka Pana". Człowiek z psem wypełnia lukę istniejącą we wszechświecie. Ale zwierzęta bywają oczywiście często wykorzystywane w gorszy sposób. Jeśli pragniesz być - potrzebnym, a twoja rodzina, całkiem słusznie, nie jest skłonna - potrzebować ciebie, najprostszą namiastką będzie zwierzątkofaworyt. Możesz dokonać tego, że będzie ciebie - potrzebowało przez całe życie. Możesz je utrzymywać w stanie stałego infantylnizmu, doprowadzić do trwałego inwalidztwa, odciąć je od wszystkiego, co stanowi prawdziwie dobre samopoczucie zwierząt i jako kompensatę stworzyć mu - potrzeby niezliczonych drobnych zachcianek, którym tylko ty potrafisz dogodzić.

W ten sposób nieszczęsne stworzenie staje się niezmiernie pożyteczne dla reszty domowników: jesteś tak zajęty marnowaniem życia psa, że nie masz już czasu marnować ich życia. Pies się lepiej do tego nadaje niż kot, a mówiono mi, że najlepiej małpa. Jest przy tym podobniejsza do prawdziwego obiektu uczuć.

Wszystko to jest bardzo niefortunne dla zwierzęcia. Prawdopodobnie nie rozumie ono w pełni, jaką mu wyrządziłeś krzywdę. A co więcej, gdyby nawet rozumiało, nic byś o tym nie wiedział. Najbardziej sponiewierany człowiek może, doprowadzony do ostateczności, wybuchnąć pewnego dnia i wykrztusić z siebie straszliwą prawdę. Zwierzęta nie potrafią mówić. Ci, co powiadają: "Im lepiej poznaję ludzi, tym więcej kocham psy", ci, co znajdują w zwierzętach wytchnienie od wymagań, które im stawia towarzystwo ludzi, niech się dobrze Bernard Bosainąoiet (1848-1923) - ang. filozof, wykładowca w Oxfordzie i St.

Andrews.

zastanowią nad prawdziwą przyczyną swoich uczuć.

Ufam, że zostałem należycie zrozumiany. Jeśliby ktoś po przeczytaniu tego rozdziału powątpiewał w to, że brak "naturalnego przywiązania" jest poważną wadą - oznaczałoby to, iż mi się nie udało. Nie kwestionuję również ani przez chwilę, że w naszym życiu dziewięć dziesiątych najróżnorodniejszego a trwałego i solidnego szczęścia zawdzięczamy przywiązaniu. A co za tym idzie, odczuwam pewną sympatię dla czytelników, którzy będą komentowali tych ostatnich kilka stron w następujący sposób: "Oczywiście, oczywiście. Takie rzeczy się z-darzają. Egoiści albo neurastenicy potrafią obrócić wszystko, nawet miłość, w jakieś utrapienie czy wyzysk. Ale dlaczego rozwodzić się nad tymi skrajnymi przypadkami? Trochę zdrowego rozsądku, trochę wzajemnych ustępstw zapobiega ich pojawianiu się wśród przyzwoitych ludzi". Ale ten komentarz wymaga komentarza.

Po pierwsze zastanówmy się nad słowem neurastenicy. Nie uważam, żebyśmy cokolwiek wyjaśniali, jeśli sklasyfikujemy wszystkie szkodliwe stany przywiązania jako patologiczne. Istnieją niewątpliwie patologiczne warunki, które wielu ludziom niezmiernie utrudniają albo nawet zupełnie uniemożliwiają odrzucenie pokusy poddania się tym stanom. Takich ludzi należy koniecznie posłać do doktora. Wydaje mi się jednak, że każdy uczciwy wobec siebie człowiek przyzna się, że odczuwał analogiczne pokusy. Ich pojawienie się nie jest chorobą, chyba że ta choroba nosi nazwę: skażona grzechem pierworodnym natura ludzka. U zwykłych ludzi uleganie tym pokusom - a któż im czasem nie ulega?

nie jest chorobą lecz grzechem. Duchowe kierownictwo więcej nam tu pomoże niż leczenie. Medycyna dąży do przywrócenia "naturalnej" budowy czy "normalnych"

funkcji. Ale chciwość, egoizm, oszukiwanie samego siebie, rozczulanie się nad sobą, nie są czymś niezwykłym czy nienormalnym w tym znaczeniu, w jakim nimi są astygmatyzm czy wędrująca nerka. Bo któż by, na miłość Boską, nazwał człowieka nie ulegającego nigdy tym ułomnościom, człowiekiem zwyczajnym czy normalnym?"Zwyczajnym", jeśli chcecie, ale w całkiem innym znaczeniu, prazwyczajnym, nie skażonym grzechem pierworodnym. Myśmy znali tylko jednego takiego Człowieka. Nie był On wcale podobny do stworzonego przez psychologów obrazu obywatela, popularnego, na stanowisku, dopasowanego do otoczenia, zrównoważonego, szczęśliwego w małżeństwie. Trudno wprawdzie dopasować się do otoczenia komuś, o kim ten świat twierdzi, że "czarta ma", komuś, kogo w końcu się przybija do drewnianego pala.

Po wtóre, ten komentarz na swój sposób potwierdza to, co ja usiłuję powiedzieć.

Przywiązanie jest źródłem szczęścia, o ile - i tylko o ile - towarzyszy mu zdrowy rozsądek, wzajemne ustępstwa i "przyzwoite zachowanie". Innymi słowami, jeśli mu przydamy coś więcej i coś innego. Samo uczucie nie wystarcza. - potrzebny jest "zdrowy rozsądek", czyli rozum. - potrzebne wzajemne ustępstwa, czyli sprawiedliwość, która by przywoływała do życia samo przywiązanie, gdy ono zamiera, i powściągała je. gdy zapomina o sztuce kochania lub ją lekceważy.

- potrzebne jest "przyzwoite zachowanie". A nie sposób ukryć, że to oznacza cnoty:

cierpliwości, zaparcia się siebie, pokory i stałą interwencję znacznie wyższego gatunku miłości niż ten, jaki może stanowić kiedykolwiek przywiązanie samo w sobie. I tu leży punkt ciężkości. Jeśli będziemy usiłowali żyć wyłącznie przywiązaniem, przywiązanie "zemści się na nas".

Rzadko się orientujemy, jak bardzo się zemści. Czy pani Fidget mogła rzeczywiście nic nie wiedzieć o niezliczonych kłopotach i cierpieniach, jakie powodowała we własnej

rodzinie? Trudno w to uwierzyć. Wiedziała, na pewno wiedziała, że świadomość, iż zastaniesz ją po powrocie "czuwającą", czekającą na ciebie, nie-potrzebnie, z urazą, zepsuje ci cały wieczór. Stosowała nadal te wszystkie przykre praktyki, bo gdyby z nich zrezygnowała, stanęłaby wobec faktu, którego zdecydowana była nie widzieć: przekonałaby się, że nie jest - potrzebna.

To była pierwsza przyczyna. A poza tym trud jej życia zagłuszał ukryte powątpiewania w wartość żywionego przez nią uczucia. Im bardziej paliły ją nogi, im mocniej rwało ją w krzyżu, tym było lepiej, gdyż ból szeptał jej do ucha: „Jakże bardzo muszę ich kochać, skoro robię to wszystko”. To była druga przyczyna! Myślę jednak, że należy sięgać jeszcze głębiej. Brak uznania u bliskich, te straszliwie raniące słowa - osoby typu pani Fidget łatwo jest "zranić" - w których ją błagali, żeby odesłała bieliznę do prania, wszystko to sprawiało, że mogła czuć się sponiewierana, czyli mieć nieustanny żal i napawać się rozkosznym oburzeniem. Jeśli ktoś powie, że takie rozkosze są mu nieznane - kłamie albo jest święty. Prawda, że są one rozkoszami tylko dla tych, którzy nienawidzą. Ale taka miłość, jak miłość pani Fidget, zawiera w sobie dużo nienawiści. Rzymski poeta mówi co prawda o miłości erotycznej: "Kocham i nienawidzę", ale innym miłościom też nieobca jest ta mieszanina. Noszą one w sobie ziarna nienawiści. Jeśli przywiązanie zapanuje niepodzielnie nad życiem człowieka, ziarno zła zacznie kiełkować. Miłość, która została bogiem, stanie się demonem.

Rozdział IV

PRZYJAŻŃ

Kiedy się mówi o przywiązaniu czy Erosie, znajduje się zawsze gotowe audytorium. Rozwiedzono się często nad wielkością i pięknem obu tych miłości, niemal do przesady. Nawet ci, co chcą odbrać owe uczucia, świadomie przeciwstawiają się temu tradycyjnemu uwielbianiu, czyli że do pewnego stopnia są pod jego wpływem. Ale bardzo niewielu współczesnych ludzi uważa przyjaźń za miłość o równorzędnej z nimi wartości lub w ogóle za miłość. Nie mogę sobie przypomnieć, żeby od czasu "In Memoriam", ktoś ją opiewał. Tristan i Izolda, Antoniusz i Kleopatra, Romeo i Julia mają we współczesnej literaturze nieskończoną ilość odpowiedników. Dawid i Jonatan, Pylades i Orestes, Roland i Oliver, Amis i Amile tych odpowiedników nie mają. Starożytnym przyjaźń wydawała się najszcześniejszą, najbardziej ludzką z miłości, koroną życia i szkołą cnót. W porównaniu z tym świat współczesny pomija ją milczeniem. Wszyscy oczywiście uważamy, że mężczyzna powinien mieć - prócz żony i rodziny - kilku "przyjaciół".

Ale sam ton tego twierdzenia i rodzaj znajomości, które ci, co to twierdzą, określają słowem "przyjaźń", wykazują jasno, że to, o czym mówią, ma bardzo mało wspólnego z pojęciem philia, które Arystoteles Poemat A. Tennysona (1809-1892), wydany w roku 1851.

zalicza w poczet cnót, czy też z tą amicitia, o której Cynceron napisał traktat.

Jest to coś całkowicie marginesowego, nie główne danie na uczcie życia, ale rozrywka, coś, co zapełnia luki w czasie. W jaki sposób do tego doszło?

Mało osób ceni przyjaźń, bo mało osób ją odczuwa. Oto pierwsza i najprostsza odpowiedź. Możliwość przejścia przez życie bez tego uczucia tkwi u podstaw kategorycznego przedziału między przyjaźnią a obu tamtymi miłościami. Przyjaźń jest najmniej naturalną z miłości (i w tym znaczeniu jej to nie uwłacza), jest w najmniejszym stopniu instynktowna, organiczna, biologiczna, gromadna i niezbędna. Jest najmniej uzależniona od stanu naszych nerwów, najmniej wybuchowa, nie ma w niej nic, co by przyspieszało bicie naszego tętna, wywoływało wypieki na twarzy lub pokrywało ją bladością. Istnieje wyłącznie między jednostkami; z chwilą gdy dwóch ludzi się zaprzyjaźni, wycofują się oni w pewnej mierze razem ze stada. Gdyby nie Eros, nikt z nas nie zostałby poczęty, gdyby nie przywiązanie, nikt z nas nie zostałby odchowany, ale możemy żyć i wychowywać się bez przyjaźni.. Gatunek, z punktu widzenia biologicznego, nie - potrzebuje jej. Stado czy sfera - społeczność ludzka -

może jej nawet nie lubić i nie dowierzać. I nasi przywódcy bardzo często to robią. Dyrektorzy i dyrektorki szkół, kierownicy religijnych zrzezeń, dowódcy pułków, kapitanowie okrętów mogą się czuć nieswojo, gdy małe grupki ich podwładnych zaczyna łączyć zażyła i trwała przyjaźń.

Ta "nienaturalna" (że się tak wyrażę) cecha przyjaźni tłumaczy nam jasno, dlaczego była ona tak chwalona w czasach starożytnych i w średniowieczu i dlaczego jest tak lekceważona w naszych. Najgłębszą, najbardziej trwałą ideą tamtych wieków była aseiza i zaparcie się świata. Obawiano się przyrody, wzruszeń i ciała, ponieważ uważano je za niebezpieczeństwo grożące duszy, lub pogardzano nimi jako uwłaczającymi pozycji człowieka. A co za tym idzie chwalono najgorliwiej ten rodzaj miłości, który wydaje się najmniej uzależniony od natury, lub nawet rzucający jej wyzwanie. Przywiązanie i Eros są zbyt ściśle związane z naszymi nerwami, zbyt jawnie wspólne nam i zwierzętom.

Łatwo stwierdzić, jak targają naszymi trzewiami, jak przyspieszają nasze tętno.

Ale przyjaźń wybawia nas od tego wszystkiego i wprowadza w jasny, spokojny i logiczny świat związków, które wybraliśmy sobie dobrowolnie. Z wszystkich miłości ona jedna zdawała się wznosić człowieka do poziomu bogów, czy aniołów.

Potem nastąpił romantyzm, "łzawa komedia", "powrót do natury", zachwyty nad uczuciem, a w ich następstwie to wielkie kłębownisko wzruszeń, które, choć często krytykowane, trwa dotąd. W końcu nastąpiła pochwała instynktu i ciemnych bóstw we krwi; ich hierofanci mogą być niezdolni do męskich przyjaźni. W tym nowym obrzędzie wszyscy, którzy oingis chwalili tę miłość, teraz sprzysięgli się przeciw niej. Była pozbawiona nabrzmiałych łzami uśmiechów, czułości, nie używała spieszonych słów - nie podobała się ludziom sentymentalnym. Nie kojarzono jej z oparami krwi, ze skurczem trzewi, nie pociągała ludzi prymitywnych. Przyjaźń wyglądała blado i mizernie: jakaś wegetariańska namiastka bardziej organicznych miłości.

Złożyły się na to jeszcze i inne przyczyny. Dla tych - a stanowią oni obecnie większość - którzy uważają, że życie ludzkie jest tylko wyższą, bardziej rozwiniętą i złożoną formą życia zwierzęcego, każda forma postępowania, która nie może się wylegitymować pochodzeniem zwierzęcym i nie przedstawia wartości dla utrzymania ciągłości życia - jest podejrzana.

Świadectwa, którymi może się pochwalić przyjaźń, nie są zbyt zadowalające.

Pogląd ceniący wyżej to, co kolektywne, od tego, co indywidualne, też oczywiście dyskredytuje przyjaźń, która jest stosunkiem łączącym jednostki na najwyższym poziomie ich indywidualnego rozwoju. Wycofuje ona ludzi z kręgu "wspólnoty" tak nieomylnie, jak

mogłaby tego dokonać samotność, i to w sposób bardziej niebezpieczny, bo wycofuje ich po dwóch lub trzech naraz. Niektóre odmiany demokratycznych uczuć są dzięki swemu charakterowi wrogo nastawione do przyjaźni, gdyż jest ekskluzywna i dostępna dla niewielu. Gdy się mówi: "Ci ludzie są moimi przyjaciółmi", ma to również znaczyć: "A tamci nie są". Z powodu wszystkich tych przyczyn człowiekowi, który (tak jak ja) wierzy, że dawna ocena przyjaźni była słuszna, trudno jest pisać o tym inaczej jak w tonie rehabilitacji.

To mi narzuca ma samym wstępie bardzo uciążliwe zadanie zwalczania pewnych pojęć. W naszych czasach stało się konieczne obalenie teorii, że każda głęboka, poważna przyjaźń jest w gruncie rzeczy homoseksualizmem.

Ważne jest tu owo niebezpieczne określenie w gruncie rzeczy. Twierdzenie, że każda przyjaźń jest świadomie i wyraźnie homoseksualna, byłoby zbyt widocznym fałszem, wobec czego mędrcy uciekają się do mniej drastycznego zarzutu, że jest ona w gruncie rzeczy homoseksualna w jakiś podświadomy, tajemniczy, Pickwickowski sposób. A tego twierdzenia choć nie sposób dowieść, nie sposób również zbić. Fakt, że nie można znaleźć w postępowaniu dwóch przyjaciół żadnych bezwzględnych dowodów homoseksualizmu, bynajmniej nie peszy mędrców. "Właśnie tegośmy się spodziewali" - mówią z powagą. Brak dowodów jest więc traktowany jako dowód; brak dymu dowodzi, że ogień ukryto bardzo starannie.

Tak - o ile on w ogóle istnieje. Ale musimy wpierw dowieść, że istnieje. W przeciwnym wypadku rozumiemy jak człowiek, który by powiedział: "Gdyby na tym krześle siedział niewidzialny kot, krzesło wyglądałoby puste; krzesło właśnie wygląda puste, czyli że siedzi na nim niewidzialny kot".

Trudno może wykazać w sposób logiczny błędność wiary w niewidzialne koty, mówi nam ona jednak wiele o swoich wyznawcach. Ci, którzy nie mogą sobie wyobrazić przyjaźni jako miłości samodzielnej i niezależnej, ale uważają ją jedynie za maskę czy wytwór Erosa, zdradzają się z tym, że nigdy nie mieli przyjaciela.

Reszta ludzi wie, że chociaż możemy odczuwać miłość i przyjaźń dla tej samej osoby, mimo to jakoś nic nie jest mniej podobne do przyjaźni niż zakochanie.

Kochankowie zawsze rozmawiają o swojej miłości, przyjaciele bardzo rzadko o swojej przyjaźni. Kochankowie siedzą zwykle naprzeciwko siebie zaabsorbowani nawzajem swoją obecnością, przyjaciele obok siebie zaabsorbowani wspólnym obiektem zainteresowań. A przede wszystkim Eros (póki jego panowanie trwa) łączy oczywiście tylko dwóch ludzi. Ale ta cyfra nie jest bynajmniej konieczna w przyjaźni, ani naj bardziej jej sprzyjająca. Przyczyna tego zjawiska jest ważna.

Lamb powiada, że gdyby A, jeden z trzech przyjaciół A, B i C, umarł, wówczas B utraciłby nie tylko A, lecz również "to, co w C było udziałem A", a C utraciłby nie tylko A, lecz również "to, co w B było udziałem A". W każdym z moich przyjaciół jest coś, co tylko jakiś inny przyjaciel może wydobyć na jaw. Nie stać mnie na to, żeby zmobilizować wszystkie możliwości człowieka; - potrzebne są inne władze umysłowe prócz moich, żeby naświetlić wszystkie jego aspekty. Teraz, kiedy Karol już nie żyje, nigdy nie ujrzę reakcji Ronalda na specyficzne Karolowe dowcipy. Choć od czasu, gdy Karol odszedł, mam Ronalda wyłącznie "dla siebie", wcale go nie mam więcej. Bo prawdziwa przyjaźń jest najmniej zazdrosną miłością. Dwóch przyjaciół cieszy się, gdy przybywa do ich grona trzeci; a trzech, gdy zjawia się czwarty, o ile oczywiście przybysz posiada kwalifikacje na prawdziwego przyjaciela. Mogą wówczas powiedzieć to, co dusze błogosławione mówią u Dantego: "Oto, który w nas miłość rozplómił". Bo w tej miłości: „dzielić nie znaczy odbierać”. Mała ilość spokrewnionych z sobą dusz określa liczebność tego grona, nie mówiąc już o ograniczeniach natury praktycznej, o rozmiarach pokoi i zasięgu głosów, ale w tych granicach każdy przyjaciel staje się nie mniej, a coraz więcej nasz własny, w miarę jak się zwiększa ilość osób, z którymi dzielimy jego przyjaźń. W tym przyjaźń wykazuje wspaniałą "bliskość przez podobieństwo" do samego Charles Lamb (1775-1834) - eseista i krytyk ang.

Dante Alighieri: "Boska komedia", "Niebo, pieśń V, 103, przekład E.

Porębowicza. (Przyp. tłum.)

nieba, w którym właśnie nieprzeliczona mnogość błogosławionych (a żaden człowiek nie może jej określić) wzmaga radość każdego z nich z obecności Boga. Bo każda dusza widząc Go na swój sposób niewątpliwie dzieli się tą jedyną w swoim rodzaju wizją z wszystkimi innymi. Dlatego to - mówi pewien zapomniany autor - serafini w wizji Izajasza wołają jeden do drugiego: "Święty, Święty, Święty!" (Iz 6,3).

Czym bardziej będziemy się dzielić niebiańskim chlebem, tym więcej go będziemy mieli.

Owa teoria o homoseksualizmie nie wydaje mi się zatem nawet pozornie słuszna.

Nie chcę przez to powiedzieć, że przyjaźń i anormalny erotyzm nie szły nigdy w parze. Niektóre formacje kulturowe w niektórych okresach historii wykazywały skłonności do tej deformacji. Zwłaszcza w społeczeństwach wojennych mogła się ona zakraść pomiędzy dojrzałego rycerza a jego młodego giermka czy pacholka.

Nieobecność kobiet podczas wypraw wojennych przyczyniała się też zapewne do tego. Przy rozstrzygnięciu, gdzie takie rzeczy się z-darzały, a gdzie nie, o ile w ogóle uważamy, że musimy i powinniśmy to rozstrzygać, należy się opierać na dowodach (jeśli istnieją), a nie

na z góry powziętych teoriach. Pocałunki, łzy, uściski nie są same w sobie dowodem homoseksualizmu. Ten wniosek byłby zresztą zbyt zabawny. Hrothgar ściskający Beowulfa, Johnson ściskający Boswella (notorycznie heteroseksualna para), a u Beowulf i Hrothgar - bohaterowie starożytnego poematu (VIII w. po Chr.) pt. "Beowulf".

Samuel Johnson (1709-1784) - pisarz ang., krytyk, autor słownika języka angielskiego.

James Boswell (1740-1795) - szkocki literat. Przyjaciel Johnsona, autor znakomitej o nim biografii.

6 - Cztery miłości Tacyta wszyscy ci obrońcy, twardzi centurionowie, obejmujący się nawzajem i w momencie rozwiązania legionu błagający o ostatni pocałunek, mieliby być...

pederastami? Jeśli możesz w to uwierzyć, możesz uwierzyć we wszystko. Z punktu widzenia szerokich historycznych perspektyw właśnie nie demonstracyjne odruchy przyjaźni naszych przodków, ale brak takich odruchów w naszym społeczeństwie wymaga specjalnych objaśnień. Nie oni, a my nie dotrzynamy kroku.

Powiedziałem, że przyjaźń jest najmniej biologiczną z naszych miłości. I zarówno jednostka, jak i społeczeństwo, mogą żyć bez niej. Ale istnieje coś, czego społeczeństwo - potrzebuje, a co bierzemy często za przyjaźń, co nie będąc przyjaźnią jest jej łożyskiem.

W dawnych społecznościach współdziałanie mężczyzn w walce i polowaniu było równie niezbędne jak płodzenie i hodowanie dzieci. Plemię, które by nie polowało i nie walczyło, wyginęłoby równie niechybnie jak plemię, które by nie płodziło i nie hodowało dzieci. Już w czasach prehistorycznych, my, mężczyźni, zbieraliśmy się z dala od kobiet, żeby działać. Musieliśmy. A gdy się lubi pracę wykonywaną w ramach obowiązków, to wtedy powstają wartości niezniszczalne. Nie tylko musieliśmy dokonywać tych rzeczy, musieliśmy też o nich mówić. Musieliśmy zaplanować polowanie czy bitwę. Gdy minęły, musieliśmy ustalać bilans post mortem i wyciągać wnioski na przyszłość. To lubiliśmy nade wszystko: ośmieszać albo karać tchórzów i safandulów, chwalić tych, którzy najlepiej odegrali swoją rolę. Lubowaliśmy się w technicznych szczegółach. („Powinien był wiedzieć, że nie można podchodzić do zwierza z wiatrem... Widzisz, ja miałem lżejszy grot, dlatego mi się udało... Zawsze powtarzam, że... Uderzyłem go tak, rozumiesz? Właśnie w ten sposób, w jaki trzymam teraz kij...”) Czyli prowadziliśmy rozmowy zawodowe. Z dala od kobiet i dzieci cieszyliśmy się własnym towarzystwem, my dzielni wojownicy, my myśliwi, my, których łączyła wspólna umiejętność, wspólne niebezpieczeństwo i trudy oraz dowcipy zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych. Jakiś kpiarz powiedział, że mężczyzna paleolityczny miał albo

nie miał maczugi w rękę, ale z pewnością miał klub. Ów klub był prawdopodobnie częścią składową jego religii, podobnie jak w książce Melvillea "Typee" święty klub palaczy, w którym dzicy spędzali "niezmiernie wygodnie" wszystkie wieczory.

A co robiły tymczasem kobiety? Cóż mogę o tym wiedzieć? Jestem mężczyzną i nigdy nie starałem się wysledzić tajemnic Bona Dea. Miały na pewno jakieś obrzędy, z których mężczyźni byli wykluczeni. Gdy niekiedy pozostawiano im uprawę roli, musiały mieć podobnie jak mężczyźni wspólne umiejętności, trudy i zwycięstwa.

Może jednak ich świat nie był tak wyłącznie kobiecy jak świat mężczyzn - męski.

Były z nimi dzieci, a może również starzy mężczyźni. Zgaduję tylko. Mogę wytropić ślady prehistorii Nieprzetłumaczalna gra słów, club po angielsku znaczy maczuga i klub. (Przyp.

tłum.)

Herman Melville (1818-1891) - wybitny pisarz i poeta amar., piewca Mórz Południowych. Najsłynniejsze jego dzieło "Moby Dick, czyli biały wieloryb".

przyjaźni jedynie na szlaku, którym chadzali mężczyźni.

Przyjemność, jaką mężczyźni czerpią ze współpracy, z zawodowych rozmów, wzajemny szacunek i zrozumienie tych, którzy są codziennymi świadkami swoich życiowych zmagania, to rzecz biologicznie cenna. Można je zapewne uważać za produkt "instynktu stadnego". Moim zdaniem jest to bardzo zawyły sposób określenia czegoś, co rozumiemy znacznie lepiej, niż ktoś kiedykolwiek zrozumiał znaczenie słowa instynkt, czegoś, co istnieje w tej chwili w dziesiątkach miejsc: w mesach, w barach, świetlicach, w kasynach oficerskich i golfowych klubach. Wolę to nazwać koleżeństwem albo towarzyskością. Koleżeństwo jest jednak tylko łożyskiem przyjaźni. Nadaje mu się często miano przyjaźni i wielu ludzi mówiąc o przyjaciółach ma na myśli kolegów. Nie jest to jednak przyjaźń w znaczeniu, które ja nadaję temu słowu. Mówiąc to, nie mam wcale zamiaru ubliżyć ludziom zrzeszającym się w celach czysto towarzyskich. Nie ubliżamy srebru mówiąc, że jest ono odrębne od złota.

Przyjaźń rodzi się ze zwykłego koleżeństwa, wówczas gdy dwóch lub więcej kolegów stwierdzi, że posiadają podobną intuicję lub wspólne zainteresowania, albo nawet gusty, których inni nie mają i o których aż do tej chwili sądzili, że są wyłącznym ich skarbem (lub ciężarem). "Co? Ty też? A ja myślałem, że tylko ja jeden..." - oto typowe słowa towarzyszące narodzinom przyjaźni. Wyobraźmy sobie, że pomiędzy tymi dawnymi myśliwymi i wojownikami zdarzały się odosobnione jednostki - raz na sto lat? raz na tysiąc? - które wiedziały to, czego inni nie wie dzieli: że jeleń jest nie tylko jadalny, ale i piękny, że polowanie jest nie tylko pożyteczne, ale i przyjemne; oraz marzyły, że ich bogowie są nie

tylko potężni, ale i święci. Ale obawiam się” że dopóki każda z tych spostrzegawczych osób będzie umierała nie znalazłszy bratniej duszy, dopóty nic z tego nie wyjdzie: sztuka, sport lub spirytualistyczna religia nie będą się mogły narodzić. Przyjaźń rodzi się wówczas, gdy dwie osoby z ogromnymi trudnościami i z na w pół zrozumiałym bełkotem lub w tempie, które się nam wydaje zdumiewające, odkrywają siebie nawzajem i dzielą się swoją wizją świata. I natychmiast znajdują się ramię przy ramieniu w ogromnym kręgu samotności.

Kochankowie szukają odosobnienia. Przyjaciele, czy chcą tego, czy nie, napotyka ją wokół siebie samotność, ową barierę wznoszącą się między nimi i stadem ludzkim.

Z radością obaliliby ją. Dwóch przyjaciół cieszyłoby się znalazłszy trzeciego.

W naszej epoce przyjaźń powstaje w podobny sposób. Dla nas, oczywiście, wspólna działalność, a co za tym idzie, koleżeństwo, w ramach którego wyrasta przyjaźń, nie obejmuje wyłącznie działalności fizycznej jak polowanie lub walka. Może nim być wspólna religia, wspólne studia, wspólny zawód, nawet wspólne rozrywki.

Wszyscy, którzy biorą w tym wraz z nami udział, są naszymi kolegami, ale kilku z nich, którzy uczestniczą jeszcze w czymś więcej, zostaną naszymi przyjaciółmi. W tym rodzaju miłości - jak mówi Emerson - słowa:”Czy mnie kochasz?” znaczą: „Czy d o strz e Ralph Waildo Emerson (1803-1882) - poeta i filozof amer., idealista.

gasz tę samą prawdę co j a?” lub co najmniej:”C z y obchodzi cię ta sama prawda?” Naszym przyjacielem może być człowiek, który się z nami zgadza na to, że pewne problemy, lekceważone przez innych ludzi, są jednak bardzo ważne. Nie - potrzebuje się on z nami zgadzać co do sposobu ich rozwiązania. Proszę zauważyć, że przyjaźń wykazuje na płaszczyźnie bardzo indywidualnej i mniej społecznie niezbędnej te same cechy co koleżeństwo, które było jej łożyskiem. Koleżeństwo łączy ludzi, którzy wspólnie działali: polowali, uczyli się, malowali lub robili co bądź innego. Przyjaciele również czegoś wspólnie dokonują, ale czegoś bardziej duchowego, mniej łatwego do określenia i do podzielenia się z innymi.

Są nadal myśliwymi, ale w pogoni za mniej zmaterializowaną zdobyczą, nadal współpracują, ale nad dziełem, którego świat nie rozumie w ogóle lub nie zrozumiał jeszcze dotąd, są nadal współtowarzyszami podróży, ale podróż ta jest innego rodzaju. Dlatego też wyobrażamy sobie kochanków siedzących twarzą w twarz, a przyjaciół ramię przy ramieniu: oczy ich patrzą w dal.

I to jest właśnie przyczyna, że tym godnym litości ludziom, którzy po prostu chcą się ”zaprzyjaźnić”, nigdy się, to nie udaje. Pragnienie czegoś poza przyjaźnią jest koniecznym warunkiem zaprzyjaźnienia się. Gdyby prawdziwa odpowiedź na pytanie:”Czy dostrzegasz tę

samą prawdę?” brzmiała:”Nie, nie dostrzegam, i nic mnie prawda nie obchodzi, chcę po prostu mieć przyjaciela” - nie mogłaby z tego powstać żadna przyjaźń, choć może powstanie przywiązanie. Nie miałyby się wkoło c z eg o owinąć, bo przyjaźń musi posiadać swój ośrodek, choćby nim była pasja do gry w domino lub do białych myszy. Ci, co nic nie posiadają, nie mają się czym dzielić, ci, co nigdzie nie zmierzają, nie mogą mieć towarzyszy podróży.

Kiedy dwie osoby, które odkryją, że idą tą samą tajemną drogą, są płci odmiennej, przyjaźń zawiązująca się między nimi może się zamienić - i to w ciągu pierwszej półgodziny - w zakochanie. O ile nie są sobie wstrętne fizycznie i o ile jedno z nich lub oboje nie kochają już kogo innego, jest rzeczą prawie pewną, że się na tym prędzej czy później skończy. I na odwrót: zakochanie może doprowadzić do przyjaźni kochanków. Nie zacierają to wcale różnicy między tymi dwoma rodzajami miłości, wręcz przeciwnie, rzuca na ową różnicę jaśniejsze światło. Jeśli ktoś, kto był najpierw, w głębokim, pełnym tego słowa znaczeniu, twoim przyjacielem, staje się dla ciebie nagle lub stopniowo przedmiotem zakochania, nie zechcesz oczywiście dzielić miłości erotycznej ukochanej istoty z kimś trzecim. Ale nie będziesz zazdrosny i chętnie podzielisz się jej przyjaźnią. Nic tak nie wzbogaca miłości erotycznej jak odkrycie, że ukochana istota może spontanicznie, prawdziwie i głęboko zaprzyjaźnić się z twoimi dawnymi przyjaciółmi, jak poczucie, że nie tylko nas dwoje łączy miłość erotyczna, ale że my wszyscy - troje, czworo czy pięcioro, wędrujemy po tym samym szlaku i mamy wspólną wizję.

Koegzystencja przyjaźni z Erosem może dopomóc niektórym współczesnym ludziom do zrozumienia, że przyjaźń jest naprawdę miłością równie wielką jak Eros.

Przypuśćmy, że jesteś wybrańcem losu, „zakochałeś się” i ożeniłeś z osobą, z którą łączyła cię przyjaźń. Przypuśćmy również, że dano ci do wyboru dwie wizje przyszłości:”Albo wy dwoje przestaniecie być kochankami i pozostaniecie zjednoczonymi na zawsze poszukiwaczami tego samego Boga, tego samego piękna, tej samej prawdy, albo też utracisz to wszystko i do końca życia będziecie się cieszyć uniesieniami i żarliwością miłości erotycznej, jej cudami i szaleńczymi żądzami. Wybieraj co chcesz”. Co byśmy wybrali? i czy nie żalowałibyśmy dokonanego wyboru, jakkolwiek by on był?

Położyłem nacisk na ”zbędny” charakter przyjaźni, a to wymaga z mojej strony dłuższego usprawiedliwienia.

Można dowodzić, że przyjaźń posiada konkretną wartość w społeczeństwie. Każda cywilizowana religia zaczynała istnieć wśród małej garstki przyjaciół. Nauki matematyczne poczęły się naprawdę wówczas, kiedy kilku greckich przyjaciół zebrało się, by pomówić o

liczbach, liniach i kątach. Dzisiejsze Królewskie Towarzystwo powstało dzięki temu, że niegdyś kilku panów zbierało się, by w wolnych chwilach podyskutować o tym, co ich interesowało (a poza nimi mało kogo). A romantyzm angielski to pogawędki niegdyś pana Wordswortha i pana Coleridgea (a zwłaszcza pana Coleridgea) o wspólnej im tajemnej wizji. Można chyba powiedzieć bez przesady, że takie były początki komunizmu, traktarianizmu, metodyzmu, ideowego ruchu Royal Society - najdawniejsze i pierwsze towarzystwo naukowe Anglii. Powstało w roku 1662, za Karola II.

? Traktarianizm - ruch religijny w łonie Kościoła anglikańskiego, dążący do powrotu do pierwotnego chrześcijaństwa, zerwania ze zbytnim racjonalizmem w teologii. Nazwa wywodzi się z zwalczającego niewolnictwo, Reformacji. Odrodzenia.

Godne to jest zastanowienia. Każdy niemal czytelnik będzie prawdopodobnie uważał, że niektóre z tych ideowych prądów są korzystne dla społeczeństwa, a niektóre szkodliwe. Wszystkie razem wzięte dowodzą, w najlepszym razie, że przyjaźń może być dla społeczeństwa dobrodziejstwem, ale może również stanowić niebezpieczeństwo. A nawet jako dobrodziejstwo przedstawiałaby nie tyle wartości nieprzemijające: ile to, co nazywamy "wartościami kulturalnymi", byłaby czymś (tak by się wyraził Arystoteles), co nie pomaga społeczeństwu żyć, ale pomaga mu żyć dobrze. Wartości nieprzemijające i kultura idą w parze w niektórych epokach i okolicznościach, choć nie zawsze. Jedno w każdym razie wydaje się pewne: kiedy przyjaźń rodzi owoce mogące się przydać społeczeństwu, są one jakimś ubocznym produktem i dzieje się to przypadkiem. Religie obmyślane dla celów społecznych, jak oddawanie boskiej czci rzymskim cesarzom lub współczesne próby "propagowania" chrześcijaństwa jako środka mającego "uratować kulturę", nie okazały się bardzo skuteczne. Mała grupka przyjaciół, która obraca się plecami do "świata", to właśnie są ci, którzy go przeobrażają. Nauki matematyczne w Egipcie i Babilonii były nastawione na cele praktyczne i społeczne, wciągnięte w służbę rolnictwa i magii. Ale to greckie nauki matematyczne nie skrępowane niczym, uprawiane przez przyjaciół w wolnej serii publikacji - traktatów - wydanych w Oxfordzie w latach 1833-1841. Jednym z inicjatorów był - późniejszy konwertyta i kardynał - dr Newman.

nych chwilach, więcej zaważyły na szali świata. Inni znów powiedzą, że przyjaźń jest niezmiernie pożyteczna, może konieczna po to, aby jednostka mogła przetrwać, na poparcie czego potrafią przytoczyć wiele autorytatywnych powiedzeń: "nagie są plecy, za którymi nie stoi brat", "czasem przyjaciel łączy do nas mocniej niż brat". Gdy tak mówimy, używamy słowa przyjaciel w znaczeniu sprzymierzeniec! W potocznym znaczeniu przyjaciel oznacza lub powinien oznaczać coś więcej. Przyjaciel okaże się oczywiście również naszym

sprzymierzeńcem, gdy zajdzie - potrzeba przymierza, da nam lub pożyczy pieniędzy, kiedy znajdziemy się w - potrzebie, będzie nas pielęgnował w chorobie, wspierał we wrogim środowisku, zrobi, co będzie mógł, dla naszych wdów i sierot. Ale takie znaczne przysługi nie są tworzywem przyjaźni. I okazje do wyświadczenia ich są niemal jakąś przerwą w niej. Bo owe przysługi są i nie są związane z przyjaźnią. Są z nią związane, bo byłbyś fałszywym przyjacielem, gdybyś ich nie wyświadczył, kiedy zajdzie po temu - potrzeba, nie są z nią związane, bo rola dobroczyńcy jest zawsze czymś przypadkowym, nawet trochę pdszcęającym, a dla przyjaciela jest czymś niemal krępującym. Bo przyjaźń odwrotnie niż przywiązanie nie jest wcale obarczona koniecznością odczuwania własnej niezbędności. Przykro nam, że zaszła w ogóle - potrzeba jakiejś - darowizny, pożyczki czy nocnego czuwania, ale teraz, na miłość Boską, zapomnijmy o tym wszystkim i powróćmy do tego co naprawdę chcemy razem zrobić czy omówić. Nawet wdzięczność nie wzbogaca wcale tej miłości. Zdawkowe: „Ależ nie ma o czym mówić”, wyraża w danym wypadku naprawdę nasze uczucia. Dowodem prawdziwej przyjaźni jest nie to, że gdy kogoś bieda przycisnie, pomoc zostanie mu udzielona (bo oczywiście tak będzie), ale że udzielenie tej pomocy nic nie zmieni. Pomoc była czymś odciągającym naszą uwagę, anomalią. Była okropną stratą tego zawsze zbyt krótkiego czasu, który spędzamy razem. Wielkie nieba, przecież mieliśmy tylko kilka godzin na rozmowę, a z tego poświęciliśmy ze dwadzieścia minut na załatwienie interesów!

Gdyż oczywiście wcale nie chcemy znać interesów naszego przyjaciela. Przyjaźń odwrotnie niż Eros nie jest dociekliwa. Można się z kimś przyjaźnić” nie wiedząc i nie interesując się wcale, czy jest on żonaty, czy nie, i w jaki sposób zarabia na życie. Co mają wspólnego wszystkie te „nieinteresujące rzeczy i prozaiczne sprawy” z istotnym zagadnieniem: Czy dostrzegasz tę samą prawdę? W gronie prawdziwych przyjaciół każdy człowiek jest po prostu tym, czym jest: nie reprezentuje nic poza sobą. Nikogo nie obchodzi czyjaś rodzina, zawód, sfera, dochody, rasa, przeszłość. Oczywiście, koniec końców wiele z tych rzeczy się dowiesz. Ale przypadkowo. Wyłonią się one stopniowo, jako niezbędny materiał ilustrujący jakieś fakty czy analogie, będą służyły za pretekst do wygłoszenia anegdotki, nigdy nie wystąpią wyłącznie z uwagi na siebie. Na tym polega królewskość przyjaźni. Spotykamy się jak udzielnicy władcy niepodległych państw za granicą, na neutralnym gruncie, wyzwoleni z więzów naszych kontekstów. Miłość ta nie tylko nie zwraca najmniejszej uwagi na naszą fizyczną postać, ale na całą naszą powierzchowność, która jest wynikiem przeszłości, pochodzenia, zawodu i kontaktów z ludźmi.

W domu poza tym, że nazywamy się Piotr czy Jan, posiadamy jeszcze określone stanowisko: jesteśmy mężem czy żoną, bratem czy siostrą, szefem, kolegą czy podwładnym. W gronie przyjaciół jest inaczej. Tu chodzi o wyzwolone czy ogołoczone z wszelkich więzów umysły. Eros żąda nagich ciał, przyjaźń - nagich osobowości.

Stąd pochodzi (proszę mnie dobrze zrozumieć) urocza dowolność i nieodpowiedzialność tej miłości. Nie mam obowiązku zaprzyjaźnić się z kimkolwiek i nikt na świecie nie ma obowiązku zaprzyjaźnić się ze mną. Żadnego nacisku ani cienia konieczności. Przyjaźń jest czymś zbędnym jak filozofia, jak sztuka, jak sam wszechświat (bo przecież Bóg nie - potrzebował go stworzyć). Nie ma ona wartości dla utrzymania życia, raczej jest jedną z tych rzeczy, które nadają wartość życiu.

Kiedy mówiłem o przyjaciółach siedzących obok siebie ramię przy ramieniu, chciałem zaznaczyć konieczną różnicę zachodzącą między ich postawą a postawą zakochanych, których sobie wyobrażamy patrzących wprost na siebie. Chodziło mi wyłącznie o podkreślenie tej różnicy i o nic poza tym. Wspólna wizja, wspólny przedmiot poszukiwań nie absorbują przyjaciół do tego stopnia, żeby nic o sobie nie wiedzieli i nie pamiętali jedni o drugich. Wręcz przeciwnie, w stworzonych przez nie ramach rozwija się wzajemna miłość i znajomość. Nikogo się tak dobrze nie zna jak swoich "kumpli". Każdy krok postawiony na wspólnej drodze to próba jakości metalu, z którego stworzony jest przyjaciel; świetnie rozumiemy cel tych prób, bo sami też je przechodzimy. Jeśli metal wydaje stale czysty dźwięk, nasze zaufanie, szacunek i podziw rodzą miłość - upodobanie bardzo krzepką i opartą na mocnych podstawach. Gdybyśmy od początku zwracali baczniejszą uwagę na przyjaciela niż na oś, dokoła której owija się nasza przyjaźń, nie poznalibyśmy go tak dokładnie, nie pokochali tak mocno. Nie odkryjesz sojusznika, poety, filozofa czy chrześcijanina, patrząc mu w oczy, jak gdyby był twoją kochanką. Walcz raczej u jego boku, czytaj z nim, dyskutuj i módlcie się razem.

Sądzę, że w przyjaźni doskonałej ta miłość-upodobanie jest często tak głęboka i tak mocno ugruntowana, że każdy z członków danej grupy czuje się w głębi serca wobec całej reszty pełen pokory. Czasem dziwi się, co on tu robi między ludźmi stojącymi na wiele wyższym poziomie. Jest niewymownie szczęśliwy, że znalazł się w takim towarzystwie. Zwłaszcza kiedy cała paczka zbierze się razem i każdy mobilizuje innych do ukazania swych najlepszych cech, błysnięcia dowcipem czy mądrością. Wspaniałe są takie spotkania, kiedy czterech czy pięciu z nas wróciło do gospody po ciężkiej całodziennej wędrówce, kiedy nałożyliśmy ranne pantofle, wyciągnęliśmy w stronę kominka nogi, a napoje stoją tuż pod ręką, kiedy w miarę jak rozmawiamy, cały świat, i nie tylko świat, staje otworem przed

naszym intelektem; nikt nie ma do nikogo pretensji, nikt nie ponosi za nikogo odpowiedzialności, wszyscy jesteśmy wolni i równi, jak gdybyśmy się spotkali godzinę temu, a jednocześnie spowija nas wszystkich dojrzałe w ogniu lat przywiązanie. Życie - doczesne życie - nie może nas obdarzyć niczym lepszym.

Któż z nas zasłużyłby na to?

Z tego, co zostało dotychczas powiedziane, wynika jasno, że w większości społeczeństw i w większości epok przyjaźń nawiązuje się między mężczyzną i mężczyzną, kobietą i kobietą. Eros i przywiązanie kojarzą z sobą przedstawiciele płci - ten typ miłości nie. Bo odmienne płcie rzadko kolegowaly z sobą, rzadko miały wspólny zakres działania, a to właśnie jest łożyskiem przyjaźni. Tam, gdzie mężczyźni są wykształceni, a kobiety nie, gdzie jedna płeć pracuje, a druga próżnuje, albo gdzie wykonują one całkiem odmienne roboty, przyjaźń nie ma się wkoło czego owijać. Możemy łatwo stwierdzić, że to właśnie ów brak wyklucza przyjaźń, a nie jakieś właściwości natury. Gdyż tam, gdzie mężczyźni i kobiety mogą być kolegami, mogą również stać się przyjaciółmi. Dlatego w takim zawodzie jak mój, gdzie mężczyźni i kobiety pracują ramię przy ramieniu, albo w misjach, albo w środowiskach pisarzy i plastyków przyjaźń jest czymś zwykłym. I tu zdarza się, że ofiarowana przez jedną ze stron przyjaźń bywa źle rozumiana przez drugą i wzięta omyłkowo za miłość erotyczną, co wywołuje przykre i kłopotliwe sytuacje.

Czasem też w sercach obojga początkowa przyjaźń może się zamienić w miłość erotyczną. Ale gdy mówimy, że coś jest "źle rozumiane" lub "zamienione" w coś innego, nie zaprzeczamy istniejącej między nimi różnicy. Raczej podkreślamy ją, gdyż w przeciwnym razie nie używalibyśmy takich wyrażen jak "źle rozumiany" i "zamieniony".

Nasze społeczeństwo znajduje się pod jednym względem w niefortunnej sytuacji.

Świat, w którym mężczyźni i kobiety nie pracują razem, nie kształcą się razem, może się raczej kręcić beztrosko. W takim świecie mężczyźni szukają przyjaźni tylko u mężczyzny ku wielkiemu swemu za dowoleniu. Mam nadzieję, że kobiety również cieszą się swymi kobiecymi przyjaźniami. Świat, w którym by mężczyźni i kobiety posiadali określony wspólny teren sprzyjający tego rodzaju uczuciu, mógłby być również beztroski. Na razie jednak znajdujemy się między młotem a kowadłem. Ow - potrzebny wspólny teren, owo łożysko istnieją w pewnych środowiskach, a w innych nie. Jego brak daje się zwłaszcza odczuwać w wielu podmiejskich miejscowościach.

W plutokratycznym środowisku, w którym mężczyźni spędzają całe życie na zdobywaniu pieniędzy, wiele kobiet zużytkowuje wolny czas na rozwój życia intelektualnego: znajdują się na muzyce czy literaturze. W środowiskach tego typu mężczyźni wyglądają w

gronie kobiet jak barbarzyńcy wśród cywilizowanej ludności. W odmiennych środowiskach napotykały odwrotną sytuację. Mężczyźni i kobiety z całą pewnością "uczęszczali do szkół". Ale od tego czasu mężczyźni kształcili się dalej, zostali lekarzami, prawnikami, duchownymi, architektami, inżynierami, pisarzami. Odnoszą się do kobiet jak dorośli do dzieci. W żadnym z tych środowisk nie istnieje możliwość przyjaźni między odmiennymi płciami. Fakt ten, choć jest zubożeniem życia, można by znieść, gdyby został uznany i zaakceptowany. Kłopotliwa sytuacja, która się wytworzyła w naszej epoce, polega na tym, że mężczyźni i kobiety uwikłani w nią nie chcą się z tym faktem pogodzić, tak są zafascynowani tym, co się dzieje w bardziej uprzywilejowanych środowiskach, gdzie nie ma owych przepaści między płciami, tak są opętani egalitarnymi teoriami, że to, co jest dostępne dla niektórych, powinno być ich zdaniem dostępne dla wszystkich. I oto mamy typ żony wyekowawczynie szkolnej, kobiety "kulturalnej", która chce podciągnąć męża "do swego poziomu". Wlece go na koncerty, chciałaby, żeby się nauczył morrisowskich tańców, zaprasza do domu "kulturalnych" ludzi. Wszystko to jest często zdumiewająco nieszkodliwe. Mężczyzna w średnim wieku posiada wielką zdolność biernego oporu i (och, gdyby ona o tym wiedziała!) dużo wyrozumiałości: "Kobiety mają swoje widzimisie". Znacznie gorzej się dzieje, kiedy istotami cywilizowanymi są nie kobiety, a mężczyźni, i kiedy wszystkie kobiety i wielu mężczyzn po prostu nie chcą tego zrozumieć.

Wówczas rozpoczyna się grzeczne, uciążliwe, żalosne udawanie. Kobiety są "uznane" (jak mówią prawnicy) za pełnoprawnych członków grona mężczyzn. To, że teraz palą i piją jak mężczyźni (co samo w sobie nie ma znaczenia), wydaje się prostaczkom dowodem, że się nimi stały. Nie wolno urządzić przyjęć czysto męskich. Wszędzie, gdzie spotykają się mężczyźni, muszą przychodzić również kobiety. Mężczyźni nauczyli się żyć w świecie problemów intelektualnych. Wiedzą, co znaczy dyskusja, dowód, komentarz. Kobieta, która uczyła się tylko w szkole, a wkrótce po ślubie zaniedbała i te wyniesione ze szkoły okruchy kultury, której jedyną lekturą są kobiece pisma, a rozmowa ogranicza się prawie całkowicie do narracji - nie może być członkiem takiej grupy. Może być fizycznie obecna w danym miejscu, w pokoju, gdzie się owa grupa zbiera. No i cóż z tego? Jeśli mężczyźni są nie Angielski taniec ludowy, nadal popularny, zwykle tańczy go 6 mężczyzn, z których 1 przebrany jest za kobietę. Zapewne wywodzi się z tańców pogańskich.

okrzęsani, siedzi i milczy znudzona ich rozmową, która ją nic nie obchodzi.

Jeśli są lepiej wychowani, starają się ją oczywiście wciągnąć do tej rozmowy.

Tłumaczą jej, o co chodzi, usiłują nadać jakiś sens jej nieskoordynowanym i bezmyślnym uwagom. Wszystkie wysiłki spełniają na niczym, i w imię dobrego wychowania

to, co mogło być prawdziwą dyskusją, zostaje rozmyślnie rozwodnione i kończy się plotkami, anegdotą, żartami. Jej obecność zniweczyła to, w czym miała brać udział. Nigdy nie będzie mogła naprawdę być członkiem tej grupy, bo grupa przestaje być sobą z chwilą, gdy ona się zjawia, podobnie jak horyzont przestaje być horyzontem, z chwilą gdy do niego dotrzemy. Choć nauczyła się pić, palić, a może nawet opowiadać pieprzne anegdotki, nie zbliżyła się z tego powodu bardziej do mężczyzny - nawet o jeden cal - niż jej babka. Ale babka była znacznie od niej szczęśliwsza i bardziej realistycznie nastawiona. Siedziała w domu i rozmawiała z kobietami o kobiecych sprawach i może robiła to z wdziękiem, rozsądkiem, a nawet humorem. Wnuczka potrafiłaby prawdopodobnie robić to samo.

Może jest równie inteligentna lub inteligentniejsza od mężczyzn, którym zepsuła wieczór. Ale nie interesuje się naprawdę tymi samymi sprawami co oni, nie opanowała ich metod (wszyscy wyglądają jak tumany udając zainteresowanie czymś, co nas nic nie obchodzi). Obecność takiej kobiety - a jest ich tysiące - tłumaczy poniekąd zdyskredytowanie przyjaźni w obecnych czasach. Kobiety odnoszą niekiedy całkowite zwycięstwo. Udaje im się wytepić nieraz w całej okolicy koleżeńskie obcowanie mężczyzn ze sobą, a tym samym ich przy 7 - Cztery miłości 97

jaźń. W tym jedynym świecie jaki one znają, nieustanna żartobliwa paplanina zastąpiła wymianę myśli. W obecności kobiet wszyscy mężczyźni rozmawiają jak kobiety.

To zwycięstwo odniesione nad przyjaźnią jest często nieświadome. Istnieje jednak bardziej wojowniczy typ kobiety, który je planuje. Słyszałem, jak jedna z nich mówiła: "Nie można nigdy pozwolić, żeby dwaj mężczyźni zasiedli razem, zaraz zaczną rozmawiać na jakiś temat i robi się nudno". Dokładnie wyraziła to, co chciała wyrazić. Owszem, należy rozmawiać, czym więcej tym lepiej, niech płynie nieustający potok słów, ale błagam, tylko nie na żaden temat. Rozmowa nie może mieć określonej treści."Urocza" pani, którą mam na myśli - rozszczebiotana, wyrobiona towarzysko nudziara - szukała tylko cowieczornej rozrywki, dokładała starań, żeby się zebranie "udało". Świadoma wojna przeciw przyjaźni może się toczyć na znacznie poważniejszej płaszczyźnie. Niektóre kobiety odnoszą się do przyjaźni z nienawiścią, zazdrością i lękiem, uważając ją za wroga Erosa, a może bardziej jeszcze przywiązania. Kobieta tego typu ma tysiąc sposobów zerwania męzkowskich przyjaźni. Pokłóci się z jego przyjaciółmi lub, co jeszcze skuteczniejsze, z ich żonami. Będzie drwić, przeszkadzać, kłamać. Nie zdaje sobie sprawy, że mąż, którego udało jej się odosobnić od ludzi jego pokroju, nie jest już wart posiadania: pozbawiła go męskości. Z czasem sama się go będzie wstydziła. W swoim zaślepieniu nie pamięta ona również, że wielka część jego życia rozgrywa się na terenie, który leży poza zasięgiem jej obserwacji. Zawiąże on nowe

przyjaźnie, ale tym razem otoczy je ta jemnicą. Jeśli niebawem nie dołączą się do tych tajemnic jeszcze i inne, można będzie uważać, że szczęście jej dopisuje - szczęście niezasłużone.

Wszystkie tego rodzaju kobiety są bardzo niemądre. Kobiety rozsądne, które z pewnością mogłyby, gdyby chciały, zdobyć kwalifikacje - potrzebne w tym świecie dyskusji i idei, są właśnie tymi, które nie usiłują nigdy bez dostatecznych kwalifikacji wejść do niego lub zburzyć go. Mają co innego do roboty. Na przyjęciu skupiają się w jednym końcu pokoju i rozmawiają ze sobą o kobiecych sprawach. Do tego celu nie jesteśmy im - potrzebni, a one również nie są - potrzebne nam. Tylko "złota młodzież" - mówię tu zarówno o mężczyznach jak i o kobietach - chce wyłącznie obcować z odmienną płcią. Trzeba żyć i dać żyć innym. Kobiety często się z nas wyśmiewają. I tak być powinno. Tam, gdzie obie płcie nie dokonują naprawdę wspólnej pracy, nie może być mowy o przyjaźni, tam gdzie mogą się połączyć wyłącznie na zasadzie przywiązania i miłości erotycznej, zdrowym objawem jest żywa świadomość śmieszności płci odmiernej. Ten objaw jest niewątpliwie zawsze czymś zdrowym. Nikt nigdy nie docenił należycie płci odmiernej - tak jak nie docenił dzieci czy zwierząt - jeśli nie czuł czasami, jak bardzo jest śmieszna. Bo obie płcie są śmieszne. Ludzkość jest tragikomiczna, ale podział na płcie umożliwia każdej z nich obserwowanie u drugiej tych śmiesznośtek i tego patosu, które uchodzą uwagi we własnej.

Ostrzegalem, że ten rozdział będzie przede wszystkim rehabilitacją. Mam nadzieję, iż udało mi się wyjaśnić na poprzednich stronach, dla czego mnie przynajmniej nie wydaje się dziwne, że nasi przodkowie uważali przyjaźń za coś, co wznosi nas niemal nad poziom ludzkiej natury. Ta miłość uniezależniona od instynktu, nie obarczona żadnymi obowiązkami prócz tych, które dobrowolnie na siebie nakłada, niemal całkowicie wolna od zazdrości i zupełnie nie obciążona świadomością, że inni nas - potrzebują, jest miłością wybitnie duchową. Można sobie wyobrazić, że taką miłością kochają się aniołowie.

Czyżbyśmy tu natrafili na nadprzyrodzoną miłość, która jest Samą Miłością?

Zanim dojdziemy do takiego wniosku, strzeżmy się niejasności słowa duchowy. W Nowym Testamencie oznacza ono bardzo często "pochodzący od Ducha (Świętego)" i w tym kontekście znaczy: dobry. Ale tak wcale nie jest, o ile używamy słowa duchowy po prostu jako przeciwstawienie wyrażen: cielesny, instynktowny, zwierzęcy. Istnieje nie tylko duchowe dobro, ale i duchowe zło; istnieją nie tylko święci aniołowie, ale i nie święci. Najgorsze ludzkie grzechy są grzechami ducha. Nie powinniśmy myśleć, że skoro przyjaźń uważamy za coś duchowego, uważamy, że jest sama w sobie czymś świętym czy bezbłędnym. Należy się tu liczyć z trzema charakterystycznymi faktami.

Pierwszy - wspominaliśmy już o nim - to nieufność, którą zdradzają władze wobec zażytych przyjaźni między ich podwładnymi. Może jest to niczym nie usprawiedliwione, a może ma jakieś podstawy.

Drugi - to stanowisko zajmowane przez większość ludzi wobec wszystkich kół zżytych przyjaciół. Nazwa, którą się nadaje takim kołom, jest zwykle mniej lub więcej uwłaczająca.

Jeżeli już nie koteria to „paczka”... „banda”, „areopag”, „towarzystwo wzajemnej adoracji”, którzy we własnym życiu zaznali tylko przywiązania, koleżeństwa i miłości erotycznej podejrzewają, że przyjaciele to „zadzierający nosa do góry nudziarze, którzy uważają, że niegodni jesteśmy ich towarzystwa”. W ten sposób przemawia oczywiście zazdrość. Ale zarzuty, którymi operuje zazdrość, są zwykle najprawdziwsze lub najbardziej zbliżone do prawdy, jakie tylko potrafimy wymyślić: te najczęściej boją. Wobec czego należy te zarzuty wziąć pod uwagę.

W końcu musimy stwierdzić, że w Piśmie świętym przyjaźń jest bardzo rzadko obrazem miłości łączącej Boga z człowiekiem. Niezupełnie ją pominięto, ale znacznie częściej Pismo święte szukając symbolu zdolnego wyrazić najwyższą z wszystkich miłości, pomija owo pozornie niemal anielskie uczucie i sięga do głębin tego, co bardziej przyrodzone i instynktowne. Gdy Bóg jest wyobrażony jako nasz Ojciec, symbolem staje się przywiązanie, gdy Chrystus jest wyobrażony jako Oblubieniec Kościoła - symbolem staje się Eros.

Zacznijmy od podejrzeń w łonie władzy. Sądzę, że mają one swoje podstawy i że przyjrzenie się tym podstawom wyjaśni dość ważną sprawę. Powiedziałem już, że przyjaźń rodzi się w chwili, kiedy jeden człowiek mówi do drugiego: „Co takiego?... I ty także? A sądziłem, że to tylko ja...” Ale odkryta w ten sposób wspólna wizja, zamiłowanie lub punkt widzenia niekoniecznie muszą być zawsze szlachetne. W takiej chwili może się począć postęp w sztuce i filozofii, rozkwit religijnej czy moralnej doktryny, ale również tortury, ludożerstwo, krwa We ofiary. Większość z nas spostrzegła z peWriością sprzeczny charakter takich przeżytych w młodości chwil. Go za radość spotkać po raz pierwszy kogoś, kogo interesuje nasz ulubiony poeta! To, cośmy ledwie rozziimieli, nabiera określonych kształtów. Przyznajemy się; teraz otwarcie do tego, czegośmy się na wpół wstydzili! Ale gdyśmy po raz pierwszy spotkali kogoś, kto stał się naszym współnikiem w rzeczy utajonej i złej, odczuliśmy nie mniejszą radość. Ona również stała się bardzo konkretna i wyraźna, jej również przestaliśmy się wstydzić. Nawet teraz, bez względu na wiek, znamy wszyscy niebezpieczny urok wspólnych nienawiści czy żalów. (W kolegium trudno nie powitać przyjaciela w jedynym człowieku, który naprawdę widzi wszystkie błędy popełniane przez wicedyrektora.)

Gdy znajdę się sam pośród niezyczliwych kolegów, wygłaszam pewne poglądy i obstaję przy pewnych zasadach nieśmiało, trochę się wstydząc przyznawać do nich i koniec końców trochę wątpiąc w ich prawdziwość. Ale gdy powrócę do swoich przyjaciół, w przeciągu pół godziny, w przeciągu dziesięciu minut te same poglądy i zasady staną się raz jeszcze bezsporne. Opinia tego małego kółka ma dla mnie (póki do niego należę) znacznie większą wagę niż opinia tysiąca ludzi obcych, i tak już będzie nadal, w miarę jak przyjaźń się umacnia, choćby moi przyjaciele znajdowali się ode mnie daleko. Bo wszyscy pragniemy, by naszymi sędziami byli ludzie równi nam poziomem, tacy, "którzy przypadli nam do serca".

Bo tylko oni znają naprawdę naszą mentalność i tylko oni mogą wydawać o niej sądy w oparciu o zasady, które w pełni uznajemy. Ich pochwały pragniemy, ich potępienia się boimy. Małe grupki pierwszych chrześcijanostały się dlatego, że ludzi tych obchodziła wyłącznie miłość "braci", a zatykali sobie uszy na głos opinii otaczającego ich zewsząd pogańskiego społeczeństwa. Również grupa złożona z kryminalistów, dziwaków czy zwyrodnialców ostoi się w ten sam sposób, pozostając głucha na głos opinii zewnętrznego świata, traktując go jak paplaninę ludzi obcych, którzy nic nie rozumieją, są "konwencjonalni", "drobnomieszczańscy", widząc w nim rzecznika świętoszków, pedantów i blagierów.

Łatwo zatem zrozumieć, dlaczego władza zżyma się na przyjaźń. Każda prawdziwa przyjaźń to pewnego rodzaju secesja, a nawet bunt. Może to być bunt poważnie myślących przeciw powszechnie uznanym frazesom lub nowinkarzy przeciw powszechnie uznanemu zdrowemu rozsądkowi, prawdziwych artystów przeciw upowszechnionej brzydocie lub szarlatanów przeciw cywilizowanym gustom, ludzi dobrych przeciw społecznemu złu albo ludzi złych przeciw społecznemu dobru. I to, i tamto nie będzie mile przyjęte przez wyższe czynniki. W każdej grupie przyjaciół istnieje lokalna "opinia publiczna", która umacnia swoich członków przeciw "opinii publicznej" danej społeczności. A zatem każda z tych grup jest gniazdem potencjalnego oporu. Tymi, którzy mają prawdziwych przyjaciół, trudniej jest kierować i trudniej się do nich zbliżyć, dobrej władzy trudniej ich karcić, a złej skorumpować. Jeśli tym, którzy nami rządzą, uda się kiedyś siłą czy za pomocą propagandy "wspólnoty" lub uniemożliwiając dyskretnie wszelkie odosobnienie i nie zaplanowa 103

ny wolny czas, stworzyć świat, w którym nie będzie przyjaciół, tylko koledzy, usuną oni pewne niebezpieczeństwa, a jednocześnie odbiorą nam naszą chyba najmocniejszą ochronę przeciw całkowitej niewoli.

Jednak istnienie niebezpieczeństwa jest zupełnie realne. Przyjaźń (tak uważali ludzie w starożytności) może być szkołą cnoty, ale również (i tego nie zauważyli) szkołą występku.

Zawiera w sobie sprzeczności. Ludzi dobrych czyni lepszymi, a złych gorszymi. Dłuższe rozmyślanie nad tym zagadnieniem byłoby stratą czasu. Naszym zadaniem nie jest rozwodzenie się nad złem wynikającym ze złych przyjaźni, ale uświadomienie sobie tego, że w dobrych przyjaźniach mogą się kryć niebezpieczeństwa. I ta miłość, jak wszystkie przyrodzone uczucia, ma wrodzoną skłonność do pewnego typu schorzeń.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że pierwiastek secesjonizmu, obojętności czy głuchoty (przynajmniej w zakresie pewnych spraw) na głosy zewnętrznego świata, wspólny jest wszystkim przyjaźniom dobrym, złym czy tylko nieszkodliwym. Nawet jeśli wspólna płaszczyzna, na której rozwija się ta przyjaźń, jest na przykład czymś tak mało ważkim jak zbieranie znaczków pocztowych, grono zbieraczy słusznie i konsekwentnie ignoruje pogląd milionów ludzi, które uważają to zajęcie za niemądre, i tysiacy, które traktują je po dyletancku. Założyciele podwalin meteorologii słusznie - gdyż było to nieuniknione - ignorowali poglądy milionów, które uporczywie przypisywały burze działaniu czarów. Nie ma w tym nic obraźliwego. Ponieważ wiem, że czułbym się obcym człowiekiem w gronie miłośników golfa, matematyków czy moto cyklistów, sądzę, że mam również prawo uważać ich za obcych w swoim gronie.

Ludzie, którzy wzajemnie siebie nudzą, powinni się rzadko widywać, a ci, co siebie wzajemnie interesują - często.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że ta częściowa obojętność czy głuchota na zewnętrzną opinię, choć - potrzebna i słuszna, może doprowadzić do całkowitej obojętności czy głuchoty. Najdrastyczniejsze tego przykłady spotykamy nie w kołach przyjaciół, ale w środowiskach teokratycznych czy arystokratycznych.

Wiemy, co myśleli za czasów Chrystusa kapłani o pospółstwie. Rycerze w kronice Froissartanie odczuwali ani sympatii, ani litości względem "obcych", względem pańszczyźnianych chłopów, choć w tej godnej ubolewania obojętności przewijała się nić pięknych zalet. We własnym gronie ci rycerze naprawdę hołdowali szczytnym ideałom: męstwa, szczodrości, kurtuazji i honoru. Owe ideały ostrożny, skąpy pańszczyźniany chłop uważałby po prostu za głupotę. Chcąc je utrzymać rycerze odnosili się i musieli odnosić się z całkowitą obojętnością do poglądów pańszczyźnianych chłopów. Uważali, że to, co oni myślą, jest "diabła warte".

Gdyby tak nie uważali, poziom naszych dzisiejszych ideałów byłby niższy i bardziej prymitywny. Ale postawa typu: "To jest diabła warte", zakorzenia się łatwo w danej klasie. Odmawianie posłuchu chłopom wtedy, kiedy należy to robić, ułatwia odmawianie im posłuchu wówczas, gdy wołają o sprawiedliwość czy litość.

Częściowa głuchota Jean Froissart (1338-1410?) - kronikarz franc, sekretarz żony króla angielskiego Edwarda III.

szlachetna i - potrzebna zachęca do całkowitej głuchoty aroganckiej i nieludzkiej.

Grono przyjaciół nie może oczywiście uciskać otaczającego świata, jak to może czynić potężna klasa społeczna. Ale ulega we własnej skali temu samemu niebezpieczeństwu. Może dojść do tego, że traktuje jako "obcych", w ogólnym i pejoratywnym znaczeniu tego słowa, tych, którzy całkiem słusznie są mu obcy na pewnym określonym odcinku. Czyli że może - jak to robi arystokracja - stworzyć dokoła siebie pustkę, przez którą nie doleci żaden głos. Grupa literatów czy artystów, która początkowo chyba słusznie lekceważyła poglądy szarego człowieka na literaturę czy malarstwo, może z czasem zlekceważyć jego poglądy na to, że artyści powinni płacić rachunki, obcinać sobie paznokcie i zachowywać się przyzwoicie. W ten sposób każda wada tej grupy - a nie ma grupy bez wad - staje się nieuleczalna. Nie koniec na tym. Podstawą tej częściowej, dającej się usprawiedliwić głuchoty jest jakaś wyższość, choćby nią była wyższa wiedza o znaczkach pocztowych, i to poczucie wyższości stanie się nierozzerwalnie związane z całkowitą głuchotą. Dana grupa będzie nie tylko ignorowała tych, którzy się znajdują poza jej obrębem, ale będzie nimi w dodatku pogardzała. Czyli zamieni się w coś zbliżonego do klasy społecznej - stanie się koterią w łonie samozwańczej arystokracji.

Wspomniałem już poprzednio, że w ramach dobrej przyjaźni każdy czuje się nieraz pełnym pokory w stosunku do reszty. Oni to wspaniali ludzie, a on, szczęściarz, zalicza się do ich grona. Niestety, oni i ich to jednocześnie z innego punktu widzenia my i nas. A przejście od indywidualnej pokory do zbiorowej pychy jest rzeczą bardzo łatwą.

Nie mam na myśli tego, co nazwalibyśmy pychą towarzyską czy snobizmem:

rozkoszowanie się tym, że się zna - i że wszyscy wiedzą, że się zna - wybitnych ludzi. To całkiem co innego. Snob pragnie związać się z pewnym gronem ludzi, bo jest ono już uważane za elitę. Przyjaciołom natomiast grozi niebezpieczeństwo, że będą uważać siebie za elitę, bo już są z sobą związani. Poszukujemy ludzi, którzy nam przypadają do serca z powodu swych własnych walorów i naraz czujemy się w uroczy i niebezpieczny sposób zaskoczeni uczuciem, że staliśmy się arystokracją. Oczywiście, nie nazwalibyśmy tego w podobny sposób. Każdy z czytelników, który zaznał przyjaźni, będzie prawdopodobnie pragnął dość energicznie zaprotestować przeciwko temu, jakoby jego gronu można było zarzucić podobnie absurdalne zachowanie. Ja osobiście czuję tak samo. Ale w takich sprawach lepiej nie zaczynać od siebie. Jakkolwiek by było w naszym wypadku, sądzę, że

wszyscy natknęliśmy się na podobne tendencje w gronie przyjaciół, wobec którego jesteśmy ludźmi obcymi.

Byłem kiedyś obecny na jakiejś konferencji: dwaj duchowni, najwidoczniej bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni, zaczęli mówić o "energii nie stworzonej", innej niż Bóg.

Zapytałem, jakie mogą istnieć rzeczy nie stworzone - z wyjątkiem Boga - jeśli ma rację credo nazywając Go "Stworzycielem wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych"? W odpowiedzi duchowni zamienili spojrzenia i roześmieli się.

Nic mi nie szkodził ich śmiech, ale chciałem, by mi również odpowiedzieli słowami. Śmiech ów nie był wcale drwiący ani przykry. Wyrażał to, co Amerykanin zdefiniowałby powiedzeniem: "Ale sprytny, co?" Przypominał śmiech rozweselonych dorosłych, gdy enfant terrible zadaje pytania, których nikt nie stawia. Nie było w tym śmiechu ani cienia czegoś ubliżającego, ale jakże jasno wyrażał przekonanie, że oni dwaj stale przebywają na poziomie wyższym od poziomu reszty obecnych, że pojawili się wśród nas jak rycerze wśród pańszczyźnianych chłopów, jak dorośli wśród dzieci.

Prawdopodobnie potrafiliby odpowiedzieć na moje pytanie i wiedzieliby, że jesteś zbyt mało wykształcony, by tę odpowiedź zrozumieć. Gdyby powiedzieli: "Naszym zdaniem wyjaśnienie tego zajęłoby nam zbyt dużo czasu" - nie podejrzewałbym ich o pychę przyjaźni. Punkt ciężkości leżał w owym spojrzeniu i śmiechu: widomy i oczywisty znak zbiorowej wyższości. Olimpijską postawę podkreślała właśnie owa dobroduszość, ów brak chęci ubliżenia czy wywyższenia się (obaj ci młodzieńcy byli bardzo mili). Ich poczucie wyższości było tak ugruntowane, że mogło sobie pozwolić na tolerancję, uprzejmość, dyskrecję.

Takie poczucie wyższości nie zawsze bywa olimpijskie, to znaczy spokojne.

Czasami wyrasta na miarę tytaniczną, jest krnąbrne, wojownicze, zgorzkniałe.

Pewnego razu, gdy przemawiałem na zebraniu studenckim i wywiązała się (bardzo słusznie) po moim referacie dyskusja, pewien podobny do gryzonia młodzieniec, o zaciętej twarzy, potraktował mnie w taki sposób, że musiałem powiedzieć: "Za pozwoleniem, w ciągu ostatnich pięciu minut nazwał mnie pan dwukrotnie kłamcą.

Jeśli pan nie potrafi dyskutować w inny sposób na tematy krytyki, ja muszę opuścić salę".

IoTf Spodziewałem się, że zrobi jedną z dwóch rzeczy: albo się rozzłości i podwoi obelgi, albo się zarumieni i przeprosi. Najdziwniejsze, że nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Żaden nowy grymas nie pogłębił wyrazu rozdrażnienia przyklepionego stale do jego twarzy. Nie zarzucił mi już wprost kłamstwa, ale poza tym nie zmienił wcale swego postępowania. Natknąłem się na żelazną kurtynę.

Był z góry uzbrojony przeciw niebezpieczeństwu nawiązania czysto osobistych, przyjaznych lub wrogich stosunków z takimi jak ja. Za taką postawą kryje się prawie na pewno krąg ludzi z gatunku tytanów, którzy sami siebie pasowali na rycerzytemplariuszy; są oni zawsze pod bronią, gotowi stanąć w obronie swego Bafometa. My - znaczy dla nich oni - jako osoby nie istniejemy w ogóle.

Jesteśmy okazami różnych pokoleń, typów, nastrojów, opinii, zainteresowań, które należy wytepić. Gdy jedna broń wymknie się im z rąk, z zimną krwią sięgają po inną. Wcale się z nami nie kontaktują, w zwykłym ludzkim znaczeniu tego słowa, po prostu wykonują pewną robotę, rozpylają płyn owadobójczy (słyszałem na własne uszy, jak ktoś użył tej przenośni).

Poziom intelektualny moich dwóch sympatycznych duchownych i mojego mniej sympatycznego gryzonia był wysoki. To samo można powiedzieć o tym sławnym zespole ludzi, którzy za czasów króla Edwarda z niebotyczną zarozumiałością nazwali siebie "duchami". Podobne uczucie zbiorowej wyższości może ogarnąć grupy znacznie mniej wytwornych przyjaciół. Wówczas Bafomet - demon, postać symboliczna. Templariuszy oskarżano o oddawanie mu czci.

będzie się ona objawiać w sposób brutalniejszy. Wszyscy byliśmy świadkami tego typu scen: w szkole rozmów "starych wyg" w obecności nowo przybyłego chłopca, w armii starszych roczników w obecności rekrutów, a czasem w barze czy wagonie kolejowym głośnych i ordynarnych dyskusji przyjaciół, usiłujących po prostu wyrzucić wrażenie na obcych. Tacy ludzie mówią o rzeczach bardzo poufnych i tajemniczych po to, by ich podsłuchiowano. Każdy, kto nie należy do ich klanu, musi być dokładnie poinformowany o tym, że jest poza nawiasem. Tego rodzaju przyjaźń może nie mieć niemal żadnej treści z wyjątkiem tej, że wyklucza innych.

Ktoś, kto należy do takiej grupy przyjaciół, rozmawiając z obcymi z rozkoszą wymienia imiona lub przezwiska innych członków grupy, nie pomimo, ale dlatego, że "obcy" nie będzie wiedział, o kim mowa. Kiedyś znałem człowieka, który używał jeszcze subtelniejszych metod. Powoływał się na swoich przyjaciół, jak gdybyśmy wszyscy wiedzieli i powinni wiedzieć, kto zacz. Rozpoczął rozmowę w ten sposób: "Ryszard Button, mówił mi kiedyś, że..." Byliśmy wtedy wszyscy bardzo młodzi. Nie śmieliśmy się przyznać, że nie słyszeliśmy nigdy o Ryszardzie Buttonie. Nie ulegało wątpliwości, że dla każdego, kto był kimś, nazwisko to należało do słów codziennego użytku, "nie znać go, to stwierdzić, że sami jesteśmy nieznani". Dopiero wiele lat później zrozumieliśmy, że nikt inny również o nim nie słyszał. (Teraz podejrzewam, że nawet niektóre osoby w rodzaju Ryszarda Buttona,

Hezekiaha Cromwellsa czy Eleonory Forsyths były postaciami fikcyjnymi, tak jak pani Haris. Ale przez rok napelniał nas zbożny lęk.)

Możemy więc wykryć w wielu kołach przyjaciół pychę przyjaźni o zacięciu olimpijskim, tytanicznych rozmiarów czy po prostu ordynarną. Zbyt pochopne byłoby stwierdzenie, że nasz krąg wolny jest od podobnych niebezpieczeństw;

ponieważ jest nasz własny, najtrudniej nam się w tym zorientować. Przyjaźń musi wykluczać. Łatwo od niewinnego i - potrzebnego aktu wykluczenia czegoś przejść do postawy ekskluzywnej, a stąd już jeden krok do poniżających uciech tejże ekskluzywności. Gdy się na to raz zgodzimy, stoczmy się nader szybko po coraz bardziej stromej pochyłości. Prawdopodobnie nie zamienimy się w tytanów lub zwykłych łajdaków, ale możemy - i do pewnego stopnia jest to jeszcze coś gorszego - stać się "duchami". Wspólna łącząca nas wizja może zupełnie wypłowić. Staniemy się koterią, która istnieje po to, by być koterią małą, samozwańczą (a zatem absurdalną) arystokracją pławiącą się w księżycowym blasku wzajemnego uznania.

Czasem tego rodzaju krąg zaczyna bawić się w praktyczną działalność, słusznie rozszerzając swój zasięg celem wchłonięcia rekrutów, których udział w pierwotnych wspólnych zainteresowaniach nie jest godny uwagi, ale co do których się czuje (w jakiś nieokreślony sposób), że są ludźmi "godnymi zaufania".

Wówczas taka grupa staje się potęgą. Przynależność do niej nabiera z czasem politycznego znaczenia, chociaż działalność polityczna jej członków może się ograniczać do pułku, kolegium, czy terenu katedry. Kierowanie komitetami, zdobywanie posad (dla ludzi "godnych zaufania") i zwarty front przeciw wydziedziczonym stają się głównym zajęciem tych, którzy dawniej spotykali się po to, by pomówić o Bogu i poezji, a teraz spotykają się po to, by mówić o asystenturach i środkach utrzymania. Słusznie skazani są oni na zagładę. "Prochem jesteś i w proch się obrócisz" - powiedział Bóg do Adama. W obrębie koła, które zamieniło się w paczkę kombinatorów, przyjaźń stała się z powrotem tylko koleżeństwem; wróciła do swego łóżyska.

Osoby należące do tego koła tworzą teraz podobne ugrupowanie, jakim były pierwotne gromady myśliwych. Bo one są właśnie myśliwymi, ale nie tylko tego rodzaju myśliwymi, których najbardziej szanuję.

Ogół ludzi nigdy nie ma całkowicie racji, ale też nigdy całkowicie się nie myli.

Myli się jednak bardzo sądząc, że każdy zespół przyjaciół po to tylko ujrzał światło dzienne, żeby się pławić w rozkoszach zarozumiałości i poczucia wyższości. Ufam, że się myli uważając, iż każda przyjaźń ulega tym pokusom. Lecz wydaje mi się, że ma słuszność

twierdząc, że pycha jest niebezpieczeństwem z natury rzeczy najbardziej zagrażającym przyjaźni. Ponieważ to najbardziej duchowa z miłości, zagrażające jej niebezpieczeństwo jest również natury duchowej. Przyjaźń ma nawet cechy anielskie, musi się więc podwójnie opancerzyć pokorą.

Spróbujmy zastanowić się, dlaczego Pismo święte używa tak rzadko przyjaźni jako symbolu najwyższej miłości. Przyjaźń już w swej istocie zbyt jest duchowa, żeby mogła być dobrym symbolem spraw ducha: "Bo najwyższe na najniższym wznosi się i opiera". Bóg może śmiało nam się przedstawiać pod postacią Ojca i Oblubieńca, bo tylko wariat mógłby pomyśleć, że jest On w fizycznym znaczeniu tego słowa naszym rodzicem lub że Jego zaślubiny z Kościołem nie są wyłącznie mistycznej natury. Gdybyśmy do tego celu użyli jako symbolu przyjaźni, moglibyśmy wziąć symbol za to, co ma symbolizować. Tkwiące w przyjaźni niebezpieczeństwo wzrosłoby jeszcze. Mogłoby się to stać bodźcem do dalszej błędnej interpretacji, bo choć przyjaźń wprowadza nas w stan bliski (przez analogię) niebiańskiej szczęśliwości, bliskość ta nie jest bliskością zbliżenia do Boga.

Przyjaźń, tak jak i inne przyrodzone miłości, nie może o własnych siłach osiągnąć zbawienia. Jest miłością duchową i wskutek tego musi stawić czoło bardziej subtelnemu wrogowi, a jeśli pragnie rzeczywiście zachować swą słodycz, powinna bardziej jeszcze od innych wzywać Boskiej opieki. Proszę się zastanowić, jak wąska jest jej prawdziwa ścieżka. Nie może się stać tym, co ludzie nazywają "towarzystwem wzajemnej adoracji", a jednak jeśli nie jest pełna wzajemnego podziwu czy miłości-upodobania, nie jest w ogóle przyjaźnią. Jeśli nie chcemy doprowadzić do żalnego zubożenia naszego życia, musi się nam wieść w przyjaźni jak Chrześcijance i jej towarzysze w "Wędrownicy pielgrzyma":

... jedna omal się nie przełękła drugiej. Nie widziała bowiem żadnej własnej wspaniałości, mogła ją natomiast widzieć u drugiej. Zaczęły więc jedna drugą mieć za wyższą nad siebie (Filip. 2,3). "Tyś piękniejsza ode mnie" - rzekła jedna. "Nie, ty jesteś ode mnie nadobniejsza" - mówiła druga.

John Bunyan - "Wędrownica pielgrzyma" („Pilgrims Progress”), przekład Józefa Provera, str. 306. Warszawa 1961. (Przyp. tłum.)

Na dłuższą metę możemy tylko w jeden sposób uczestniczyć w tym wspaniałym przeżyciu. Bunyan wskazał go nam w tym samym ustępie. Działo się to w Domu Tłumacza, gdzie obmyto je w kąpielu, ubrano w białe szaty, położono na nie znak pieczęci i wówczas dopiero kobiety ujrzały siebie w tym świetle. Jeśli będziemy pamiętali o oczyszczeniu, o tej pieczęci j. o białych szatach, nic nam nie grozi. Czym wznioślejsze są podstawy przyjaźni,

tym usilniej należy mieć to na uwadze. A zapomnieć o tym w wypadku przyjaźni zadzierzgniętej na gruncie wybitnie religijnym byłoby rzeczą wręcz fatalną.

Gdyż wówczas wydawałoby się nam - naszej czwórce czy piątce - że dokonaliśmy wyboru, że intuicyjnie każdy z nas poznał wewnętrzne piękno pozostałych, żeśmy się dobrali równi z równymi, my, świadoma elita, żeśmy się wznieśli ponad poziom reszty ludzkości dzięki naszym wrodzonym możliwościom. Inne miłości nie ulegają podobnym złudzeniom. Przywiązanie uwarunkowane jest pokrewieństwem lub co najmniej bliskimi powiązaniem, które nigdy nie zależą od naszego wyboru. A co do Erosa, to połowa miłosnych pieśni i połowa miłosnych wierszy powie ci, że ukochana istota jest twoim losem czy przeznaczeniem, że nie wybierasz jej, jak nie wybierasz piorunu, bo "nie w naszej mocy jest kochać lub nienawidzić". Łuk i strzały Kupidyna - wszystko, tylko nie my sami. Ale w przyjaźni wolni jesteśmy od tego balastu i sądzimy, że to my sami sobie wybraliśmy równych nam towarzyszy. A w rzeczywistości kilka lat różnicy w datach urodzin, kilka mil dzielących domy, wybór tego a nie innego uniwersytetu, przydział do tego a nie innego pułku, taki a nie inny przypadkowy temat rozmowy w domu pierwszego spotkania, taki a nie inny zbieg okoliczności mógł uniemożliwić nasze zbliżenie. Tylko że dla chrześcijanina nie ma w ścisłym tego słowa znaczeniu zbiegów okoliczności.

Działał tu ukryty Mistrz ceremonii. Chrystus, który powiedział do swoich uczniów: "Nie wyście mnie obrali, ale Ja was obrałem", może również powiedzieć do każdego grona przyjaciel chrześcijan: "Nie wyście siebie obrali nawzajem, ale Ja obrałem każdego z was dla wszystkich". Przyjaźń nie jest nagrodą za naszą spostrzegawczość i dobry gust, któryśmy wykazali znajdując się nawzajem. To narzędzie, za pośrednictwem którego Bóg objawia każdemu z nas piękno wszystkich pozostałych. Piękno to nie jest doskonalsze niż piękno tysiąca innych ludzi, ale Bóg za pomocą przyjaźni otwiera nam oczy na nie. To piękno, jak każde inne, pochodzi od Niego i w dobrej przyjaźni wzrasta dzięki Niemu właśnie poprzez przyjaźń, gdyż jest ona Jego narzędziem, służącym Mu nie tylko do objawienia, ale i do tworzenia. On wyprawił tę ucztę i On wybrał gości. I ośmielamy się spodziewać, że to On czasem raczy, a zawsze powinien jej przewodniczyć. Obyśmy się nigdy nie przestali liczyć z naszym Gospo-darzem.

Nie znaczy to, żebyśmy zawsze mieli zasiadać do tej ucztę w nastroju uroczystym.

Niech nas Bóg, "który stworzył zdrowy śmiech", od tego broni. Jedną z zawyłych i uroczych subtelności życia polega na tym, że uznając głęboką powagę niektórych zagadnień, musimy zachować zdolność traktowania ich często tak lekko, jakby były zabawą. W

następnym rozdziale powiem więcej na ten temat. Na razie zacytuję tylko peł. ną rozsądki radę Dunbara:

Bądź miły Bogu i rad hasaj, I światem, człecze, się nie frasuj.

William Dunbar (ok. 1460 - ok. 1520) - największy poeta szkocki przed Burnsem, związany z dworem Jakuba IV. Przekład Andrzeja Piotrowskiego.

Rozdział V

EROS

Używając określenia Eros mam oczywiście na myśli stan, który nazywamy powszechnie zakochaniem, lub, jeśli kto woli, ten rodzaj miłości, który żywią dla siebie kochankowie. Niektórzy czytelnicy mogli się poczuć zdziwieni, że w jednym z poprzednich rozdziałów określiłem przywiązanie jako miłość, w ramach której nasze doznanie upodabnia się najbardziej do doznań zwierząt. Czyż nasze funkcje płciowe - można by słusznie zapytać - nie mniej zbliżają nas do nich? Jest to zupełną prawdą w odniesieniu do życia seksualnego ludzi w ogóle. Ale ja nie mam zamiaru zajmować się sprawami płci jako takimi. Sprawy płci wchodzi w zakres naszego tematu na tyle, na ile są składnikami skomplikowanego stanu zwanego "zakochaniem". Uważam za rzecz nie podlegającą dyskusji, że doznania seksualne mogą mieć miejsce bez Erosa, bez "zakochania" i że w pojęciu Erosa mieści się wiele innych rzeczy prócz działania zmysłów. Jeśli wolisz, mogę to sformułować w inny sposób: nie badam spraw płci wspólnych nam i zwierzętom, ani nawet tych wspólnych wszystkim ludziom, ale pewną wyłącznie ludzką ich odmianę, która rozwija się w ramach "miłości"; to właśnie nazywam Erosem. Pierwiastki cielesne czy zwierzęcoseksualne tkwiące w Eroście mam zamiar nazwać (według dawnego zwyczaj): Wenus. Gdy mówię Wenus, mam na myśli sprawy płci nie w jakimś tajemniczym i wysubtelnionym znaczeniu tych słów nadającym się do badań psychologów głębi, ale w znaczeniu zupełnie oczywistym; to, o czym ludzie wiedzą, że jest sprawą płci, gdy tego doświadczają, to, co na mocy najprostszej obserwacji można zakwalifikować jako objawy życia seksualnego.

Życie seksualne może się obejść bez Erosa albo wchodzić w zakres jego działania.

Muszę tu pośpiesznie dodać, że robię to rozróżnienie bez żadnych moralnych implikacji, po prostu dlatego, żeby ograniczyć pole naszych dociekań. Bynajmniej się nie podpisuję pod rozpowszechnionym poglądem, że "czystość" czy "nieczystość", szlachetność czy nieszlachetność, legalność czy nielegalność aktu płciowego uzależniona jest od obecności lub nieobecności Erosa. Gdyby wszyscy ci, co z sobą żyli, nie ulegając wpływom Erosa, byli ludźmi wstrętnymi, na pochodzeniu nas wszystkich ciążyłaby skaza. Epoki i miejsca, w których małżeństwo uzależniano od Erosa, są bardzo nieliczne. Większość naszych przodków żeniono bardzo młodo z partnerami wybranymi przez rodziców w oparciu o zasady nie mające nic wspólnego z Erosem. Przystępowali oni do tego aktu bez żadnego "paliwa" - że

się tak wyrażę - prócz zwykłego zmysłowego pożądania. I mieli rację: byli uczciwymi chrześcijańskimi małżonkami, którzy posłuchali ojców i matek, spełniali wobec siebie "małżeński obowiązek" i wychowywali dzieci w bojaźni Bożej. I na odwrót, ten akt dokonany pod wpływem Erosa wysubtelnionego, mieniącego się barwami tęczy, który sprowadza rolę zmysłów niemal do zera, może być jednak po prostu cudzołóstwem, może doprowadzić do złamania serca żony, do nadużycia zaufania męża, do zdrady przyjaciela, skalania gościnnego gniazda i porzucenia własnych dzieci. Nie leżało w zamiarach Bożych, żeby owo rozróżnienie między grzechem a obowiązkiem opierało się na szlachetnych uczuciach. Akt ten jak każdy inny może być usprawiedliwiony (lub nie) w oparciu o bardziej prozaiczne i bardziej określone kryteria: dotrzymanie lub niedotrzymanie przyrzeczeń, sprawiedliwość lub krzywda, miłosierdzie lub egoizm, posłuszeństwo lub nieposłuszeństwo. Mój sposób traktowania tej sprawy wyklucza zwykle życie seksualne bez Erosa, z powodów nie mających nic wspólnego z moralnością i wyłącznie dlatego, że to nie odpowiada naszemu celowi.

Dla ewolucjonisty Eros (jego ludzka odmiana) będzie czymś wyrastającym z łona Wenus, późniejszym w czasie zróżnicowaniem i rozwojem wiecznego biologicznego popędu. Nie możemy jednak zakładać, że taki proces zachodzi nieodmiennie w świadomości jednostki. Mogą się zdarzyć tacy, którzy czują początkowo zmysłowy pociąg do kobiety, a później "zakochują się" w niej. Ale wątpię, żeby to zjawisko było czymś powszechnym. Bardzo często za to pojawia się najpierw cudowne zaabsorbowanie ukochaną, ogólne niesprecyzowane zaabsorbowanie nią całą.

Mężczyzna w tym stanie psychicznym nie ma naprawdę czasu myśleć o sprawach płci.

Pochłania go całkowicie myśl o osobie. Fakt, że ona jest kobietą, ma znacznie mniejszą wagę niż fakt, że ona jest sobą. Odczuwa pożądanie, ale to pożądanie niekoniecznie ma zabarwienie zmysłowe. Gdybyś go zapytał, czego pragnie, jego szczerą odpowiedź brzmiałaby często: "Chciałbym wciąż o niej myśleć". Oddaje się kontemplacji miłości. A kiedy w późniejszej fazie zbudzi się w tym człowieku pierwiastek czysto seksualny, nie będzie uważał (o ile naukowe teorie nie wywierają nań przemożnego wpływu), że to od początku było rzeczą najistotniejszą. Będzie raczej czuł, że wzrastający przypływ podległych Erosowi uczuć, który zburzył wiele zamków z piasku i zamienił wiele skał w wyspy, triumfalnie zalał również tę część jego natury, to małe bajorko zwykłej zmysłowości, które istniało na jej krańcach, dopóki nie nastąpił przypływ. Eros wkracza jako zdobywca, przejmując i reorganizując instytucje podbitego kraju.

Mógł przejąć wiele innych dziedzin, zanim dotarł w tym człowieku do spraw jego płci, zresztą zreorganizuje i tę dziedzinę.

Używamy bardzo niefortunnego wyrażenia, mówiąc o lubieżnym mężczyźnie krążącym po ulicach w poszukiwaniu zdobyczy, że "pożąda" kobiety. Prawdę powiedziawszy kobiety on pożąda najmniej. Pożąda rozkoszy, dla osiągnięcia której niezbędnym narzędziem jest przypadkowa kobieta. Na dowód, jak dba o kobiety, może służyć jego własne zachowanie w pięć minut po zdobyciu jej (nikt nie przechowuje pudełek po wypaleniu zawartych w nich papierosów) Eros sprawia, że mężczyzna naprawdę pragnie, nie kobiety w ogóle, ale tej jednej jedynej. W jakiś tajemniczy, ale bezsporny sposób kochanek pragnie ukochanej, jej samej, a nie rozkoszy, którą może mu dać. Żaden kochanek na świecie marząc o miłosnych uściskach ukochanej nie kalkulował, choćby podświadomie, że będą one przyjemniejsze niż innych kobiet. Gdyby zadał sobie podobne pytanie, odpowiedziałby nań oczywiście twierdząco. Ale samo postawienie takiego pytania oznaczałoby, że znalazł się on już daleko poza granicami świata, którym włada Eros. O ile wiem. Lukrecjusz był jedynym człowiekiem, który poruszył tę kwestię, i z pewnością nie był zakochany, kiedy to robił. Warto zapamiętać jego wypowiedzi. Ten poważny i zmysłowy mężczyzna wyraził opinię, że żemiołość osłabia rozkosz zmysłową. Emocjonalność jest tu przeszkodą. Psuje chłodną, krytyczną wrażliwość smakosza (Lukrecjusz to wielki poeta, ale "o Boże! ci Rzymianie, co to za realiści!")

Czytelnik zauważył może, iż Eros przemienia w ten sposób to, co było par excellence przyjemnością-potrzebą, w przyjemność, w której - upodobanie odgrywa dominującą rolę. Z charakteru przyjemności-potrzeby wypływa, że ukazuje nam dawny obiekt tylko w odniesieniu do naszej - potrzeby, nawet chwilowej. Ale pod wpływem Erosa - potrzeba nawet najbardziej intensywna odnosi się do swego obiektu jako do zjawiska w swej istocie godnego podziwu i ważnego, zupełnie niezależnie od - potrzeb kochanka. Gdybyśmy tego wszyscy nie przeżywali, gdybyśmy byli tylko logikami, moglibyśmy się wzdrygać przed koncepcją, że pożądanie ludzkiej istoty jest czymś odmiennym od pożądania rozkoszy, pociechy czy oparcia, jakie ludzka istota może nam dać. Naprawdę trudno to wytłumaczyć. Kochankowie sami starają się wyrazić choć (minimalną) część tego, mówiąc: "Chętnie bym cię zjadł".

Milton powiedział trochę więcej stwarzając mocą swej wyobraźni anielskie istoty, postacie całe ze światła, które zamiast naszych uścisków mogą osiągnąć całkiem wite, wzajemne przenikanie. Charles Williams wyraził to słowami: "Czy kocham cię? Ja jestem tobą".

Bez Erosa żądza płciowa jak każda żądza jest faktem dotyczącym tylko nas samych.

Z Erosem dotyczy raczej ukochanej istoty. Staje się niemal sposobem percepcji, w pełni zaś jest sposobem wyrażania uczuć. Czuje własny obiektywizm, jest czymś poza nami, czymś w realnym świecie. Dlatego właśnie Eros, choć jest królem rozkoszy, w chwilach najpotężniejszego rozkwitu sprawia takie wrażenie, jakby uważał rozkosz za produkt uboczny. Myśleć o niej, znaczy zagłębiać się znów w siebie, uwikłać się we własny system nerwowy. Zabiłoby to Erosa, tak jak można zabić najpiękniejszy widok gór, zamykając go we własnej siatkówce i nerwach ocznych. A zresztą czyjej rozkoszy? Bo jedną z pierwszych działalności Erosa jest zatarcie różnicy między dawaniem a braniem.

Staralem się dotąd tylko opisywać, a nie oceniać. Ale teraz nasuwają się nieodparcie pewne moralne problemy i nie mogę zataić mojego poglądu na nie. Nie obstaję przy nim, raczej poddaję go pod dyskusję i oczywiście zostawiam wolną drogę tym, którzy zechcą go sprostować, ludziom lepszym ode mnie, lepszym kochankom, lepszym chrześcijanom.

W przeszłości panowało ogólne mniemanie, a może panuje do dzisiejszego dnia wśród ludzi mało skomplikowanych psychicznie, że duchowe niebezpieczeństwo Erosa wypływa niemal całkowicie z zawartego w nim pierwiastka zmysłu Charles Williams (1886-1945) - literat ang., biograf Henryka VII, Rochestera, autor znanej powieści "Ali Hollows Eve".

wego, że Eros jest "szlachetniejszy"...czystszy", gdy udział Wenus zredukowany jest w nim do minimum. Zwłaszcza starsze pokolenie teologów moralnych za główne niebezpieczeństwo grożące nam w małżeństwie uważało poddanie się działaniu zmysłów, które niszczy duchaj Należy jednak zaznaczyć, że nie w taki sposób podchodzi do tego problemu Pismo święte. Święty Paweł, odradzając swoim konwertytom małżeństwo, nie wspomina zupełnie o tej stronie zagadnienia z wyjątkiem tego, że nie pochwała zbyt długiej wstrzemięźliwości w sprawach Wenus (I Kor. 7, 5). Obawia się natomiast zaabsorbowania, konieczności stałego "podobania się", to znaczy liczenia się z partnerem, niekończącego się stałego rozpraszania uwagi, które pociąga za sobą życie rodzinne. Małżeństwo samo w sobie, a nie małżeńska łóżnica, może nam przeszkodzić w nieustannej służbie Bożej. I chyba święty Paweł ma rację. Jeżeli wolno mi się oprzeć na moim osobistym doświadczeniu, to właśnie (w małżeństwie i poza nim) praktyczne i rozsądne starania koło spraw tego świata, nawet te najdrobniejsze i najbardziej prozaiczne, najwięcej rozpraszają naszą uwagę. Częściej przeszkadzały mi w modlitwie, niczym chmara owadów, drobne niepokoje i konieczność powzięcia decyzji, jak mam postąpić w ciągu następnej godziny, niż jakiegokolwiek namiętności czy pożądania. Wielką stałą pokusą w małżeństwie nie jest zmysłowość, lecz (całkiem po prostu) skąpstwo. Pomimo całego szacunku, jaki winienem moim średniowiecznym przewodnikom, nie mogę zapomnieć, że oni wszyscy żyli w celibacie i

prawdopodobnie nie wiedzieli, jak Eros oddziaływa na nasze życie seksualne, i że nie wzmaga, lecz łagodzi dokuczliwy nałogowy charakter samego głodu zmysłów. I nie dlatego, że go po prostu zaspokaja: Eros nie umniejsza pożądania, ale ułatwia wstrzemięźliwość. Skłonny jest bez wątpienia ulec temu zaabsorbowaniu ukochaną, które może istotnie być przeszkodą dla życia duchowego, ale to zaabsorbowanie nie ma koniecznie charakteru zmysłowego.

Prawdziwe duchowe niebezpieczeństwo, jakie przedstawia dla nas Eros, polega na czymś zupełnie innym. Powrócę jeszcze do tego zagadnienia. Na razie chcę mówić o niebezpieczeństwie, które - zwłaszcza teraz - grozi miłosnemu aktowi. Co do tego nie jestem innego zdania niż ludzkość w ogóle (wręcz odwrotnie), ale niż wielu jej rzeczników. Moim zdaniem stale jesteśmy zachęcani do traktowania Wenus zbyt poważnie. Przez całe życie byłem świadkiem, jak nadawano coraz bardziej uroczyście, śmieszny i złowrogi charakter sprawom płci.

Pewien pisarz oznajmia nam, że w małżeństwie pojawienie się Wenus powinno się oblec w "uroczyście, sakralny rytuał". Młodzieniec, w obecności którego określiłem bardzo przez niego podziwianą powieść jako "pornograficzną", odparł mi szczerze zdziwiony: "Pornograficzna? Jakim sposobem? Przecież traktuje to wszystko tak poważnie!" Jakby smutna twarz była moralnym środkiem dezynfekcyjnym. Nasi przyjaciele spod znaku ciemnych bóstw, należący do wielbicieli tajemnych mocy krwi, usiłują naprawdę wskrzesić jakiś falliczny kult. Nasze ogłoszenia, mające najbardziej działać na zmysły, przedstawiają to wszystko w sposób pełen zachwyty, napięcia i omdlewającej powagi: rzad ko się z-darza nuta wesołości. Psychologowie zaś tak nas opętali niezwykłą doniosłością doboru płciowego i rzekomą niemożliwością osiągnięcia stanu idealnego, iż chętnie wierzę, że młode pary zabierają się dziś do tej sprawy uzbrojone w pełne wydania dzieł Freuda, KraftEbbinga, Havelocka Ellisa i doktora Stopesa, stojące koło nich na nocnych stolikach. Przydałby się tu raczej wesoły stary Owidiusz, który nigdy nie robił z igły wideł. Doszliśmy do tego punktu, w którym należy już tylko staroświecką modłą wybuchnąć śmiechem.

Ale, odpowiedzą mi, ta sprawa jest poważna. Tak, i to poczwórnice. Po pierwsze z punktu widzenia teologii, gdyż jest to udział ciała w zaślubinach, które z Boskiego wyboru są mistycznym obrazem zjednoczenia Boga z człowiekiem. Po wtóre jako coś, co ośmielę się nazwać pozachrześcijańskim czy pogańskim, czy przyrodzonym sakramentem: nasz udział w przyrodzonej sile życia i płodności oraz

manifestacja tej siły - zaślubiny Zeusa ojca z ziemiąmatką. Po trzecie - już na płaszczyźnie moralnej - ze względu na zobowiązania, które przyjmujemy na siebie i na

niezmiernej doniosłości fakt, że stajemy się rodzicami i antenatami. W końcu, bo ta sprawa jest (czasem, nie zawsze) czymś bardzo uczuciowo ważnym dla tych, co biorą w niej udział.

Ale jedzenie jest też czymś ważnym: z punktu widzenia teologii, gdyż w ten sposób przyjmujemy Komunię świętą, z punktu widzenia etyki ze względu na nasz obowiązek karmienia głodnych, z punktu widzenia społecznego, bo wspólny posiłek jest od niepamiętnych czasów chwilą, w której się rozmawia, z punktu widzenia a medycyny... dobrze wiedzą o tym wszyscy dyspeptycy. A jednak nie przynosimy ze sobą na obiad sprawozdań parlamentarnych, ani nie zachowujemy się przy nim jak w kościele. Jeśli ktoś się tak zachowuje, to raczej smakosze, a nie święci.

Zwierzęta traktują jedzenie bardzo poważnie.

Nie powinniśmy się do Wenus odnosić z uroczystą powagą. Nie możemy naprawdę w ten sposób traktować tych spraw, nie zadając gwałtu naszej ludzkiej naturze. Nie bez powodu wszystkie języki i wszystkie literatury świata pełne są żartów na temat płci. Na ogół są może nudne i obrzydliwe, a prawie wszystkie trącą myszką.

Ale musimy podkreślić, że wyrażają one pewną postawę w stosunku do Wenus i że koniec końców stanowią dla chrześcijańskiego życia znacznie mniejsze niebezpieczeństwo niż pełna czci powaga: Nie starajmy się znaleźć w ciele absolutu. Jeśli usuniemy z miłosnej alkowy śmiech i wesołość, możemy wpuścić na ich miejsce zdradliwe bóstwo. Zdradliwsze nawet niż Afrodyta Greków, bo oni wiedzieli, oddając jej cześć, że „lubi śmiech”. Ogół ludzi zupełnie słusznie uważa, że Wenus jest do pewnego stopnia postacią krotochwilną. Nie mamy bynajmniej obowiązku śpiewać wszystkich naszych miłosnych duetów na modłę Tristana i Izoldy głosem drżącym, w którym brzmi cały bezmiar tęsknoty i bólu świata; śpiewajmy raczej często jak Papageno i Papagena.

Jeśli będziemy przyjmować za dobrą monetę (doraźną) powagę Wenus, ona sama zemści się na nas straszliwie. I to w dwojaki sposób. Zabawny (choć bez zamiaru zabawienia nas) przykład jednego z tych sposobów znajdujemy u sir Tomasza Brownea, który powiada, że służba Wenus to „najgłupsza rzecz, jaką mądry człowiek może w życiu popełnić, a nic bardziej nie przygnębia jego wystygłej wyobraźni niż rozważanie, jak dziwaczne i niegodne popełnił szaleństwo”. Przede wszystkim, gdyby był potraktował ten akt z mniejszą powagą, nie odczuwałby boleśnie „przygnębienia”. Gdyby jego wyobraźnia nie błędziła po manowcach, proces stygnięcia nie wywołałby takich wstrząsów. Ale Wenus potrafi wyrzucić jeszcze inną i to gorszą zemstę.

Ona sama jest drwiącym psotnym duszkiem, raczej elfem niż bóstwem, i kpi sobie z nas. Kiedy wszystkie zewnętrzne okoliczności zdają się jak najbardziej sprzyjać jej rytuałowi,

ona sprawi, że jeden z kochanków lub oboje okażą się w kompletnie nieodpowiednim nastroju. Gdy każdy jawny czyn jest wprost wykluczony i nawet nie można zamieniać spojrzeń - w pociągu, sklepie, na nieskończenie długim zebraniu towarzyskim - szturmuje do serc kochanków z niebywałą siłą. W godzinę później, gdy czas i miejsce sprzyjają, wycofała się już w tajemniczy sposób, może z serca tylko jednego z nich. Co za chaos musi Wenus wywołać w duszach tych, którzy oddają jej boską cześć, ile uraz, rozgoryczeń, podejrzeń, zranionych ambicji, całą tę tak popularną gadaninę o "frustracji". Ale rozsądni kochankowie śmieją się. Przecież to należy do gry, do tej gry w ciuciubabkę, i każde wymknięcie się i potknięcie, i nabijanie sobie guzów trzeba traktować jako figiel.

Sir Thomas Browne (1605-1682) - literat ang., lekarz, jako student dużo podróżował po kontynencie. W swej twórczości wykazał dużą indywidualność, śmiałość myśli.

Bo nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to chyba jeden z żartów Pana Boga, że ten Eros, ta namiętność o górnych wzlotach, tak jawnie transcendentalna musi pozostawać w niewłaściwej symbiozie ze zmysłowym pożądaniem, które jak każde inne pożądanie nietaktownie odsłania swoje powiązania z tak prozaicznymi czynnikami, jak pogoda, zdrowie, odżywianie, krążenie krwi, trawienie. Wydaje się nam czasem, że wraz z Erosem unosimy się na skrzydłach, nagle czujemy gwałtowne szarpnięcie: ktoś nas ciągnie w dół: to Wenus przypomina nam, że jesteśmy balonami na uwięzi. Są to nieustanne dowody prawdy, że jesteśmy stworzeniami o złożonej konstrukcji - zwierzętami obdarzonymi rozumem i pewnymi cechami, z których jedne zbliżają nas do aniołów, a inne do kocurów. Źle jest nie rozumieć żartu. Gorzej nie rozumieć żartu Bożego, żartu, który, jestem tego pewien, dokonywa się naszym kosztem, ale również (któż mógłby w to wątpić) dla naszego nieskończonego dobra.

Człowiek miał trojaki pogląd na swoje ciało. Pierwszy to pogląd ascetycznych pogan, którzy je nazywali więzieniem czy "grobem" duszy, i takich chrześcijan jak Fisher, dla którego ciało było "workiem nieczystości", pokarmem robaków, czymś brudnym, wstydliwym, źródłem pokus dla złych, a upokorzeń dla dobrych i niczym więcej. Następnie idą neopoganie (rzadko umiejący po grecku), nudyści, ludzie dręczeni przez ciemne bóstwa, dla których ciało jest czymś wspaniałym. A trzeci pogląd to ten, wy John Fisher (ok. 1456-1535) - biskup ang., przyjaciel Morea i Erazma z Rotterdamu. Skazany na śmierć przez ścięcie toporem, gdyż nie chciał uznać władzy kościelnej Henryka VIII. Wraz z Moreem kanonizowany w roku 1935.

rażony przez świętego Franciszka, który nazywał swoje ciało "bratem osłem".

Można przytoczyć argumenty w obronie wszystkich trzech poglądów - choć nie jestem tego zupełnie pewien - ale pogląd świętego Franciszka odpowiada najbardziej moim gustom.

Osiół, cóż za świetne określenie, bo przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie może czcić ani nienawidzić osła. Zwierzę to pożyteczne, uparte, leniwe, cierpliwe, wzbudzające sympatię i doprowadzające do wściekłości; raz zasługuje na baty, a raz na marchewkę; jest piękne w sposób jednocześnie żaloszny i niedorzeczny. Zupełnie jak ciało. Nie można sobie z nim dać rady, póki się nie zrozumie, że odgrywanie roli błazna jest jedną z jego funkcji w naszym życiu.

Wie o tym każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, póki ich nie zbałamucą jakieś teorie. Fakt, że mamy ciało - to najstarszy z żartów. Eros (podobnie jak śmierć, rysowanie aktów i studia medyczne) może sprawić, że czasami traktujemy je całkiem na serio. Ale nie powinniśmy z tego wnioskować, iż takie postępowanie Erosa jest czymś stałym, że zawsze musi on niweczyć żart. Wcale się zresztą tak nie dzieje. Mówią nam o tym jasno twarze szczęśliwych kochanków. Kochankowie czują raz po raz, o ile ich miłość nie jest zjawiskiem bardzo przelotnym, że w sposobie, w jaki Eros objawia się w naszym ciele, tkwi pierwiastek nie tylko komedii, nie tylko zabawy, ale nawet groteski. Gdyby tak nie było, ciało nasze zgotowałoby nam zawód. Na tym zbyt niez-darnym instrumencie miłość nie mogłaby wygrywać swoich melodii, chyba że będziemy uważali, iż właśnie ta niez-darność dodaje całemu przeżyciu uroczego groteskowego wdzięku:

9 - Cztery miłości 129

jakiś uboczny wątek czy komiczna pantomima, wyrażająca w swój własny, bezpośredni, bałaganiarski sposób to, co się w duszy odbywa z większą powagą.

Podobnie w starych komediach równoległym dopełnieniem i parodią lirycznej miłości bohaterów i bohaterek są bardziej przyziemne romanse Touchstona i Audrey lub lokaja i subretki: "Bo najwyższe na najniższym wznosi się i opiera".

Chwilami samo ciało pełne jest wielkiej poezji, ale - pozwól, że ci to powiem - chwilami zawiera nie dający się usunąć pierwiastek upartej i śmiesznej niepoetyczności. Jeśli nie da się on we znaki przy jednej okazji, nastąpi to przy drugiej. Lepiej zawnoczasu włączyć go do dramatu Erosa, traktując jak chwilę odprężenia, niż udawać, że się go nie zauważyło.

Bo naprawdę - potrzebujemy tego odprężenia. Mamy tu i poezję, i brak poezji, powagę Wenus i jej płocność, *gravis ardor*, czyli płomienne brzemie namiętności.

Tęsknota do zjednoczenia, które można osiągnąć tylko za pośrednictwem ciała, gdy właśnie nasze dwa odpychające się nawzajem ciała czynią z tego zjednoczenia cel na zawsze

nieosiągalny, może mieć wielkość metafizycznej pogoni. Zakochanie jak ból napęnia oczy. Ale Wenus nie zawsze objawia się "cała, uczepiona swej zdobyczy", a fakt, że czasem to się zdarza, jest właśnie powodem, dla którego zawsze powinniśmy zachować w stosunku do niej szczyptę wesołości. Kiedy naturalne zjawiska przybierają najbardziej Boski wygląd, za węglem czyha diabeł.

Ten opór przeciw całkowitemu pochłonięciu i Postacie z komedii Szekspira: "Jak wam się podoba".

pamięć o płochliwości Wenus wówczas, gdy stykamy się tylko z jej powagą, są szczególnie powiązane z nastawieniem, które Wenus u szczytu swej potęgi wywołuje u wielu (choć nie u wszystkich) kochanków. Ów akt może zachęcić mężczyznę do bezwzględnej, choć krótkotrwałej tyranii, do władczości, właściwej zwycięzcom czy najeźdźcom, a kobietę do odpowiadającego temu całkowitego poniżenia i uległości. Stąd brutalność i nawet okrucieństwo niektórych miłosnych igraszek, ten "uścisk kochanka bolesny i upragniony". Jak może dwoje rozsądnych ludzi mieć takie pomysły? Jak może dwoje chrześcijan do tego dopuścić?

Sądzę, że może to być nieszkodliwe i nie przynoszące nikomu krzywdy pod jednym warunkiem. Musimy uznać, że mamy tu do czynienia z tym, co nazwałem "pogańskim sakramentem" w dziedzinie płci. W przyjaźni, jak już stwierdziliśmy, każdy z partnerów reprezentuje wyłącznie siebie, tę jednostkę, którą przypadkiem jest.

Ale w akcie miłosnym nie jesteśmy tylko sobą. Jesteśmy również przedstawicielami czegoś. W danym wypadku świadomość, że za naszym pośrednictwem działają tu siły starsze od nas i mniej osobiste, nie jest zubożeniem, a wzbogaceniem. Ogniskuje się w nas na chwilę cała męskość i kobiecość świata, wszystko to, co zdobywa i co ulega. Mężczyzna odgrywa rolę Zeusa ojca, a kobieta ziemimatkę, on - formy, a ona - materii. Ale musimy położyć odpowiedni nacisk na słowo odgrywa. Oczywiście żadne z nich nie odgrywa roli w tym znaczeniu, że jest hipokrytą. Ale każde z nich bierze udział, czy odgrywa rolę w czymś, co możemy porównać (na jednym jego krańcu) do misterium czy rytuału, a (na drugim) do pantomimy czy nawet szarady.

Kobieta, która by uznała za coś dosłownie własnego tę bezbrzeżną uległość, byłaby bałwochwalczy nią, składającą w ofierze człowiekowi to, co należy jedynie do Boga. A mężczyzna, który by przypisywał sobie, wyłącznie sobie, ten rodzaj władczości, którą go Wenus obdarza, byłby pajacem nad pajacami. Ale czemu nie można godziwie się poddawać lub czego nie można się godziwie domagać - można godziwie odegrać. Poza obrębem tego rytuału, czy dramatu, ona i on są dwiema nieśmiertelnymi duszami, dwojgiem wolno

urodzonych dorosłych ludzi, dwojgiem obywateli. Mylilibyśmy się bardzo sądząc, że w tych małżeństwach, gdzie owa władczość mężczyzny w akcie miłosnym jest najbardziej podkreślana i uznawana, mąż ma w całokształcie małżeńskiego życia przewagę nad żoną; zwykle dzieje się wręcz odwrotnie. Ale w ramach tego rytuału czy dramatu stają się oboje bogami i nie istnieje między nimi równość, jedno ma przewagę nad drugim.

Wyda się niektórym dziwne, że znajduję pierwiastki jakiegoś rytuału czy maskarady w tym czynie, który uważany jest często za najbardziej realny, najbardziej szczery, najbardziej autentyczny z wszystkich dokonywanych przez nas czynów. Czyż nadzy nie jesteśmy najbardziej sobą? W pewnym znaczeniu nie.

Człowiek nagi to ten, który uległ obnażeniu, to znaczy, z którego coś z-darto lub ściągnięto. Od niepamiętnych czasów człowiek nagi nie wydawał się naszym przodkom zjawiskiem normalnym, lecz nienormalnym, nie człowiekiem, który nie chciał się ubrać, lecz takim, którego z jakiegoś powodu rozebrano. Po prostu - i każdy może to zaobserwować w miejscu, gdzie kąpią się mężczyźni - nagość podkreśla to, co jest wspólne wszystkim ludziom, a zacierza to, co indywidualne. W tym znaczeniu jesteśmy bardziej "sobą" ubrani.

Nagość sprawia, że kochankowie przestają być jedynie Janem i Marią, a stają się "nim" i "nią" w najbardziej powszechnym znaczeniu tych słów. Można by niemal powiedzieć, że przywdziewają nagość jak uroczą szatę lub jak fantazyjny kostium, po to, aby odegrać szaradę. Musimy się bowiem wciąż wystrzegać, a zwłaszcza wówczas, gdy uczestniczymy w tym pogańskim sakramencie przeżyć miłosnych, zbyt i nieodpowiedniej powagi. Zeus jest tylko pogańskim marzeniem o Tym, który jest o wiele potężniejszy od niego i bardziej męski od mężczyzny. A człowiek śmiertelny nie jest nawet Zeusem i nie może naprawdę nosić jego korony.

Tylko kopię z szychu. Nie przemawia przeze mnie pogarda. Lubię rytuały, lubię teatry amatorskie, lubię nawet odgrywać szarady. Papierowe korony mają (w odpowiednim kontekście) swoje poważne zastosowanie. I koniec końców nie są bardziej kruche niż wszystkie inne ziemskie zaszczyty.

Ale nie śmiem wspominać o tym pogańskim sakramencie nie zatrzymawszy się chwilę dla ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem pomieszania pojęć i zatarcia różnicy między nim a nieporównanie wznioślejszą tajemnicą. Ten krótki akt jest uwieńczeniem mężczyzny przez naturę, a prawo chrześcijańskie uwieńczyło go w obrębie stałych stosunków małżeńskich, obdarzając go czy raczej może narzucając mu rodzaj "kierownictwa". To całkiem inna koronacja. Po dobnie jak skłonni jesteśmy traktować zbyt poważnie ową przyrodzoną tajemnicę, możemy również potraktować nie dosyć poważnie tajemnicę chrześcijańską.

Chrześcijańscy pisarze (w pierwszym rzędzie Milton) mówią czasem o tej kierowniczej roli męża z mrozącym krew w żyłach - upodobaniem. Powróćmy do Pisma świętego. Mąż jest głową żony, podobnie jak Chrystus jest głową Kościoła.

Powinien ją kochać jak Chrystus ukochał Kościół - czytamy dalej - i dać życie za nią (Ef 5, 25). Doskonałym wcieleniem tego kierownictwa nie jest postać takiego męża, jakim każdy z nas chciałby być, ale takiego, którego małżeństwo podobne jest do ukrzyżowania, którego żona najwięcej bierze, a najmniej daje, jest jego niegodna i z natury swej najmniej wzbudza miłości. Bo Kościół posiada tylko to piękno, którym obdarza go Oblubieniec. On nie wykrywa zalet Kościoła. On je stwarza. Dla mężczyzny krzyżmo tej strasznej koronacji zawarte jest nie w radościach małżeństwa, ale w jego smutkach, chorobach i cierpieniach dobrej żony lub wadach złej, w niestrudzonej opiece, niewyczerpanej zdolności przebaczenia, przebaczenia, a nie zgody na zło. Chrystus widzi w dumnym, fanatycznym, pełnym ułomności lub obojętności Kościele tu na ziemi ową Oblubienicę, która stanie się z czasem bez skaz i zmayı; tak samo mąż, którego kierownictwo podobne jest Chrystusowemu (do innego nie ma prawa) nigdy nie rozpacza. Jest królem Kofetua, który po upływie dwudziestu lat wciąż ma nadzieję, że żebraczka nauczy się pewnego dnia myć uszy i mówić prawdę.

Te słowa nie mają oznaczać, że zawarcie małżeństwa, które wikła człowieka w taką niedolę, jest czymś cnotliwym czy mądrym. Świadome powodowanie prześladowań nie jest dowodem ani mądrości, ani cnoty, niemniej jednak wzór, jaki nam Pan stawia przed oczami, wciela się w sposób najbardziej bezpośredni w postaci chrześcijanina prześladowanego czy umęczonego. W tych strasznych małżeństwach, skoro już raz zostały zawarte, kierownicza funkcja męża - jeżeli nie ugnie się on pod ciężarem - ma Chiystusowe cechy.

Najbardziej zajadła feministka nie powinna zazdrościć mojej płci tych koron, którymi ją obdarza pogańskie czy chrześcijańskie misterium. Gdyż jedna jest z papieru, a druga z cierni. Niebezpieczeństwo polega bynajmniej nie na tym, że mężowie sięgną po tę drugą koronę zbyt pochopnie, ale iż pozwolą, że żony ją sobie przywłaszczą, lub zmuszą je do tego. Od problemu Wenus, cielesnego pierwiastka zawartego w Erosie, powracam do całokształtu problemu Erosa. Tu spotykamy się z tym samym układem zjawisk. Podobnie jak prawdziwym celem, do którego zmierza Wenus jako składnik Erosa, nie jest rozkosz, podobnie Eros nie zmierza do szczęścia. Sądzimy, że jest przeciwnie, ale gdy nadejdzie godzina próby, fakty świadczą inaczej. Każdy wie, że usiłowania rozłączenia kochanków drogą perswazji, że będą nieszczęśliwi, spełzną na niczym. I nie tylko dlatego, że nie uwierzą. Oczywiście, najczęściej nie uwierzą. Ale nawet gdyby i uwierzyli, nie daliby się przekonać. Bo właśnie to jest charakterystyczną cechą Erosa: gdy nami włada, woliśmy być nieszczęśliwi

z kochaną istotą niż szczęśliwi w odmienny sposób. Nawet wówczas, kiedy kochankowie są ludźmi dojrzałymi, którzy wiedzą, że złamane serca goją się koniec końców, i są zdolni zupełnie jasno przewidzieć, że gdyby się obecnie zdobyli na mękę rozstania, prawie na pewno byłiby za lat dziesięć szczęśliwsi niż w wypadku, gdyby ich małżeństwo doszło do skutku, nawet wówczas nie zechcą się rozstać. Dla Erosa wszystkie te kalkulacje są nieistotnej tak jak dla Wenus nieistotne są chłodne, brutalne sądy Lukrecjusza. Nawet wtedy, gdy niepodobna się już ludzi, że małżeństwo z ukochaną istotą doprowadzi do szczęścia, nawet wtedy, gdy nie można nawet udawać, że przyszłe wspólne życie będzie czymś innym poza pielęgnacją nieuleczalnego inwalidy albo borykaniem się z beznadziejnym ubóstwem lub wygnaniem czy hańbą. Eros nie zawaha się powiedzieć: "Lepsze to niż rozstanie."

Lepiej być nieszczęśliwym z nią, niż szczęśliwym bez niej. Niech nasze serca pękają, byleby pękły razem". Jeśli głos wewnątrz nas nie mówi nam tego, nie jest on głosem Erosa. Jak wielką rzeczą jest miłość i jak przerażającą! Ale proszę i tu zauważyć wesołość, kroczącą ramię przy ramieniu z ową wielkością. Bo Eros podobnie jak Wenus jest obiektem nieskończonych żartów. Nawet wówczas, gdy okoliczności życia dwojga kochanków są tak tragiczne, że żaden świadek nie mógłby się powstrzymać od łez, oni sami - w biedzie, w sali szpitalnej, w więzieniu w dniu odwiedzin - ogarnięci bywają nagłym przyływem wesołości, która wydaje się obecnym (ale nie im samym) pełna dławiącego patosu. Pogląd, że kpiny są zawsze wyrazem wrogości, jest zupełnie mylny. Dopóki kochankowie nie mają dziecka, do którego się będą mogli śmiać, śmieją się do siebie nawzajem.

Ziarna niebezpieczeństwa są głęboko ukryte i to właśnie jest dowodem dostojeństwa Erosa. Przemawia jak bóg. Jego całkowite zaangażowanie, odważne lekceważenie szczęścia, wyrzeczenie się własnego dobra - to brzmi jak orędzie wieczności.

A jednak nie może ono być z własnej mocy głosem Boga. Gdyż Eros przemawiając również dostojnie i przekraczając ludzkie normy, może przynaglać nie tylko do dobrego, ale i do złego. Pogląd, że miłość prowadząca do grzechu jest zawsze gatunkowo niższa, bardziej cielesna czy bardziej trywialna niż ta, która prowadzi do wiernego, płodnego, chrześcijańskiego małżeństwa, wydaje mi się bardzo powierzchowny. Miłość, która doprowadza do nieszczęsnych, opartych na krzywoprzysięstwie związków, nawet do samobójczych układów i morderstw, nie jest zwykłą przejściową żądzą lub błahym sentymentem. Może być Erosem w całej jego wspaniałości, boleśnie szczerym, gotowym do wszelkich poświęceń z wyjątkiem wyrzeczenia.

Istniały szkoły myślenia, które uważały, że głos Erosa jest naprawdę czymś transcendentalnym, i usiłowały usprawiedliwić bezwzględność jego rozkazów.

Platon upiera się przy twierdzeniu, że zakochanie to wzajemne odnalezienie się tu, na ziemi, dwóch duchów, które zostały dla siebie przeznaczone w poprzednim, niebiańskim życiu. Spotkać ukochaną, to znaczy uświadomić sobie, że „kochaliśmy się, zanim się urodziliśmy”. Jest to symboliczny wyraz uczuć kochanków, to cudowne powiedzenie. Ale gdybyśmy potraktowali je dosłownie, skutki tego były by kłopotliwe. Musielibyśmy bowiem dojść do przekonania, że w tym niebiańskim zapomnianym życiu sprawy nie układają się lepiej niż w naszym. Bo Eros może wprząc do wspólnego jarzma najmniej dobranych partnerów; wiele nieszczęśliwych małżeństw, o których wszyscy wiedzieli z góry, że będą nieszczęśliwe, były małżeństwami z miłości.

Łatwiejszą w naszych czasach do przyjęcia jest teoria, którą moglibyśmy nazwać Shawowskim romantyzmem, a którą sam Shaw nazwałby romantyzmem „metabiologicznym”. Według Shawowskiego romantyzmu głos Erosa, to głos elan vital, siły życia, „ewolucyjnego impulsu”. Biorąc w swe władanie daną parę ludzi siła owa szuka rodziców (lub antenatów) dla nadczłowieka. Odnosi się obojętnie do ich osobistego szczęścia i do zasad moralności, gdyż celem jej jest - zdaniem Shawa - coś o wiele ważniejszego: przyszła doskonałość naszego gatunku. Nie bardzo jednak wiadomo, nawet gdyby to wszystko było prawdą, czy powinniśmy być posłuszni temu głosowi. Wszystkie opisy nadczłowieka, którymi nas dotąd raczono, są tak nieatrakcyjne, że z punktu należałoby ślubować celibat, byleby uniknąć ryzyka spłodzenia tego nadczłowieka. A po wtóre, teoria ta doprowadza nas do wniosku, że siła życia nie bardzo się orientuje, co ma właściwie ze sobą począć.

O ile wiemy, istnienie miłości erotycznej między dwojgiem ludzi, lub jej intensywność, nie jest gwarancją, że ich potomek będzie udanym dzieckiem, ani że w ogóle będą mieli potomka. Dwie dobre rasy (w hodowlanym znaczeniu tego słowa), a nie dwoje dobrych kochanków - oto recepta na udane dzieci. A cóż, na miłość Boską, robiła ta siła życia wówczas, gdy dla niezliczonych pokoleń płodzenie było często całkiem niezależne od panowania Erosa w sercach, a bardzo często całkowicie uzależnione od z góry uplanowanych małżeństw, niewolnictwa i gwałtu. Czyż dopiero teraz siła życia powzięła tę genialną myśl celem poprawy gatunku?

Chrześcijaninowi nic nie pomoże erotyczna transcendentalność Platónskiego czy Shawowskiego typu. Nie jesteśmy czcicielami siły życia i nic nie wiemy o uprzednich egzystencjach. Nie powinniśmy ulegać głosowi Erosa bez zastrzeżeń, zwłaszcza gdy przemawia jak bóg. Nie powinniśmy też przeoczać jego Boskich zalet i negować ich istnienia. Miłość tego typu jest prawdziwie i rzeczywiście podobna do Samej Miłości. Jest prawdziwie

bliska Bogu (przez podobieństwo). Eros, któremu oddajemy cześć w granicach określonych przez miłość Boga i bliźniego, może się dla nas stać środkiem zbliżenia. Jego całkowite zaangażowanie jest wmontowanym w naszą naturę paradygmatem, czyli wzorem tej miłości, którą powinniśmy odczuwać względem Boga i ludzi. I to właśnie nadaje treść słowu:

Caritas, tak jak dla miłośników przyrody przyroda nadaje treść słowu: chwała.

Jak gdyby Chrystus przemawiał do nas za pośrednictwem Erosa: "W ten sam sposób, właśnie w ten, z tą samą rozrzutnością, nie licząc się z kosztami, macie kochać mnie i najmniejszego z moich braci". Nasze uwarunkowane wieloma czynnikami hołdy składane Erosowi będą oczywiście ulegały zmianom zależnie od okoliczności.

Niektórzy ludzie znajdują się wobec konieczności całkowitego wyrzeczenia (ale nie pogardy). Inni, którym Eros będzie służył za paliwo i za wzór, mogą rozpocząć małżeńskie życie. Tu Eros nigdy nie wystarczy i przetrwa tylko wówczas, jeśli go będą poskramiały i z nim współdziałały wyższe pierwiastki.

Bo Eros, którego się bezgranicznie czci i któremu się jest bezwzględnie posłusznym, staje się demonem. A Eros właśnie rości sobie prawo do takiej czci i posłuszeństwa. Bosko obojętny na wymogi naszego egoizmu buntuje się z demoniczną pasją przeciw każdemu Boskiemu czy ludzkiemu żądaniu, które mu staje na zawadzie. Dlatego poeta mówi:

Ludzi zachochanych nie wzruszy dobroć.

A sprzeciw sprawia, że czują się męczennikami.

Męczennicy, oto właściwe słowo. Lat temu wiele, kiedy pisałem o średniowiecznej poezji lirycznej i zawartej w niej dziwacznej, na pół umownej "religii miłości", byłem na tyle ślepy, że potraktowałem to jako zjawisko czysto literackie. Teraz zmądrzałem. Właśnie Eros zachęca nas do niej. Ze wszystkich miłości on, w najwyższym swym rozkwicie, najbardziej upodabnia się do bóstwa, czyli że skłonny jest wymagać od nas uwielbienia. Wykazuje samorzutnie stałą tendencję przekształcania stanu "zakochania" w jakiś rodzaj religii.

Teolodzy zawsze się obawiali, że w tej miłości kryje się niebezpieczeństwo bałwochwalstwa. Przypuszczam, że mieli na myśli wzajemne ubóstwianie się kochanków. Moim zdaniem nie tu kryje się prawdziwe niebezpieczeństwo, a już z pewnością nie w małżeństwie. Rozkoszna, pełna prostoty prozaiczność i rzeczowa poufalość pożycia wykazują całą nedorzecznosc tego niebezpieczeństwa. To samo czyni przywiązanie to warzyszące zwykle Erosowi. Wątpię, czy ktoś, kto czuł tęsknotę do tego, co wieczne, lub choćby marzył o tej tęsknocie, wyobrażał sobie - nawet w okresie zalotów - że ukochana je zaspokoi. Jako towarzyszyelgrzym, trawiony tą samą tęsknotą, jako przyjaciel ukochana może być w sposób piękny i pomocny z tym związana, ale jako obiekt tej tęsknoty (nie chciałbym być

nieuprzejmy) jest śmieszna. Wydaje mi się, że prawdziwe niebezpieczeństwo nie polega na wzajemnym ubóstwianiu się kochanków, ale na ubóstwianiu przez nich samego Erosa.

Nie chcę przez to powiedzieć, że będą mu wznosili ołtarze i modlili się do niego. Ubóstwienie, które mam na myśli, znajduje swój wyraz w rozpowszechnionej błędnej interpretacji słów Chrystusa: „Odpuszczone są liczne jej grzechy, bo wiele umiłowała” (Łk. 7, 47). Jasno wynika z danego kontekstu i z poprzedzającej go przypowieści o dłużnikach, że słowa te muszą znaczyć: „Wielkość jej miłości do mnie świadczy o wielkości grzechów, które jej przebaczyłem”. (Słowo bo jest użyte w takim znaczeniu, w jakim się mówi: „On nie mógł jeszcze stąd wyjść, bo jego kapelusz wisi w przedpokoju”; obecność kapelusza nie jest dowodem pozostawania danego człowieka w domu, lecz wiarogodnym świadectwem, że tak jest w istocie.) Ale tysiące ludzi rozumie te słowa zupełnie inaczej. Zakładają przede wszystkim, że jej grzechy były grzechami przeciw czystości, choć mogła równie dobrze uprawiać lichwę, nieuczciwie prowadzić sklepik czy znęcać się nad dziećmi. A następnie wydaje im się, że Chrystus powiedział: „Przebaczam jej grzechy nieczystości, bo była tak bardzo zakochana”. Sugeruje to, że potężny Eros usprawiedliwia wszelkie czyny, do których doprowadza, i niemal je sankcjonuje, nawet uświęca.

Kiedy kochankowie mówią o jakimś czynie, który jesteśmy skłonni potępić: „Zrobiliśmy to z miłości”, proszę zauważyć ton ich głosów. Inaczej przemawia człowiek wyznając: „Zrobiłem to, bo się bałem” albo: „Zrobiłem to, bo byłem zły”. Usprawiedliwia się przede wszystkim z popelnienia czegoś, co jego zdaniem wymaga usprawiedliwienia. Kochankowie rzadko postępują w podobny sposób. Proszę posłuchać, z jakim drzeniem, niemal nabożeństwem wymawiają słowo „miłość”, nie przytaczając go jako „okoliczność łagodząca”, ale raczej powołując się na jego autorytet. To wyznanie może być niemal przechwałką. Może zawierać w sobie zarodki buntu. Kochankowie czują się „męczennikami”. W krańcowych przypadkach ich słowa naprawdę wyrażają cichą, ale niezachwianą uległość względem boga miłości.

„Te racje wydają się słuszne w prawie miłości” mówi Miltonowska Dalila. O to właśnie chodzi: w prawie miłości. W miłości mamy własne prawa, własną religię, własnego boga. Tam, gdzie naprawdę panuje Eros, przeciwstawianie się jego nakazom wydaje się apostazją, a to, co jest (według chrześcijańskich kryteriów) pokusą, przemawia głosem obowiązku, obowiązku niemal religijnego, staje się aktem gorliwej służby miłości. Eros stwarza dla kochanków nową własną religię.

Benjamin Constant podkreśla, że Eros buduje dla nich w ciągu kilku tygodni czy miesięcy Benjamin Constant (1767-1830) - pisarz franc. i polityk. Zwolennik liberalizmu konstytucyjnego, za czasów Napoleona przebywał na wygnaniu.

wspólną przeszłość, która wydaje im się sięgać niepamiętnych czasów. Powołują się na nią bezustannie, jak psalmiści powołują się na dzieje Izraela. Gdyż to jest naprawdę Stary Testament religii miłości: rejestr jej wyroków i dobrodziejstw, którymi obdarza wybraną parę do chwili, kiedy po raz pierwszy zrozumieli, że się kochają. Potem zaczyna się Nowy Testament miłości. Teraz kochankowie podlegają już nowemu prawu, temu, co (w tej religii) odpowiada łasce. Są nowymi istotami."Duch" Erosa zastępuje wszelkie inne prawa, a oni nie powinni się "smucić".

Duch ten wydaje się sankcjonować różnego rodzaju czyny, których kiedy indziej ludzie nie odważyliby się popełnić. Nie mam tu wyłącznie, ani głównie, na myśli wykroczeń przeciw czystości. Mogą to równie dobrze być czyny niesprawiedliwe czy niemiłosierne względem otoczenia. Będą się jednak one wydawały dowodami lojalności i gorliwości względem Erosa. Słowa, którymi dwoje ludzi przemawia do siebie, mogą się niemal wydawać przesiąknięte duchem ofiary."Dla miłości nie dbałem o moich rodziców, porzuciłem dzieci, oszukałem współnika, opuściłem przyjaciela w - potrzebie" - to rozumowanie według prawa miłości wydaje się słuszne. Wtajemniczeni mogą nawet sądzić, że takie poświęcenia nie pozbawione są specjalnych zasług; czyż można złożyć na ołtarzu miłości cenniejszy - dar niż własne sumienie?

A przez cały ten czas trwa gorzki żart: Eros, którego głos zdaje się płynąć z wiecznych przybytków, nie jest bynajmniej czymś trwałym. To z pewnością najbardziej śmiertelna z naszych miłości. Świat rozbrzmiewa skargami na jego nie stałość. Zdumiewające jest to połączenie niestałości i zapewnień wiecznego trwania. być zakochanym, znaczy mieć zamiar dochować komuś dogonną wierność i obiecywać mu to. Miłość nieproszona składa przysięgi i nic nie jest w stanie jej

od tego powstrzymać."Będę zawsze wierna" - to niemal pierwsze jej słowa. I mówi to szczerze, bez hipokryzji. Żadne doświadczenia nie wyleczą jej z tej ułudy. Wszyscy słyszeliśmy o ludziach, którzy zakochują się na nowo co parę lat; za każdym razem są przekonani, że teraz to już naprawdę, że skończyło się błąkanie, że znaleźli prawdziwą miłość i będą jej wierni do śmierci.

A jednak Eros ma do pewnego stopnia prawo składać takie przyrzeczenia. Sam fakt zakochania] jest z-darzeniem tego typu, że mamy prawo odrzucać myśl o jego przemijalności jako coś wprost nie do zniesienia. Przesadza potężny mur naszego samolubstwa, przekształca

w altruizm nawet nasze - upodobania, usuwa na bok osobiste szczęście jako coś bez znaczenia i umieszcza w samym centrum naszego istnienia cudze sprawy. Spontanicznie i bez wysiłku wypełniliśmy (względem jednej osoby) przykazanie, kochając swego bliźniego jak siebie samego. Jest to obraz, przedsmak tego, czym powinniśmy się stać dla wszystkich, jeśli Sama Miłość zapanuje w nas niepodzielnie. Może to nawet być (odpowiednio pokierowanym) przygotowaniem. Samo odchylenie się od niej, po prostu oderwanie się od miłości, jest jakimś "u-daremnieniem odkupienia", jeżeli wolno mi ukuć ten dziwaczny zwrot. Eros zmuszony jest obiecać to, czego o własnych siłach nie może dokonać. Czy owo wyzwolenie od własnego egoizmu może w nas trwać przez całe życie? Za ledwie przez tydzień i to z trudem. Ten wzniosły stan, nawet jeśli chodzi o najszlachetniejszych kochanków, musi być czymś przejściowym. Okazuje się, że nasze dawne "ja" nie tak całkiem umarło (jak nam się często zdaje po nawróceniu). W obu wypadkach może ono być położone na obie łopatki, ale niebawem podniesie się; jeśli nie stanie od razu na nogi, to podeprze się łokciem, jeśli nie wrzaśnie, to powróci do opryskliwego zrzędzenia lub żebraczych skomleń. A Wenus często ześlizgnie się z powrotem w dziedzinę życia wyłącznie seksualnego.

Ale te potknięcia nie zniszczą małżeństwa zawartego przez dwoje "przyzwoitych i rozsądnych" ludzi. Para, której pożyciu małżeńskiemu grozi rzeczywistość niebezpieczeństwa, to czciciele Erosa. Sądzi, że posiada on potęgę boga i jak bóg jest godny zaufania. Spodziewali się, że samo uczucie zdziała w ich życiu - i to na stałe - wszystko, co - potrzeba. Kiedy te nadzieje zawodzą, ludzie zrzucają winę na Erosa lub jeszcze częściej na partnerów. A w rzeczywistości, Eros złożywszy swoje wspaniałe obietnice i ukazawszy nam w błyskawicznym skrócie, jakie mogłoby być ich spełnienie, zrobił "to, co do niego należało".

Jak ojciec chrzestny, który powziął zobowiązania, ale to my musimy ich dotrzymać. To my musimy się starać, by nasze codzienne życie ustroiło się jeszcze ściślej z tym, co ujrzeliśmy w owym błyskawicznym skrócie. To my musimy prowadzić dalej dzieło Erosa, wówczas gdy on jest nieobecny. O tym wiedzą wszyscy prawdziwi kochankowie, chociaż ci, którzy nie mają refleksyjnego umysłu lub nie umieją formułować myśli, potrafią to wyrazić jedynie w konwencjonalnych powiedzeniach. Lepiej brać wszystko z "dobrodziejstwem inwentarza", nie trzeba, zbyt wiele się spodziewać", należy mieć trochę zdrowego rozsądku, i temu podobne. Wszyscy prawdziwi chrześcijańscy kochankowie wiedzą, że chociaż ten program brzmi bardzo skromnie, wypełnić go można jedynie z pomocą pokory, miłosierdzia i łaski Bożej. A to jest właściwie całe życie chrześcijanina widziane z pewnego punktu.

W ten sposób Eros, podobnie jak inne miłości, ujawnia swe prawdziwe oblicze, robi to jednak bardziej przejmująco z powodu swej mocy, słodyczy, grozy i dumnej postawy. Nie

może o własnej mocy być tym, czym być musi, jeśli ma pozostać Erosem. - potrzebuje pomocy, a zatem - potrzebuje kierownictwa. Ten bóg umiera lub przedzierzga się w demona, jeśli nie jest posłuszny Bogu. Dobrze by było, gdyby w takim wypadku zawsze umierał. Ale może żyć dalej iskuwając bezlitośnie dwie istoty wzajemnie dręczące siebie; każda z nich jest przepojona trucizną zawartą w miłości, każda drapieżnie pragnie brać i kategorycznie nie chce dawać, każda jest zazdrosna, podejrzliwa, pełna uraz, walcząca o władzę, zdecydowana zdobyć sobie wolność, odmówić jej drugiej; a dla obu pożywką są "sceny". Przeczytaj "Annę Kareninę" i nie wyobrażaj sobie, że takie rzeczy z-darzały się tylko w Rosji. Stara hiperbola o kochankach, głosząca, że chcieliby się "zjeść", czasem zbliżona jest straszliwie do prawdy

Rozdział VI

CARITAS

William Morris był autorem poematu pt. "Miłość wystarczy", a podobno ktoś o tym dziele napisał krótką recenzję: "Nie wystarczy". I to stanowi właśnie temat tej książki. Miłości przyrodzone nie są samowystarczalne. Jeśli to uczucie ma zachować swoją słodycz, musi mu przyjść z pomocą co innego, coś, co nazywamy z początku niezbyt ściśle "przyzwoitością i zdrowym rozsądkiem", co się później okazuje cnotą, a w końcu pewnym aspektem całości kształtu chrześcijańskiego życia.

Twierdzić to, nie znaczy pomniejszać wagę przyrodzonych miłości, lecz wskazywać, na czym polega ich istotna chwała. Nie ubliży to wcale ogrodowi, jeśli powiemy, że nie może postawić wkoło siebie płotu, ani wypleć swoich chwastów, ani obciąć gałęzi rosnących w nim drzew owocowych, ani kosić i wałować swoich trawników.

Ogród posiada bardzo wiele zalet, ale jego zalety są odmiennego rodzaju.

Pozostanie ogrodem, czyli czymś różniącym się całkowicie od dzikiego gąszczu, jedynie wówczas, jeśli ktoś zrobi z nim wszystko, co trzeba. Jego prawdziwa chwała polega zupełnie na czymś innym. Właśnie fakt, że William Morris (1834-1896) - pisarz ang., poeta, plastyk, socjalista utopijny. Należał do grupy prerafaelitów, współpracował z BurneJonesem i Rossettim.

ogród trzeba ciągle pleć i obcinać w nim gałęzie, świadczy o jego chwale. Kipi on życiem, płonie barwami, pachnie niebiańsko i o każdej porze letniego dnia roztacza przed naszymi oczami piękno, którego człowiek nie mógłby stworzyć, ani nawet, zdany tylko na własne siły, sobie wyobrazić. Jeśli chcesz zobaczyć, w jakiej mierze przyczynia się do tego piękna ogród, a w jakiej ogrodnik, umieść najzwyczajniejsze rosnące tu ziele obok motyki, grabi, nożyc i paczek chwastobójczej trucizny, a przekonasz się, że umieściłeś piękno, energię i płodność obok martwych jałowych przedmiotów. Podobnie szaro i martwo wygląda nasza "przyzwoitość i zdrowy rozsądek" w porównaniu z ożywczym klimatem miłości. A kiedy ogród osiągnie pełnię swojej krasy, wkład ogrodnika w osiągnięcie tego rozkwitu będzie w pewnym sensie bardzo drobny w porównaniu z wkładem przyrody.

Gdyby nie życie tryskające z ziemi, gdyby nie deszcz, światło i ciepło spływające z nieba, ogrodnik nie mógłby niczego dokonać. Gdy zrobił już wszystko, po prostu pobudził i ujarzmił potęgę i piękno płynące z innych źródeł.

Ale jego wkład, choć niewielki, jest niezbędny i mozolny. Gdy Bóg posadził ogród, dał nad nim władzę człowiekowi, a człowieka podporządkował swojej władzy.

Gdy zasadził ogród naszej jaźni i spowodował, że rosną w nim, kwitną i owocują miłości, ustawił odpowiednio naszą wolę, żeby mogła je "oporządzać". W porównaniu z nimi wola jest oschła i chłodna. Narzędzie owo nie na wiele się nam przyda, o ile nie spłynie na nas, jak deszcz i promienie słońca, Jego łaska. Ale bez mozolnych i przeważnie wywołujących ujemne skutki usług woli obejść się nie możemy. Jeśli były one - potrzebne, kiedy o gród był jeszcze Rajem, o ileż bardziej - potrzebne są teraz, gdy ziemia wyjałowiała i najgorsze chwasty pienią się na niej najbujniej. Ale niech Bóg broni, byśmy mieli pracować przejęci duchem stoicyzmu lub poczuciem własnej wyższości. Kiedy piejemy lub obcinamy gałęzie, wiemy doskonale, że to, co piejemy i obcinamy, zawiera w sobie piękno i żywotność, których nasza rozumna wola nie mogłaby stworzyć. Wyzwolić to piękno, by stało się w pełni tym, czym być usiłuje, wyprodukować wysokie drzewa zamiast skarłowaciałego gąszczu, jabłonie rodzące słodkie jabłka zamiast dziczek, to właśnie częściowo nasz cel.

Ale tylko częściowo. Bo teraz musimy się zastanowić nad tematem, który długo odkładałem na później. Dotąd w tej książce nie zostało prawie nic powiedziane o naszych przyrodzonych miłościach jako o rywalach miłości do Boga. Teraz nie możemy już uniknąć tego problemu. Dwie przyczyny spowodowały moją zwłokę.

Pierwsza, o której już wspomniałem, polega na tym, że ten problem nie - potrzebuje być punktem wyjściowym dla większości z nas. Początkowo dotyczy on rzadko..naszej sytuacji": prawdziwa rywalizacja to ta, co istnieje pomiędzy naszą własną osobą a kimś innym, człowiekiem, a nie między tym kimś i Bogiem.

Niebezpieczną rzeczą jest wmawiać komuś, że powinien przekroczyć granice ziemskiej miłości, gdy prawdziwą trudność stanowi dla tego człowieka dojście aż do niej. Niewątpliwie łatwo jest coraz mniej kochać bliźniego i wyobrazać sobie, że się tak dzieje, bo uczymy się coraz więcej kochać Boga, ale prawdziwa przyczyna tego może być całkiem inna. Prawdopodobnie "mylnie uważamy rozkład natury za przyrost łaski". Dla wielu ludzi nienawidzić żony czy matki nie jest doprawdy rzeczą trudną. Mauriac opisuje w pięknym ustępie przerażenie i zdumienie, jakie wywołał ten dziwny nakaz wśród wszystkich uczniów prócz Judasza. On przyjął go z łatwością.

Ale podkreślenie w poprzednich rozdziałach owej rywalizacji byłoby przedwczesne i pod innym względem. To roszczenie sobie prawa do boskości - co się często z-darza naszym miłościom - może być odparte bez sięgania aż tak wysoko. Miłości same świadczą, że nie są godne zająć miejsca Boga, bo bez pomocy Bożej nie mogą nawet pozostać sobą i

dotrzymywać swych obietnic. Po co dowodzić, że jakieś marne książątko nie jest prawowitym cesarzem, jeśli nie może ono bez pomocy cesarza pozostać na swym wasalskim tronie ani utrzymać spokoju, bodaj przez pół roku, w swojej małej prowincji? Jeśli miłości chcą pozostać tym, czym pragną być, muszą się zgodzić, dla własnego dobra, na zajmowanie drugiego miejsca. Na przyjęciu tego jarzma polega ich prawdziwa wolność,"są wywyższone, gdy składają pokłon". Kiedy Bóg panuje w ludzkim sercu, choć musi czasem całkowicie usunąć niektóre wrodzone temu sercu autorytety, często utwierdza inne w ich działaniu i podporządkowuje je sobie, daje im po raz pierwszy mocną podstawę. Emerson powiedział, że "kiedy półbogowie ustępują, bogowie nadchodzą". Ta maksyma budzi duże zastrzeżenia. Należy raczej powiedzieć:"Kiedy Bóg nadchodzi (i tylko wówczas), półbogowie mogą pozostać". Pozostawieni sami sobie albo znikają, albo stają się demonami. Tylko w Jego imieniu mogą w sposób piękny i bezpieczny "dzierżyć swój mały trójząb".

Buntowniczy slogan:"Wszystko dla miłości" - jest naprawdę wyrokiem śmierci na nią (datę egzekucji pozostawiono tymczasem in blanco).

Chociaż problem rywalizacji został z wyjaśnionych wyżej powodów na długo usunięty na bok. musimy jednak do niego przystąpić. We wcześniejszym okresie - z wyjątkiem XIX wieku - problem ten byłby szeroko omawiany w książce tej treści, co nasza. O ile pisarzom z epoki wiktoriańskiej należało przypominać, że sama miłość nie wystarczy, o tyle starsi teologowie mówili stale i bardzo głośno, że miłość (przyrodzona) może łatwo nabrać zbyt wielkiego znaczenia. Mniej zwracali uwagi na niebezpieczeństwo wynikające ze zbyt słabej miłości bliźniego, niż na niebezpieczeństwo kochania go w sposób bałwochwalczy. Uważali każdą matkę, żonę, dziecko, przyjaciela za możliwego rywala Boga. To samo oczywiście mówi Chrystus (Łk 14, 26).

Istnieje pewna metoda odwodzenia nas od nieumiarkowanej miłości do bliźnich, którą zmuszony jestem na samym wstępie odrzucić. Czynię to z drzeniem, bo natknąłem się na nią w dziele wielkiego świętego i wielkiego myśliciela, wobec którego zaciągnąłem nieobliczalny dług radosnej wdzięczności.

Święty Augustyn opisuje w słowach, które dotąd wyciskają łzy z oczu, rozpacz, w jaką pogrążyła go śmierć jego przyjaciela Nebridiusa („Wyznania”, IV, 10). A potem wyciąga z tego morał. Oto są skutki - mówi - gdy się oddaje serce komuś innemu niż Bogu. Wszystkie ludzkie istoty przemijają. Nie należy uzależniać swego szczęścia od czegoś, co można utracić. Jeżeli miłość ma być błogosławieństwem, a nie klęską, musi dotyczyć jedynie Ukochanego, który nigdy nie przeminie.

To jest oczywiście bardzo rozsądne. Nie trzeba umieszczać swoich ruchomości w nieszczelnej łódce. Nie trzeba inwestować zbyt wiele w dom, z którego mogą cię wyrzucić. Nie ma na świecie człowieka, który by reagował na tę rozważną maksymę bardziej spontanicznie niż ja. Jestem człowiekiem nader ostrożnym. Z wszystkich argumentów używanych przeciw miłości mojemu charakterowi odpowiada najbardziej ten: "Ostrożnie! To grozi ci cierpieniem!"

Mojemu charakterowi i mojemu temperamentowi niewątpliwie tak. Ale nie unojemu sumieniu. Kiedy odpowiadam na to wezwanie, wydaje mi się, że dzieli mnie od Chrystusa tysiące mil. Jestem najzupełniej pewny, że Jego nauka nigdy nie miała na celu utwierdzenia we mnie wrodzonych zamiłowań do bezpiecznych inwestycji i spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Chyba nie ma rzeczy, która by Mu się mniej we mnie podobała niż właśnie ta. Czy jest do pomyślenia, żeby ktokolwiek zaczął kochać Boga na podstawie podyktowanej ostrożnością, bo (że się tak wyrażę) daje to pewniejsze zabezpieczenie? Któż mógłby zaliczyć taki powód do przyczyn miłości? Czyż mógłbyś dokonać w tym duchu wyboru żony, przyjaciela lub nawet psa? Ktoś, kto w ten sposób kalkuluje, musi się znajdować poza kręgiem miłości, wszelkiego rodzaju miłości. Eros nieokiełznany, Eros, który woli ukochaną od szczęścia, jest bliższy Samej Miłości niż tego rodzaju postawa.

Sądzę, że dany ustęp w "Wyznaniach" jest nie tyle wyrazem chrześcijańskich poglądów świętego Augustyna, ile pozostałością po dumnej po gańskiej filozofii, na której się wychował. Jest bardziej zbliżony do "apatii"

stoików lub neoplatońskiego mistycyzmu niż do Caritas. Idziemy śladem Tego, który płakał nad Jerozolimą i przy grobie Łazarza, i choć kochał wszystkich, jednego ucznia najbardziej "miłował". Święty Paweł jest dla nas większym autorytetem od świętego Augustyna. Święty Paweł, ze słów którego wynika, że cierpiałby jak zwykły człowiek, gdyby umarł Epafrodyta (Filip 2, 27), i że nie uważa tego cierpienia za coś nieodpowiedniego.

Nawet gdyby było rzeczą całkowicie pewną, że zabezpieczenia przeciw cierpieniu są szczytem mądrości, czyż Bóg nam je daje? Chyba nie. Zjawi się wreszcie Chrystus i powie: "Czemuś mnie opuścił?"

Nie ma wyjścia z tej sytuacji, jeśli się będziemy trzymać wskazówek świętego Augustyna. Czy jakichkolwiek innych. Nie ma bezpiecznych lokat. Kochać - to znaczy być narażonym na cierpienie. Pokochaj cokolwiek, a niewątpliwie coś schwyci twoje serce w kleszcze; może ono nawet pęknąć. Jeśli chcesz być pewien, że pozostanie nietknięte, nie powinienes go nikomu oddawać, nawet zwierzęciu.

Opakuj serce starannie w ulubione nawyki i drobne przyzwyczajenia, unikaj wszelkich komplikacji, zamknij je bezpiecznie w szkatułę czy trumnę swego egoizmu. Ale w tej szkatule bezpiecznej, ciemnej, nieruchomej i dusznej serce

się zmieni. Nie pęknie, ale stanie się nietłukące, niedostępne, nieprzejednane.

Alternatywą tragedii lub co najmniej ryzyka tragedii jest potępienie. Piekło to jedyne miejsce poza niebem, gdzie jest się całkowicie zabezpieczonym przed całym ryzykiem i wszystkimi perturbacjami miłości.

Sądzę, że najbardziej samowolna i nadmierna miłość mniej się sprzeciwia woli Bożej niż świa.domie pielęgnowany brak miłości. Przypomina to bezużyteczne chowanie talentu dla tej samej przyczyny. "Wiem, żeś jest człowiek twardy" (Mt 25, 24). Chrystus nie po to cierpiał i nauczał nas, żebyśmy byli tak dalece ostrożni, nawet w dziedzinie naszych przyrodzonych miłości. Jeżeli człowiek jest do tego stopnia wyrachowany w stosunku do swoich ukochanych, których widzi tu na ziemi, mało istnieje szans, żeby nie był wyrachowany w stosunku do Boga, którego nie widział. Zbliżywszy się do Boga nie przez to, że będziemy się starali unikać cierpień nieodłącznych od każdej miłości, ale zgadzając się na nie, ofiarowując je Jemu i odrzucając precz wszelkie obronne pancerze. Jeśli nasze serca mają pęknąć i jeśli On właśnie wybrał dla nich tę drogę, niech się tak stanie.

Pozostaje niewątpliwie prawdą, że wszystkie nasze przyrodzone miłości mogą być nieumiarkowanie. Nieumiarkowanie nie znaczy: „niedostatecznie ostrożne” ani zbyt wielkie. To nie jest termin określający ilość. Nie można prawdopodobnie „zanadto” kochać jakiejś ludzkiej istoty. Możemy ją kochać zanadto w stosunku do naszej miłości do Boga, ale nieumiarkowanie polega właśnie na tym, że nasza miłość do Boga jest zbyt mała, a nie na tym, że nasza miłość do człowieka jest zbyt wielka. Ale nawet to należy dokładnie wyjaśnić. W przeciwnym bowiem razie wzniesiemy popłoch wśród tych, którzy kroczą po dobrej drodze, ale niepokoją się, nie odczuwając względem Boga tkliwych uczuć, jakie w nich wzbudza kochana tu na ziemi osoba. Dobrze by było - tak mi się przy najmniej wydaje - gdybyśmy je wszyscy mogli odczuwać. Powinniśmy się modlić o ten - dar. Ale zagadnienie, jeśli chodzi o nasz chrześcijański obowiązek, nie polega na tym, kogo kochamy więcej: Boga czy ukochaną, nie tyczy wcale porównania, które z tych uczuć jest bardziej intensywne. Któremu z nich damy pierwszeństwo, które wybierzemy, któremu zechcemy służyć (kiedy nadejdzie chwila wyboru) - oto prawdziwe zagadnienie. Czyjemu wezwaniu ulegnie ostatecznie nasza wola?

Jak to często bywa, własne słowa Chrystusa Pana są jednocześnie dosadniejsze i znacznie łatwiejsze do przyjęcia od słów teologów. On nie mówi nic o tym, żebyśmy się

strzegli ziemskich miłości z obawy, iż sprawią nam ból, ale mówi coś, co brzmi jak trzaśnięcie biczem: musimy je wszystkie podeptać z chwilą, gdy przeszkadzają nam iść w Jego ślady.”Jeśli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki... i życia swego, nie może być uczniem moim” (Łk 14, 26).

Ale jak mamy rozumieć te słowa: mieć w nienawiści. Żeby Wcielona Miłość nakazywała nam to, co zwykliśmy rozumieć pod słowem nienawiść - chowanie uraz, radość z cudzej biedy i wyrządzania komuś krzywdy - samo zestawienie tych słów zdaje się zawierać jakąś sprzeczność. Myślę, że Chrystus mówiąc do świętego Piotra ”Pójdź za mną” (J 21, 19),”nienawidził” go w wyżej wymienionym znaczeniu. Nienawidzić znaczy: odsunąć, przeciwstawić się, nie zgadzać się na żadne ustępstwo wobec ukochanej istoty, jeśli wypowiada ona choćby najślabszym, najżałośniejszym głosem słowa podszeptane przez szatana. Człowiek, powiada Je zus, który chce służyć dwom panom, będzie ”nienawidził” jednego, a ”kochał”

drugiego. Nie chodzi tu z pewnością tylko o uczucia niechęci czy sympatii.

Człowiek ów przy wiąże się do jednego z nich, będzie się z nim zgadzał i pracował dla niego. Zastanówmy się jeszcze nad słowami:”...umiłowałem Jakuba, a Ezawa miałem w nienawiści” (Mai 1, 23). Czym się właśnie wyraża w tej przypowieści to, co zostało nazwane ”nienawiścią” Boga? Wcale nie tym, czegośmy się mogli spodziewać. Nie ma żadnego powodu przypuszczać, że Ezaw marnie skończył i zgubił swoją duszę; o tych sprawach Stary Testament tu jak i gdzie indziej nic nie wspomina. Z tego, co wiemy, ziemskie życie Ezawa obfitowało, w zwykłym itych słów znaczeniu, w o wiele liczniejsze błogosławieństwa niż życie Jakuba. To na Jakuba spadają wszystkie rozczarowania, upokorzenia, trwogi, klęski. Ale posiada coś, czego Ezaw nie ma. Jest patriarchą. Piastuje hebrajską tradycję, przekazuje powołanie i błogosławieństwa, staje się antenatem Chrystusa.”Miłość” do Jakuba to chyba przeznaczenie go do wyższego (i uciążliwszego) powołania, a ”nienawiść” do Ezawa - odrzucenie...”Odsunięto”

Ezawa, nie pokonał ”przeszkód”, okazało się, że do tego celu nie nadaje się. I my musimy koniec końców odsunąć od siebie czy zdyskwalifikować najbliższe, najdroższe nam osoby, z chwilą gdy stają między nami a posłuszeństwem Bogu, choć one będą to uważały za nienawiść. Nie możemy się powodować litością, musimy być ślepi na ich łzy i głusi na prośby.

Nie powiem, zdby to był ciężki obowiązek, dla niektórych jest aż nazbyt lekki, dla innych niemal nie do zniesienia. Największą trudnością dla wszystkich jest zrozumieć, kiedy nadchodzi pora tego rodzaju ”nienawiści”.

Nasz temperament nas zawodzi. Ludzie o czułym i łagodnym usposobieniu, mężowie pantoflarze, uległe żony, zaślepieni rodzice, posłuszne dzieci, niełatwo uwierzą, że pora ta nadeszła. Osoby obstające przy swoich prawach, posiadające nieco wojownicze usposobienia, uwierzą w to zbyt skwapliwie. Dlatego właśnie

niezmiernie ważną rzeczą jest tak uporządkować nasze miłości, żeby się to w ogóle prawie nie mogło zdarzyć.

Że takie rzeczy się trafiają - choć w tym wypadku na znacznie niższym poziomie - możemy się przekonać ze słów poety, należącego do stronnictwa Kawalerów 3 który wyruszając na wojnę tak przemawia do swojej kochanki:

Nie kochałbym ciebie, miła, tak bardzo, Gdybym honoru nie ukochał bardziej.

Są kobiety, dla których tego rodzaju argumenty nie miałyby żadnego znaczenia.

Honor to jedna z tych bzdur, o których mężczyźni rozmawiają między sobą; słowna wymówka, czyli pogłębienie zniewagi, którą poeta chce obrazić "prawo miłości".

Lovelace może się śmiało posługiwać tymi słowami, gdyż jego pani, też zwolenniczka stronnictwa Kawalerów, podobnie jak i on uprzednio już uznała słusność żądań, jakie stawia honor. Nie - potrzebuje więc jej "nienawidzić", przeciwstawiać się jej, bo oboje podporządkowują się tym samym prawom. Od dawna są zgodni co do tego i rozumieją się wzajemnie.

Zwolennicy króla ang. Karola I (1600-1649) podczas wojny domowej.

Richard Lovelace (1618-1658) - ang. poeta liryczny, zwolennik Karola I.

Nie - potrzeba teraz, kiedy muszą powziąć już decyzję, podejmować trudu skłonienia ukochanej do wiary w honor. Wówczas, gdy chodzi o znacznie ważniejsze żądania niż te stawiane przez honor, właśnie owa uprzednia zgoda na słusność założeń jest tak bardzo - potrzebna. Gdy kryzys już nadszedł, nie czas zaczynać tłumaczyć żonie, mężowi, matce lub przyjacielowi, że twoja miłość zawiera w sobie zawsze milczące zastrzeżenie: "w zgodzie z Bogiem", albo "dotąd, dokąd pozwoli wznioślejsza Miłość". Powinno się było ich ostrzec, oczywiście nie bezpośrednio, ale za pomocą tysięcy rozmów podsuwających tę myśl i setek decyzji i w drobnych sprawach, wyrażających tę zasadę. Istotny brak zgody w tej kwestii powinien ujawnić się na tyle wcześniej, by mógł zapobiec zawarciu małżeństwa lub zawarciu przyjaźni. Najlepsze z obu tych rodzajów miłości nie są ślepe.

Oliver Elton powiedział o Carlyle i o Millu, że różnili się w swych poglądach na sprawiedliwość i że ta różnica okazała się oczywiście zębna dla ich przyjaźni, tak jak "dla każdej przyjaźni godnej tej nazwy". Jeśli postawa osoby, którą kochamy, zawiera w sobie

zasadnicze założenie: "wszystko - naprawdę wszystko - dla miłości", jej lub jego miłość niewarta jest posiadania. Gdyż nie jest ona odpowiednio powiązana z Samą Miłością.

Wszystko to doprowadziło mnie do stóp stro Oliver Elton (1861-1945) - ang. pedagog i historyk literatury.

Thomas Carlyle (1795-1881) - historyk ang., idealista, zwolennik tezy, że historia jest dziełem wybitnych jednostek;

John Mill (1806-1873) - filozof, logik, ekonomista ang., zwolennik liberalizmu gospodarczego.

niego wzniesienia, na które ta książka powinna się wspiąć. Musimy usiłować powiązać trochę ściślej, niż czyniliśmy to dotąd, formy ludzkiej aktywności, nazwane "miłością", z Miłością, która jest Bogiem. Precyzja naszych określeń może być oczywiście tylko precyzją modelu czy symbolu i musi w końcu zawieść, i nawet w trakcie posługiwania się nią wymaga korektywy innych modeli.

Najskromniejszy z ludzi może posiadać w stanie łaski pewne "poznanie przez zbliżenie" (connaitre) Samej Miłości, może jej "zakosztować", ale żaden człowiek najbardziej święty i najmądrzejszy nie posiada bezpośredniej "wiedzy" (savoir) o najwyższym Byciu, tylko operuje analogiami. Nie możemy widzieć światła, choć dzięki światłu widzimy przedmioty. Nasze twierdzenia dotyczące Boga są to ekstrapolacje zaczerpnięte z wiedzy o innych rzeczach, których poznanie umożliwia nam Boskie natchnienie. Mozolnie formułuję te zastrzeżenia, gdyż moje usiłowania jasnego (i niezbyt rozwlekłego) wyrażania myśli na temat tego, co nastąpi, mogą wywołać wrażenie pewności siebie, której bynajmniej nie czuję.

Gdybym ją czuł, byłbym szaleńcem. Należy więc potraktować to, co teraz piszę, jako marzenie jednostki, niemal jako indywidualny mit jednego człowieka. Jeśli coś z tego ci odpowiada, weź sobie, jeśli nie odpowiada - w ogóle przestań o tym myśleć.

Bóg jest miłością. I nowu: "Na tym polega miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale On pierwszy umiłował nas..." (I J. 4, 10). Nie powinniśmy zaczynać od mistycyzmu, od miłości człowieka do Boga, ani od cudownego przedsmaku radości Bożej, jaką Bóg raczył obdarzyć niektórych już w tym ziemskim życiu. My zaczy namy od prawdziwego początku, od miłości jako Boskiej energii. Podstawową miłością jest miłość-dar. W Bogu nie ma głodu, który pragnie być zaspokojony, tylko pełnia, która pragnie dawać. Doktryna, że żadna konieczność nie zmuszała Boga do aktu twórczego, nie jest wytworem suchej scholastycznej spekulacji. Jest bardzo zasadnicza. Bez niej trudno nam uniknąć koncepcji kogoś, kogo mogę nazwać tylko Bogiem "kierownikiem", czyli Bytem, którego naturą czy funkcją jest "kierować" światem, który się do tego świata ustosunkowuje jak dyrektor do szkoły lub

oberżysta do gospody. Ale być władcą wszechświata to niewiele znaczy dla Boga. Sam w Sobie, u Siebie w "krainie Trójcy" jest władcą znacznie większych włości. Nie powinniśmy nigdy tracić z oczu wizji lady Julian, w której Bóg trzyma w ręku drobny przedmiot wielkości orzecha, a ów orzech - "to wszystko, co zostało stworzone". Bóg, który niczego nie - potrzebuje, mocą swej miłości powołuje do życia całkiem nie-potrzebne istoty, po to, by móc je kochać i doskonalić. Stwarza wszechświat i już przewiduje - a może powinniśmy mówić "widzi", bo przecież do Boga nie można stosować miar czasu - brzęczącą chmurę much dokoła krzyża, ob-darte ze skóry plecy, przyciśnięte do chropowatego drzewa, gwoździe, wbite w sploty nerwowe, coraz bardziej rozpaczliwą walkę o każdy łyk powietrza, potęgującą się torturę pleców i ramion, gdy ciało podciąga się, a usta usiłują schwytać oddech. Jeśli wolno mi się ważyć na obraz zaczerpnięty z biologii, powiem, że Bóg jest "żywi Lady Julian - mis tyczka ang. na przełomie XIV i XV w., jej widzenia spisane zostały w szesnastu księgach.

ciem", który rozmyślnie stwarza własne pasożyty; powołuje nas do życia, byśmy mogli Go wyzyskiwać. To jest miłość. To jest schemat Samej Miłości i wszystkie miłości są Jego dziełem.

Bóg jako Stwórca natury zaszczerpił w nas zarówno miłości-dary, jak miłości-potrzeby. Miłości-dary są odbiciem Boga w naturze, reprezentują one bliskość przez podobieństwo, która niekoniecznie i nie w każdym człowieku musi być bliskością zbliżenia. Pełna poświęcenia matka, łaskawy władca lub nauczyciel może dawać i dawać, wciąż odtwarzając podobieństwo, ale nie tworząc zbliżenia.

Miłości-potrzeby - o ile mogę na ten temat coś powiedzieć - nie mają żadnego podobieństwa do tej Miłości, którą jest Bóg. Ich współzależność wyraża się przeciwstawieniem; nie chodzi tu oczywiście o takie przeciwstawienie jak zła i dobra, ale o takie jak kształt galaretki i foremki, w której zastygła.

Ale w dodatku do tych przyrodzonych miłości Bóg może nam ofiarować znacznie piękniejszy - dar, albo raczej, skoro nasz umysł musi różnicować i szufladkować, dwa - dary.

Udziela On człowiekowi cząsteczkę swej własnej miłości-daru. Różni się ona jednak od miłości-darów, które wmontował w ludzką naturę. Te ostatnie nigdy nie dążą po prostu do dobra osoby kochanej wyłącznie z uwagi na nią. Skłaniają się ku tym dobrom, których same mogą udzielać, które chciałyby posiadać, lub takich, które pasują do z góry zaplanowanego obrazu życia, jakiego pragną dla obiektu swych uczuć. Ale Boska Miłość-dar, czyli Sama Miłość, działająca w duszy człowieka, jest całkiem bezinteresowna i pragnie po prostu tego,

co najlepsze dla ukochanego. I znowu przyrodzona miłość-dar, zwraca 11 - Cztery miłości
161

się zawsze ku tym obiektom, które, zdaniem kochającego, w jakiś szczególny sposób wzbudzają miłość; obiektom, ku którym pociąga go przywiązanie, Eros czy wspólne poglądy, a w braku tego - ku takim, które na to zasługują i są wdzięczne, lub takim, których bezbronność jest ujmująca i chwyta za serce. To działająca w człowieku Boska miłość-dar sprawia, że jest on zdolny pokochać tych, którzy w naturalnym porządku rzeczy nie wzbudzają miłości: trędowatych, przestępców, wrogów, kretynów, ludzi ponurych, nadętych, kostycznych. I w końcu - szczyt paradoksu - Bóg sprawia, że człowiek może ową miłość-dar zwrócić ku Niemu. Oczywiście, że w pewnym sensie nikt nie może dać Bogu nic, co by nie było Jego własnością, a jeśli jest Jego, to na czym polega twój - dar? Ale ponieważ z całą pewnością możemy odmówić Bogu naszego serca, naszej woli i całej naszej istoty, możemy w tym znaczeniu Mu je ofiarować. To, co jest prawnie Jego i nie mogłoby ani przez chwilę istnieć, gdyby przestało być Jego (jak pieśń bez śpiewaka), On jednak uczynił naszą własnością w taki sposób, że możemy Mu to dobrowolnie zwrócić."Nasza wola jest naszą po to, aby stała się Twoją."

Istnieje jeszcze inny sposób dawania Bogu, i znają go wszyscy chrześcijanie;

każdy obcy człowiek, którego karmimy czy odziewamy, jest Chrystusem. I to jest miłością-darem, miłością do Boga, świadomą czy nieświadomą. Sama Miłość może działać w duszach tych, którzy nic o Niej nie wiedzą."Owce" w przypowieści nie mają pojęcia ani o Bogu ukrytym w więźniu, którego odwiedzają, ani o Bogu ukrytym w nich, gdy dokonują tych odwiedzin. (Według mnie cała ta przypowieść dotyczy sądu pogan. Bo zaczyna się po grecku od słów, że Pan wezwie przed swoje oblicze wszystkie "narody", czyli pogan, gojów.)

Każdy się zgodzi na to, że miłość-dar uzyskuje się drogą łaski i że powinna się nazywać Caritas. Ale muszę tu dodać coś, na co może nie tak łatwo się zgodzić.

Wydaje mi się, że Bóg udziela jeszcze dwóch - darów: nadprzyrodzonej miłości-potrzeby Jego samego i nadprzyrodzonej miłości-potrzeby ludzi między sobą.

Co do pierwszego - daru nie mam na myśli miłości-upodobania w Bogu, czyli - daru uwielbienia. Co mam do powiedzenia na ten wzniosły, na ten najwznioślejszy temat, powiem później, i niewiele tego będzie. W tej chwili mam na myśli miłość, która nie pretenduje bynajmniej do bezinteresowności, bezdenne ubóstwo. Jak rzeka żłobiąca własne koryto, jak wino w bajce wyczarowujące się w chwili nalewania w puchar, podobnie naszą - potrzebę Boga zamienia On w miłość-potrzebę skierowaną ku sobie. A co jeszcze dziwniejsze, ta - potrzeba stwarza niezwykłą chłonność Caritas, którą ob-darzają nas bliźni. - potrzeba jest tak

bliskim sąsiadem chciwości, a my tak dostatecznie już chciwi, że łaska ta wydaje się czymś dziwnym. Nie mogę sobie jednak wybić z głowy, że tak się właśnie dzieje.

Zastanówmy się przede wszystkim nad ową nadprzyrodzoną miłością-potrzebą Boga, - darem łaski. Oczywiście łaska nie stwarza - potrzeby. - potrzeba została "dana" - jak mówią matematycy - już w samym fakcie, że jesteśmy istotami stworzonymi, i pomnaża ją bezgranicznie fakt, że należymy do gatunku istot upadłych. Łaska daje nam pełne rozeznanie i rozsądną świadomość tej - potrzeby, oraz całkowitą, a nawet, z pewnym zastrzeżeniem, radosną zgodę na nią. Bo bez łaski nasze życie i nasze konieczności życiowe kolidują ze sobą.

Wszystko, co ma wyrażać naszą niegodność i co chrześcijański obyczaj wkłada w usta wierzącego, wydaje się zewnętrznemu światu kajaniem się, nieszczerym biciem pokłonów pochlebcy przed tyranem lub w najlepszym razie jakimś facon de parler w rodzaju samoponizania się chińskiego dżentelmena, który nazywa siebie "prostaczkim i nieukiem". W rzeczywistości chodzi tu o stale powtarzany, bo stale niezbędny wysiłek sprostowania błędnej koncepcji dotyczącej nas i naszego stosunku do Boga, którą podsuwa nam natura nawet wówczas, gdy się modlimy. Z chwilą gdy zaczynamy wierzyć, że Bóg nas kocha, wewnętrzny impuls każe nam natychmiast uwierzyć, iż Bóg czyni to nie dlatego, że jest miłością, ale dlatego, że my jesteśmy istotami nieodparcie godnymi kochania. Poganie z całą prostotą hołdowali temu impulsowi: dobry człowiek był "ulubieńcem bogów", bo był dobry. My, którzy jesteśmy bardziej wykształceni - uciekamy się do wybiegów. Nie myślimy bynajmniej - skądże znowu! - że posiadamy cnoty, za które Bóg mógłby nas kochać. Ale jakże wielkodusznie żalowaliśmy za nasze grzechy!"Sądziłem, że nie ma w Anglii człowieka, który by się Bogu bardziej podobał niż ja" - tak mówi Bunyan opisując swoje pierwsze pozorne nawrócenie. Następnie, gdy coś zepchnie nas z tych pozycji, ofiarowujemy Bogu naszą pokorę, sądząc, że wzbudzi w Nim podziw. T o Mu się chyba na pewno będzie podobać? A jeżeli nie, spodoba mu się z pewnością nasze bystre i pokorne stwierdzenie, że brak nam jeszcze pokory.

Pozostaje więc w nas, pomimo wszelkich subtelności i wszelkiego pogłębiania, uparte poczucie naszej własnej, wyłącznie sobie zawdzięczanej atrakcyjności. Bo łatwo jest uznać, ale prawie niemożliwe zrozumieć na dłuższą metę, że jesteśmy zwierciadłami, które blask swój - o ile istotnie lśnimy - czerpią wyłącznie ze świecącego nad nami słońca. Przecież musimy posiadać choć trochę, choć troszeczkę własnej jasności. Przecież nie możemy być wyłącznie stworzeniami!

Łaska zastępuje ten zawili absurd - potrzeby, a nawet miłości-potrzeby, która nigdy nie uznała swej własnej nędzy, pełną, dziecięcą ufnością i radosną akceptacją naszej - potrzeby,

radością całkowitej zależności. Stajemy się "wesołymi żebrakami". Poczciwy człowiek żałuje za grzechy, które wzmogły w nim - potrzebę.

Nie całkiem żałuje tego, że stworzyły one - potrzebę nową. I wcale nie żałuje, że naiwna - potrzeba jest wrodzoną cechą gatunku istot stworzonych, do których on należy. Bo ciągle stoi na przeszkodzie naszemu szczęściu złudzenie, którego natura trzyma się kurczowo, jako ostatniego swego skarbu: roszczenie, że posiadamy cokolwiek swojego, lub że możemy utrzymać własnym wysiłkiem, choćby przez godzinę, jakiegokolwiek wartości, którymi Bóg nas obdarzył. Bylibyśmy podobni do kąpiących się ludzi, którzy chcą dotykać dwiema nogami czy jedną nogą, czy jednym palcem dna, a tymczasem, gdy stracili grunt pod nogami zostaliby łagodnie uniesieni przez spienione fale. Prawdziwa wolność, potęga i wartość, oto skutki zerwania z naszą ostatnią pretensją do absolutnej wolności, potęgi i wartości; są one naprawdę nasze, gdyż Bóg nam je daje, gdyż wiemy, iż (w innym znaczeniu) nie są naszą "własnością". Anodos uwolnił się od swego cienia.

Ale Bóg przemienia też wzajemną miłość-potężbę ludzi, bo wymaga ona również przemiany. Wprawdzie wszyscy - potrzebujemy czasem, a niektórzy z nas bardzo często, tej Caritas bliźnich, która będąc w nich Samą Miłością, kocha to, co nie wzbudza miłości. Ale choć - potrzebujemy tego rodzaju miłości, nie pragniemy jej.

Chcemy być kochani za naszą mądrość, piękność, szlachetność, uczciwość, wdzięk, użyteczność. Najlżejsza aluzja do tego, że ktoś kocha nas najwyższą z wszystkich miłości, wywołuje silny wstrząs. Jest to zjawisko powszechnie znane i ludzie złośliwi udają, iż kochają nas miłością, którą nazywaliśmy Caritas, bo wiedzą, że nas to zabol. Powiedzenie komuś, kto się spodziewa odnowienia uczuć przywiązania, przyjaźni, czy Erosa: "Jako chrześcijanin przebaczam ci" - to po prostu sposób przeciągania kłótni. I ci, co tak mówią, oczywiście kłamią. Nikt by nie wypowiedział tych słów o fałszywej intencji po to, by komuś sprawiły ból, o ile by one nie raniły wyrażając prawdę.

Przykładem tego, jak trudno przyjąć i stale przyjmować dowody miłości nie uzależnionej od naszego osobistego uroku, jest następujący drastyczny przypadek.

Wyobraź sobie, że jesteś mężczyzną, którego wkrótce po ślubie powaliła nieuleczalna choroba; może się ona ciągnąć przez wiele lat, zanim zakończy się śmiercią, stałeś się nieużyteczny, wstrętny, dotknięty niemocą płciową, uzależniony od zarobków żony; zamiast pomnażać dobrobyt rodziny, jest ciężarem finansowym, nawet twój intelekt czuje się zagrożony: z-darżają ci się wybuchy nieopanowanego gniewu, pełen jesteś kategorycznych wymagań. I przypuśćmy, że troskliwość i cierpliwość twojej żony są niewyczerpane. Mężczyzna, który potrafi znosić ze słodyczą taki stan rzeczy, który potrafi bez urazy

przyjmować, nic nie dając w zamian, i powstrzymać się nawet od uciążliwego samokajania, które w rzeczywistości jest tylko prośbą o czułość i słowa otuchy, mężczyzna ów dokonuje czegoś, na co nie mogłaby się zdobyć w naturalnym porządku rzeczy miłość-potrzeba. (Bez wątpienia żona również dokonuje czegoś, co znacznie przekracza zasięg zwykłej miłości-daru, ale nie o tym mówimy w tej chwili.) W takim wypadku trudniej jest brać niż.dawać, i może większa w tym zasługa. Ten drastyczny przypadek ilustruje powszechne zjawisko. Wszyscy otrzymujemy - dary Caritas. W każdym z nas tkwi coś, co nie może być kochane w sposób przyrodzony. Nikt tego nie dokona i trudno tu kogokolwiek winić. Tylko to, co wzbudza miłość, może być kochane w sposób przyrodzony. Trudno wymagać od ludzi, żeby polubili smak stęchłego chleba lub dźwięk mechanicznego świdra. Tylko Caritas może sprawić, że nam pomimo wszystko przebaczą, że będą nam współczuć i kochać nas; innej drogi nie ma. Wszyscy, którzy posiadają dobrych rodziców, żony, mężów albo dzieci, mogą być pewni, że wzbudzają od czasu do czasu - a może stale, w stosunku do pewnych swoistych cech czy przyzwyczajzeń - uczucie litości, że są kochani nie dlatego, że są godni miłości, ale dlatego, że w duszach tych, co ich kochają, zamieszkuje Sama Miłość.

W ten sposób Bóg wpuszczony do ludzkiego serca przemienia nie tylko miłość-dar, ale również miłość-potrzebę. Nie tylko naszą miłość-potrzebę do Niego, ale również wzajemną miłość-potrzebę ludzi. Z-darza się oczywiście i co inne

go. Bóg może wystąpić ze straszliwym, w naszym mniemaniu, zleceniem i żądaniem całkowitego wyrzeczenia się wszystkich przyrodzonych miłości. Wzniosłe i przerażające powołanie, takie jak na przykład Abrahama, może zmusić człowieka do porzucenia rodziny i domu ojców. Może trzeba będzie poświęcić Erosa, który sięgnął po zakazany owoc. W takich wypadkach sam proces, choć trudny do przeżycia, jest łatwo zrozumiały. Skłonni jesteśmy raczej przeoczyć konieczność przemiany w wypadkach, gdy dozwolono trwać nadal miłości przyrodzonej.

Wówczas Boska Miłość nie zastępuje przyrodzonej i nie musimy wyrzucać srebra po to, aby zrobić miejsce dla złota. Przyrodzone miłości powołane są do tego, by stać się formą Caritas, pozostając nadal tym, czym były.

Zauważamy tu natychmiast rodzaj echa czy harmonijny rytm, czy naturalne następstwo samego Wcielenia. Nie powinno nas to dziwić: przecież Autor jest ten sam. Tak jak Chrystus jest w sposób doskonały człowiekiemBogiem, tak samo przyrodzone miłości powołane są do tego, by stać się doskonałym Caritas i doskonałymi przyrodzonymi miłościami. Tak jak Bóg stał się człowiekiem nie przemieniając Bóstwa w ciało, ale przyjmując człowieczeństwo do Bóstwa, tak samo Caritas nie maleje zamieniając się w

przyrodzoną miłość, a przyrodzona miłość jest wywyższona i zagarnięta przez Samą Miłość i staje się jej posłusznym i sprawnym narzędziem.

Większość chrześcijan wie, w jaki sposób się to dzieje. Cała działalność przyrodzonych miłości (z wyjątkiem grzechów) może w sprzyjającej chwili stać się czynem radosnej, bezpośredniej, wdzięcznej miłości-potrzeby albo altruistycznej, dyskretnej miłości-daru, a one obie to Caritas. Nic nie jest zbyt trywialne ani zbyt cielesne na to, by zostać przemienione na tę modłę; sport, żart, razem wypity kieliszek wina, zwykła towarzyska rozmowa, spacer, fizyczny akt miłości, wszystko może stać się sposobem, w jaki przebaczymy lub dostępujemy przebaczenia, pocieszamy lub jesteśmy pocieszani, czymś, w czym "nie szukamy siebie". Gdyż w sednie naszych instynktów, skłonności i rozrywek Sama Miłość ulepiła swój własny "kształt".

Powiedziałem jednak "w sprzyjającej chwili". Chwile mijają szybko. Całkowita i trwała przemiana przyrodzonej miłości w jedną z form Caritas jest dziełem tak trudnym, że może żaden człowiek - istota upadła - nie potrafi nawet w przybliżeniu sprostać temu w sposób doskonały. A jednak prawo, że miłość musi być w ten sposób przemieniona, jest moim zdaniem kategorią.

Trudność między innymi polega na tym, że tu, w tym wypadku, jak i w każdym innym, możemy postąpić nieodpowiednio. Jakieś środowisko czy rodzina chrześcijańska - trochę zbyt na pokaz chrześcijańska - zrozumiaławszy tę zasadę, może z niej zrobić widowisko, podkreślić swoim zachowaniem, a zwłaszcza słowami, że cel sam w sobie został już osiągnięty; widowisko takie jest wprost nie do zniesienia sztuczne, hałaśliwe, żenujące. Tacy ludzie nadają każdemu drobiazgowi niezmierną duchową wagę i robią to głośno wobec audytorium (gdyby to robili przed Bogiem, przy drzwiach zamkniętych i na kolanach - to co innego). Zawsze albo niepotrzebnie proszą o przebaczenie, albo go udzielają w nietaktowny sposób. A któż by nie wolał mieć do czynienia ze zwykłymi ludźmi, którzy przechodzą do porządku dziennego nad popełnionym przez siebie (lub przez nas) głupstwem i pozwalają, by wspólny posiłek, przespana noc czy żart wszystko naprawiły. Prawdziwa praca na tym polu powinna być zachowana w tak głębokiej tajemnicy, jak żadna inna. Nawet, o ile to jest możliwe, w tajemnicy przed samym sobą. Nasza prawica nie powinna wiedzieć, co czyni lewica. Niedaleko widać zaszliśmy na tej drodze, jeśli gramy w karty z dziećmi "wyłącznie" po to, by je zabawić lub zaznaczyć, że im przebaczymy. O ile nie umiemy się zdobyć na nic lepszego, dobrze, że robimy choć to. Lepiej by jednak było, gdyby Caritas głębiej w nas zakorzeniona i mniej świadoma tak nas wewnętrznie nastawiła, że zabawa z dziećmi wydawałaby się nam w danej chwili czymś najmiłszym.

W tej koniecznej pracy pomagają nam bardzo pewne znamienne cechy naszego doświadczenia, właśnie te, na które się zzymamy. Nigdy nam nie brak zachęty, by przemienić przyrodzone miłości w Caritas. Zachętą są owe nieustannie zawarte w nich konflikty i rozczarowania, niewątpliwy dowód, że miłość (przyrodzona), „nie wystarcza”, niewątpliwy, o ile nie zaślepia nas egotyzm. Kiedy jesteśmy zaślepieni, robimy z tych konfliktów i rozczarowań absurdalny użytek.”Gdyby mi się dzieci lepiej udały (ten chłopak robi się coraz podobniejszy do ojca), kochałabym je ogromnie...” Ale każde dziecko może czasem doprowadzić człowieka do wściekłości, a większość dzieci doprowadza nas często do wściekłości.”Gdyby mój mąż był bardziej delikatny, mniej leniwy, mniej dziwaczny...” „Gdyby moja żona miewała rzadziej złe humory, była bardziej rozsądna, a mniej dziwaczna...” „Gdyby mój ojciec nie był tak piekielnie nudny i skąpy...” W każdym człowieku i oczywiście w nas, istnieje coś, co wymaca cierpliwości, wyrozumiałości, przebaczenia.”Konieczność praktykowania tych cnót pobudza nas i zmusza w pierwszym rzędzie do podjęcia próby przemienienia naszej miłości w Caritas, a raczej do zgody na to, by Bóg dokonał tej przemiany. Te tarcia i utrapienia są zbawienne. Może nawet tam, gdzie jest ich najmniej, proces przemiany miłości przebiega najtrudniej. Gdy jest ich dużo, konieczność wzniesienia się ponad nią nie wzbudza żadnych wątpliwości. Ale wnieść się ponad nią, wówczas, gdy rozkwita w pełni, gdy czuje się na tyle bezpieczna, na ile tylko pozwalają warunki ziemskiego życia, zrozumieć, że musimy się koniecznie wnieść, choć wszystko wydaje się tak pomyślnie układać - to może wymagać subtelniejszej przemiany i bardziej wnikliwego samokrytycyzmu. W tym znaczeniu również może być trudno ”bogaczowi” wejść do Królestwa Niebieskiego.

Sądzę jednak, że istnieje nieubłagana konieczność tego przekształcenia, o ile nasze przyrodzone miłości mają przekroczyć próg życia wiecznego. A że mogą to zrobić, większość z nas wierzy. Możemy mieć nadzieję, że zmartwychwstanie ciał oznacza również zmartwychwstanie tego, co spróbujemy nazwać ”obszerniejszym ciałem”: ogólnego tworzywa naszego ziemskiego życia z jego uczuciami i powiązaniem. Ale pod jednym warunkiem. Bóg nie stawia wprawdzie kategorycznie tego warunku, ale jest on nieodłączny od pojęcia nieba: nic tam wejść nie może, co nie zdoła stać się niebiańskie. Tego królestwa nie odziedziczy ”ciało i krew”, natura jako taka. Człowiek może wejść do nieba tylko dlatego, że ”zamieszkał w nim” Chrystus, który umarł i wstąpił do nieba. Czy nie mamy prawa przypuszczać, że to dotyczy również miłości ludzkich? Tylko ci, w których przebywa Sama Miłość, mogą mieć dostęp do Samej Miłości. Mogą się wnieść razem z Chrystusem jedynie

wówczas, jeśli w pewnym stopniu i w pewnej mierze brali udział w Jego śmierci, jeśli rok po roku lub skutkiem nagłej męki przyrodzone pierwiastki uległy w nich przeistoczeniu.

Przemija postać świata. W samej nazwie natura zawarte jest pojęcie przemijania.

Przyrodzone miłości mogą mieć nadzieję ostania się w wieczności, tylko o ile dały się wchłonąć przez wieczną Caritas i o ile ten proces został co najmniej zapoczątkowany tu na ziemi, zanim nastąpiła noc, w której żaden człowiek już nic zdziałać nie może. A ten proces pociąga za sobą zawsze rodzaj śmierci. Nie ma na to żadnej rady. Jedynym wiecznym pierwiastkiem w mojej miłości do żony lub przyjaciela jest przekształcająca obecność Samej Miłości. Tylko dzięki tej obecności inne pierwiastki mogą mieć nadzieję zmartwychwstania, tak jak mają tę nadzieję nasze fizyczne ciała. Bo tylko to jest w nich święte, tylko to jest Panem.

Teolodzy zadawali czasem pytania, czy w niebie "poznamy się nawzajem" i czy indywidualne więzy miłości zadziergnięte na ziemi będą tam miały znaczenie.

„Będzie to może zależało od tego, jakiego rodzaju miłością stało się lub stawało owo uczucie tu, na ziemi.” Taka odpowiedź wydaje się rozsądna. Bo chyba spotkanie w wieczności z kimś, kogo kochaliśmy, choć może najgoręcej, lecz tylko w sposób przyrodzony, nie byłoby nawet (na tym terenie) interesujące. Przy pominałoby spotkanie w latach dojrzałych kogoś, z kim przyjaźniłeś się w szkole podstawowej, bo mieliście wspólne zainteresowania i zajęcia. Jeśli nie istniało nic więcej, jeśli ten człowiek nie był wówczas twoją bratnią duszą, jest teraz dla ciebie kimś zupełnie obcym. Żaden z was nie bawi się obecnie w klasy. Nie pragniesz już, żeby ci pomógł w arytmetyce w zamian za to, że ty mu pomożesz napisać francuskie ćwiczenie. Podejrzewam, że w niebie miłość, której nie kształtowała Sama Miłość, byłaby również bardzo nieodpowiednia. Bo natura przemija i wszystko, co nie jest wieczne, jest wiecznie przestarzałe.

Ale nie mogę na tym zakończyć swoich uwag, tym bardziej że własne tęsknoty i lęki mnie do tego pchają - po prostu nie śmiem utwierdzić osieroconego, zrozpaczonego czytelnika w ogólnie rozpowszechnionym złudzeniu, że połączenie z ukochanymi zmarłymi jest celem chrześcijańskiego życia. Jakże twardo i nieprawdopodobnie może brzmieć to zaprzeczenie w uszach ludzi o złamanych sercach, ale przeczyć trzeba.

„Stworzyłeś nas dla siebie - mówi święty Augustyn - i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie.” Łatwo w te słowa uwierzyć przez krótką chwilę przed ołtarzem lub może w kwietniowy dzień, w lesie, na wpół się modląc, a na wpół rozmyślając; przy łożu śmierci brzmią one jak drwiny. Ale sami staniemy się przedmiotem gorszych drwin, jeśli porzuciwszy tę drogę będziemy się pocieszały nadzieją - może nawet za pomocą seansów

i nekromancji - że pewnego dnia, i tym razem na zawsze, spotka nas radość obcowania z ukochanymi przez nas tu na ziemi istotami, i więcej nic. Jakoś trudno sobie wyobrazić, żeby to niekończące się przedłu żenię ziemskiego szczęścia mogło nas całkowicie zadowolić.

O ile jednak wolno mi zawierzyć własnemu doświadczeniu, coś nas gwałtownie ostrzega, że w tym rozumowaniu są jakieś błędy. Z chwilą gdy usiłujemy, w tym właśnie celu, oprzeć się na naszej wierze, wiara owa słabnie. Chwile w moim życiu, w których wiara była naprawdę silna, to chwile, gdy Sam Bóg we własnej Osobie był ośrodkiem moich myśli. Wierząc w Niego, mogłem wierzyć - uważając to za naturalne następstwo - w niebo. Ale wierzyć najpierw w połączenie z ukochaną osobą, a potem ze względu na owo połączenie wierzyć w niebo, a koniec końców ze względu na niebo wierzyć w Boga - nie, ten odwrotny proces myślowy nie zdaje egzaminu. Można, oczywiście, snuć różne marzenia. Ale osoba obdarzona samokrytycyzmem będzie sobie z biegiem czasu zdawała sprawę coraz wyraźniej, że działa tu wyłącznie jej wyobraźnia; będzie wiedziała, że snuje nić fantazji.

Ludzie bardziej prostoduszni przekonają się, że widma, którymi usiłują się karmić, nie przynoszą im ani pociechy, ani duchowej stawy, że można im nadać pewne pozory rzeczywistości dzięki żalonym wysiłkom autosugestii lub za pomocą wstrętnych obrazów, hymnów albo (co gorsza) czarownic.

Przekonujemy się, w oparciu o nasze doświadczenie, że na nic się nie zda zwracać do nieba po ziemskie pociechy. Niebo może tylko udzielić niebiańskich pociech, żadnych innych. A ziemia nie może nawet udzielić ziemskich pociech. Nie ma ziemskich pociech działających na dłuższą metę.

Bo nie może odpowiadać prawdzie marzenie, że osiągnęliśmy w niebie czysto ludzką miłość nasz cel, to, do czego zostaliśmy stworzeni, chyba że cała nasza wiara jest błędna. Zostaliśmy

stworzeni dla Boga. Osoby, któreśmy tu na ziemi kochali, wzbudziły naszą miłość tylko dlatego, że były pod pewnym względem podobne do Niego, tylko dlatego, że się w nich objawiało Jego piękno, troskliwość, rozum czy dobroć. Nie o to chodzi, żeśmy je za bardzo kochali, ale żeśmy nie całkiem rozumieli, co kochamy.

Nie o to chodzi, że każą nam się odwrócić od tych, z którymi jesteśmy tak bardzo zżyci, w stronę Obcego. Kiedy zobaczymy oblicze Boga, przekonamy się, że znaliśmy je zawsze. On brał udział we wszystkich ziemskich przeżyciach naszych bezgrzesznych miłości. On je stwarzał, podsyczał, dzień po dniu nimi kierował.

Wszystko, co w nich było prawdziwą miłością, należało, nawet tu na ziemi, bardziej do Niego niż do nas, a do nas dlatego, że było Jego. W niebie nie będzie ani obawy, ani

obowiązku odwrócenia się od tych, których kochaliśmy na ziemi. Po pierwsze dlatego, iż się okaże, żeśmy się już odwrócili: od portretu do Oryginału, od strumieni do Źródła, od istot wzbudzających miłość do Samej Miłości. A po wtóre dlatego, że znajdziemy ich wszystkich w Nim. Kochając Go bardziej od nich, będziemy ich kochali bardziej, niż robimy to teraz.

Ale to wszystko jest niezmiernie dalekie, tam, w "krainie Trójcy", a nie tu, na wygnaniu, w dolinie łez. Tu są tylko straty i wyrzeczenia. Może celem naszego osierocenia (w granicach, w których dotyczy ono ściśle nas) jest narzucenie nam tego przekonania. Musimy wówczas starać się uwierzyć w to, czego nie możemy odczuwać: że Bóg jest naszym prawdziwym Ukochaniem.

Dlatego osierocenie jest pod pewnymi względami łatwiejsze do zniesienia dla człowieka niewierzącego niż dla nas. Może on szaleć, złorzeczyć i wygrażać pięścią wszechświatowi, a (jeśli ma talent) pisać poematy jak Housman i Hardy. Ale my, w stanie bezgranicznej depresji, kiedy najmniejszy wysiłek wydaje się zbyt ciężki, musimy zacząć zdobywać się na coś, co wydaje się niemożliwością.

„Czy łatwo jest kochać Boga?” - pyta pewien dawny pisarz. I odpowiada: „Łatwo, dla tych, którzy to czynią”. W słowie Caritas zawarłem pojęcie dwóch łask. Ale Bóg może zesłać trzecią. Może wzbudzić w człowieku i skierować ku sobie nadprzyrodzoną miłość-upodobanie. To najcenniejszy ze wszystkich - darów. Tu, a nie w naszych przyrodzonych miłościach, nawet nie w etyce, znajduje się prawdziwy ośrodek ludzkiego i anielskiego życia. Ten dar umożliwia wszystko.

I na tym muszę zakończyć moją książkę, choć lepsza książka zaczęłaby się od tego punktu. Nie śmiem dalej pisać. Bóg jeden wie, czy zakosztowałem kiedyś tej miłości - ja tego nie wiem. Może wydało mi się tylko, że zakosztowałem. Ci, których wyobraźnia, tak jak moja, znacznie góruje nad posłuszeństwem, podlegają słusznej karze: z łatwością wyobrażamy sobie znacznie wyższe stany ducha niż te, któreśmy istotnie osiągnęli. Jeśli opisujemy to, cośmy sobie wyobrazili, możemy w innych i w sobie wzbudzić przekonanie, żeśmy to rzeczywiście przeżyli. A jeśli mi się to tylko wydało, czy to też jest dalszym złu Alfred Housman (1859-1936) - poeta ang., znawca starożytności i klasyków, profesor łaciny na uniwersytecie londyńskim i w Cambridge.

Thomas Hardy (1840-1928) - wybitny poeta i powieściopisarz ang.

dzeniem, że samo nawet urojenie sprawiło, iż chwilami wszystko, czego pragnąłem - tak, nawet spokój, nawet pozbycie się lęku - wygląda jak połamane zabawki i zwiędłe kwiaty? Może. Może dla wielu z nas wszelkie przeżycia określają tylko - jeśli się tak można wyrazić - kształt tej przepaści, którą powinna wypełnić nasza miłość do Boga. To nie

wystarczy. Ale to już jest coś. Jeśli nie możemy "doświadczać obecności Boga", doświadczajmy jego nieobecności, stańmy się coraz bardziej świadomi naszej nieświadomości, aż poczujemy się jak ludzie stojący w pobliżu wielkiej katarakty i nie słyszający żadnego szumu, lub jak człowiek z przypowieści, który patrzy w lustro i nie dostrzega w nim twarzy, albo jak ktoś, kto we śnie wyciąga rękę ku namacalnym przedmiotom i nie odczuwa wrażeń dotyku.

Zdawać sobie sprawę, że się śni, oznacza, iż się nie jest głęboko uspionym. Ale po wiadomości o świecie budzącym się już ze snu zwróć się do lepszych ode mnie.